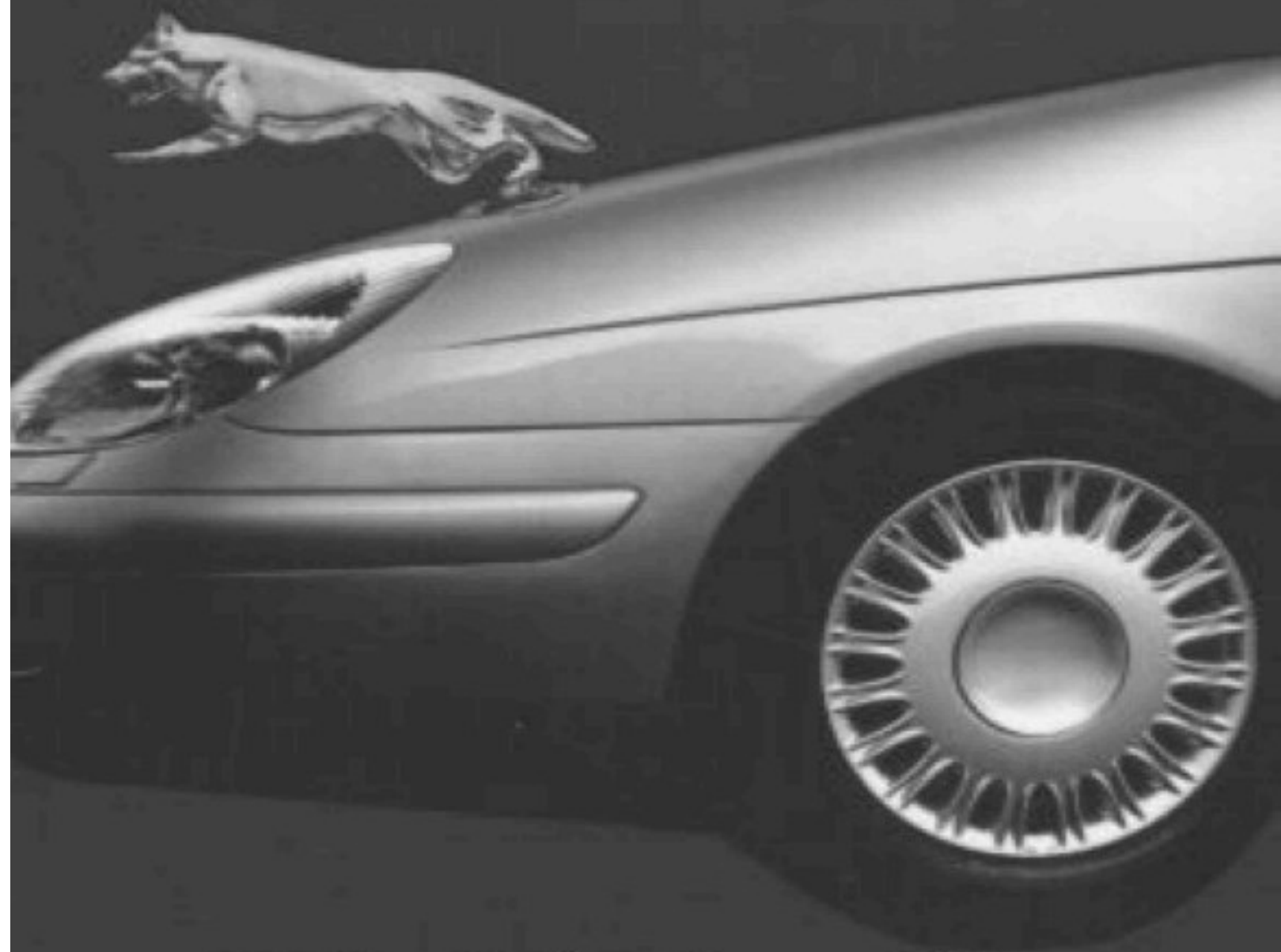


James
PATTERSON



Wielki zły wilk

PATTERSON JAMES
Alex Cross 09 - Wielki Zly
Wilk

JAMES PATTERSON

(The big bad wolf)

Przełożył Paweł Korombel

Prolog

Ojcowie chrzestni

O Wilku krążyła nieprawdopodobna krwawa historyjka, która weszła do zbioru legend policyjnych i szybko rozniosła się od Waszyngtonu po Moskwę, nie omijając Nowego Jorku i Londynu. Nikt nie wiedział, czy naprawdę chodziło o Wilka. Ale nigdy oficjalnie nie udowodniono, że jest nieprawdziwa i pasowała jak ulał do innych ohydnych szczegółów biografii rosyjskiego gangstera.

Opowiadano, że pewnej niedzielnej nocy na początku lata Wilk przedostał się do supernowoczesnego, superstrzeżonego więzienia we Florence w Kolorado. Przekupił strażników, by spotkać się z włoskim mafioso, donem Augustino Palumbo, zwanym Małym Gusem. Mimo że Wilk miał opinię kogoś, kto jest w gorącej wodzie kąpany, komu często brak cierpliwości, wizytę u Małego Gusa Palumbo planował prawie dwa lata.

Spotkali się na oddziale o obostrzonym rygorze, w którym nowojorski gangster siedział już siedem lat. Mieli rozmawiać o połączeniu rodziny Palumbo, kontrolującej Wschodnie Wybrzeże, z rosyjską mafią, nazywaną w Stanach „czerwoną”, i utworzeniu najpotężniejszego, najbardziej bezwzględnego syndykatu zbrodni na świecie. Do tej pory nikt nawet nie planował takiego gigantycznego zadania. Podobno Palumbo był nastawiony sceptycznie wobec całego pomysłu, ale zgodził się na rozmowę, bo chciał się przekonać, czy Rosjanin przedostanie się za mury Florence, i czy uda mu się stamtąd wyjść. Rosjanin od pierwszej chwili odnosił się z szacunkiem do sześćdziesięciosześcioletniego dona. Skłonił głowę, kiedy wymieniali uścisk dłoni, i mimo reputacji człowieka bardzo pewnego siebie okazywał onieśmienie.

–Nie dotykać więźnia – rozkazał przez interkom dowódca straży. Nazywał się Lany Ladove i otrzymał siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za bilet wstępu dla Wilka.

Ten jednak traktował strażnika jak powietrze.

–Dobrze wyglądasz jak na kogoś, kto już tyle odpękał – skomplementował Małego Gusa. – Po prostu świetnie.

Włoch wydawał się rozbawiony. Był drobnym żylastym mężczyzną bez uncji tłuszczu.

–Ćwiczę trzy razy dziennie, siedem dni w tygodniu. Nie serwują mi tu gorzały, choćbym chciał. I karmią zdrowym żarciem, choćbym nie chciał.

Wilk się uśmiechnął i powiedział:

–Można by pomyśleć, że nie liczysz na pobyt tu do końca odsiadki.

Palumbo parsknął krótkim ochryłym śmiechem.

–Jakbyś zgadł. Kiedy się dostało trzy dożywocia? Ale mam samodyscyplinę we krwi. A poza tym czy człowiek może być pewien, co przyniesie przyszłość?

–Racja. Ja uciekłem z gułagu za kręgiem polarnym. Akurat kawałek kry się

napatoczył. Powiedziałem gliniarzowi w Moskwie: „Odpękałem wyrok w gułagu i ty chcesz mnie nastraszyć?”. Co tu jeszcze robisz? Poza tym, że pakujesz na siłowni i wsuwasz zdrowe żarcie?

–Doglądam moich nowojorskich interesów. Czasem gram w szachy z tym walniętym świrem z końca korytarza. Kiedyś był w FBI.

–Z Kyle'em Craigiem – dopowiedział Wilk. – Myślisz, że jest tak walnięty, jak mówią?

–Chyba tak. Ale powiedz mi, pahan, jak według ciebie ma funkcjonować ten sojusz? Ja stawiam na dyscyplinę i staranne planowanie, chociaż muszę pracować w tych poniżających warunkach. Ty, z tego co słyszałem, jesteś napaleniec. Przykładasz rękę do każdej roboty. Łapiesz się każdego gówna. Wymuszeń, alfonsiarstwa. Nawet kradzieży samochodów. Jak ma zaskoczyć między nami?

Wilk pomilczał, po czym uśmiechnął się i pokręcił głową.

–Dobrze mówisz, przykładam rękę do każdej roboty. Ale nie jestem napaleńcem, o nie. W tym wszystkim główna rzecz to pieniądz, zgadza się? Kasiorka. Pozwól, że zdradzę ci sekret, którego nikt nie zna. Zdziwisz się i może przyznasz, że nie rzucam słów na wiatr.

Wilk się pochylił, wyszeptał swój sekret i oczy Włocha rozszerzył nagły strach. Wilk błyskawicznie złapał Małego Gusa za głowę, przekręcił ją w potężnych dłoniach i kark gangstera pękł z ohydny ostrym trzaskiem.

–A może jednak trochę jestem napaleniec – mruknął morderca. Potem odwrócił się do kamery umieszczonej w celi i rzucił do kapitana straży: – Och, wyleciało mi z głowy. Nie dotykać więźnia.

Następnego rana znaleziono w celi martwego Augustina Palumba. Miał pogruchotane wszystkie kości. W świecie moskiewskiego podziemia takie potraktowanie ofiary nazywa się zamoczyć i ma symboliczny sens. Oznacza absolutną dominację napastnika. Wilk ogłaszał dumnie wszem wobec, że teraz on jest ojcem chrzestnym.

CZĘŚĆ PIERWSZA

SPRAWA „BIAŁA DZIEWCZYNA”

Rozdział 1

Centrum handlowe Phipps Plaza w Atlancie to efektowne połączenie posadzek z różowego granitu, szerokich schodów z talkami z brązu, złożonych empirowych ozdób i rozmigotanych halogenowych świateł. Z Niketown wyszła kobieta objuczona reklamówkami z tenisówkami i masą innych dupereli, przeznaczonych dla jej trzech córek. Była upatrzonym celem dwuosobowego mieszanego zespołu, który nadał jej pseudonim „Mamcia”.

–Faktycznie śliczna. Rozumiem, czemu wpadła w oko Wilkowi. Przypomina mi Claudię Schiffer – stwierdził obserwator płci męskiej. – Widzisz podobieństwo?

–Tobie każda przypomina Claudię Schiffer, Sława. Nie zgub jej. Nie zgub tej ślicznotki, bo Wilk schrupie cię na śniadanie.

Zespół porywaczy, Ślubni, był ubrany zamożnie, więc stapiał się łatwo z resztą klienteli Phipps Plaza w Buckhead, dobrej dzielnicy Atlanty. O jedenastej przed południem nie było tu tłumów i nie należało za bardzo odstawać od reszty towarzystwa.

Operację ułatwiał fakt, że Mamcia poruszała się we własnym świecie, w ciasnym kokonie bezrefleksyjnej aktywności, wpadała do takich butików jak Gucci, Caswell – Massey, Niketown, Gapkids i Parisian (w tym ostatnim konsultowała się ze swoim osobistym doradcą, Giną), i wypadła z nich, nie zwracając najmniejszej uwagi na innych klientów i klientki. Zaglądała do oprawionego w skórę notatnika Ata – Glance i przechodziła zgodnie z planem od jednego miejsca sprzedaży do drugiego, robiąc to szybko, sprawnie i w sposób świadczący o długiej praktyce; kupiła Gwynnie sprane dżinsy, skórzaną kosmetyczkę Brendanowi oraz zegarki do nurkowania Meredith i Brigid. Umówiła się też u Cartera – Barnesa, by zrobić sobie włosy.

Miała styl i była miła dla sprzedawców i sprzedawczyń w szykownych butikach. Przytrzymała drzwi tym, którzy za nią wchodzili, nawet mężczyznom, którzy zachłystywali się podziękowaniami pod adresem atrakcyjnej blondynki. Mamcia była seksy, tryskała zdrowiem i nie zadzierała nosa. Była jak wiele innych amerykańskich kobiet z klasy średniej. I faktycznie przypominała supermodelkę Claudię Schiffer. To ją załatwiło.

Wedle specyfikacji zlecenia pani Elizabeth Connolly była matką trzech córek, absolwentką Vassar, najlepszego amerykańskiego uniwersytetu dla kobiet, rocznik 87, po „magisterium z historii sztuki, na które prawdziwy świat – cokolwiek to znaczy – kicha, ale które ja cenię nade wszystko” – jak mówiła. Przed wyjściem za mąż pracowała jako reporterka w „Washington Post” i „Atlanta Journal – Constitution”. Tego przedpołudnia miała na sobie bliźniak z welenki robiony na szydełku, obcisłe spodnie i aksamitną opaskę na włosach. Była inteligentna, religijna – ale bez przesady – i kiedy trzeba, twarda, przynajmniej według specyfikacji.

No cóż, ta ostatnia cecha charakteru niebawem miała jej się przydać. Panią Elizabeth Connolly czekało porwanie. Została kupiona i tego przedpołudnia była prawdopodobnie najdroższym artykułem wystawionym na sprzedaż w Phipps Plaza.

Kosztowała sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Rozdział 2

Lizzie Connolly czuła lekkie zawroty głowy i zastanawiała się, czy to jej niesforny cukier znów nie daje znać o sobie.

Zanotowała w pamięci, że ma zajrzeć do książki kucharskiej Trudie Styler; uwielbiała Trudie, współzałożycielkę Fundacji Las Tropikalny, a do tego żonę Stinga. Miała poważne wątpliwości, czy dotrwa do końca dnia na pełnych obrotach, nie czując się tak, jakby ktoś przekręcił jej głowę o sto osiemdziesiąt stopni, jak tej biednej małej w Egzorcyście. Jakże się nazywała ta aktorka? Linda Blair? Tak, chyba tak. Zresztą czy to ważne? Drobiazg bez znaczenia.

Czekało ją prawdziwe szaleństwo. Po pierwsze, urodziny Gwynnie i przyjęcie dla jej najbliższych szkolnych koleżanek i kolegów, jedenastu dziewcząt i dziesięciu chłopców, przewidziane w domu na pierwszą. Lizzie zamówiła nadmuchiwany pałac, w którym dzieci mogły wyskakać się i wyszaleć do woli i przygotowała dla nich lunch, nie wspominając o bufecie dla ich mam i opiekunek. Nie dość tego, zamówiła też na trzy godziny półciężarówkę lodziarza z firmy Mister Softee. Ale te przyjęcia dla nastolatków to zawsze była jedna wielka niewiadoma poza obowiązkową porcją śmiechu, łez i emocji.

Po urodzinowym szaleństwie miała w planie obowiązków lekcję pływania Brigid i wizytę z Merry u dentysty. Brendan, mąż Lizzie od czternastu lat, zostawił jej „krótką listę” swoich najbardziej niezbędnych potrzeb. Oczywiście wszystko z dopiskiem, „n.w.s!”, czyli „na wczoraj, skarbie!”.

Kiedy już znalazła w Gapkids T – shirt z kryształkami górskimi dla Gwynnie, został jej tylko zakup nowej kosmetyczki dla Brendana. No i umówiona wizyta u fryzjera. I dziesięć minutek u jej anioła stróża w Parisian, Giny Sabellico.

Z całkowitym spokojem pokonała ostatnie etapy – nigdy! nie pokazuj, że jesteś w nerwach! – po czym pośpieszyła do swojego nowego kombi, mercedesa 320, zaparkowanego w bezpiecznym miejscu, w podziemnym garażu Phippsa na poziomie P3. Na ulubioną czerwoną herbatkę Rooibos w Teavanie już nie wystarczyło jej czasu.

W poniedziałek do południa garaż był prawie pusty, ale o mało nie wpadła na mężczyznę o długich ciemnych włosach. Odruchowo uśmiechnęła się do niego, demonstrując idealne, niedawno wybielone i oczyszczone z kamienia zęby, ciepło i seksapil, choć wcale nie musiała niczego demonstrować.

Tak naprawdę nie zwracała uwagi na nikogo. Myślami była już przy nadciągającym z szybkością tornada urodzinowym przyjęciu, kiedy nagle jakaś kobieta złapała ją wpół na wysokości klatki piersiowej, jakby Lizzie była zawodnikiem drużyny futbolowej Atlanta Falcons próbującym pokonać „linię szpinakową”, jak ją kiedyś nazwała Gwynnie. Baba miała uścisk jak imadło, była silna jak diabli.

–Co ty wyprawiasz? Zwariowałaś? – Lizzie w końcu się ocknęła. Wrzasnęła najgłośniej, jak umiała, i wierzgnęła najmocniej, jak umiała, wypuszczając torby z zakupami. Coś pękło z trzaskiem. – Hej! Pomocy! Puść mnie!!!

Wtedy drugi napastnik, facet w bluzie z napisem „BMW”, złapał ją za nogi i ścisnął boleśnie mocno, rzucając przy współudziale kobiety na brudną, pokrytą

smarami betonową podłogę.

–Nie kop, suko! – ryknął w twarz Lizzie. – Kurwa, tylko nie waź się kopać!

Ale Lizzie nie przestała kopać ani się wydzierać.

–Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! Błagam, pomocy!

Tamci unieśli ją w górę, jakby ważyła tyle co piórko. Mężczyzna wymamrotał coś do kobiety. Nie po angielsku. Chyba w jakimś słowiańskim języku. Lizzie miała, gosposię Słowaczkę. Czyżby ta maczała w tym palce?

Napastniczka jedną ręką trzymała ją w uścisku, a drugą odrzuciła w głąb bagażnika stroje i sprzęt do tenisa i golfa, szybko robiąc wolne miejsce.

Potem wrzucono brutalnie Lizzie do jej własnego samochodu i przyciśnięto do ust i nosa kłęb cuchnącej gazy. Tak mocno, że rozboleły ją zęby. Poczła smak krwi. Miły początek znajomości, pomyślała. Poczła przyływ adrenaliny i znów zaczęła stawiać opór, wkładając w to całą energię. Tłukła pięściami i kopała. Walczyła jak pojmane zwierzę, próbujące wyrwać się na swobodę.

–Spokojnie – wycedził mężczyzna. – Spokojnie, Mamciu... Spokojnie, pani Connolly. Connolly? Oni mnie znają? Skąd? O co tu chodzi?

–Seksy Mamcia z ciebie – mówił dalej mężczyzna. – Rozumiem, czemu tak się spodobałaś Wilkowi.

Wilkowi? Jakiemu Wilkowi? Co oni chcą mi zrobić? Czy ja znam jakiegoś Wilka?

A potem gęste kwaśne opary z knebla pokonały ją i straciła przytomność. Została uwięziona w bagażniku własnego kombi i samochód ruszył.

Ale przejechał tylko na drugą stronę ulicy, do pasażu handlowego Lenox Square, tam przeniesiono Lizzie do niebieskiego vana marki Dodge, po czym szybko powieziono dalej.

I po zakupach.

Rozdział 3

Wczesnym poniedziałkowym rankiem miałem w nosie cały świat i wszystkie problemy, których nam nie szczędzi. Niby tak powinno układać się życie, tyle że ono jakoś rzadko nas rozpieszcza. Przynajmniej mnie. Tak, los nieczęsto się do mnie uśmiechał.

Tego dnia odprowadzałem Jannie i Damona do szkoły imienia Sojourner Truth, murzyńskiej abolicjonistki. Mały Alex, nazywany przeze mnie Szczeniaczkiem, tuptał wesoło obok.

Słońce od czasu do czasu pokazywało się nad Waszyngtonem, grzejąc nam głowy i karki. Grałem już na pianinie Gershwina, poświęcając na to trzy kwadransy dziennie. I zjadłem śniadanie z Naną. O dziewiątej miałem stawić się w Quantico na szkolenie początkowe, ale było dopiero wpół do ósmej i mogłem odprowadzić dzieci do szkoły. Tego ostatnio potrzebowałem, przynajmniej tak mi się wydawało. Czasu z moimi dziećmi.

I czasu na lekturę poety, którego ostatnio odkryłem, Billy'ego Collinsa. Najpierw przeczytałem jego *Dziewięć koni*, a teraz miałem na tapecie *Żeglując samotnie po pokoju*. W ujęciu Billy'ego Collinsa niemożliwe wydawało się łatwe i w zasięgu ręki.

Potrzebowałem też czasu na codzienne pogaduszki z Jamillą Hughes. Niekiedy ciągnęły się godzinami. A kiedy nie dało się pogadać, czasu na korespondencję internetową lub na pisanie długich listów. Jamilla wciąż pracowała w wydziale zabójstw w San Francisco, ale czułem, że dystans między nami się kurczy. Chciałem tego i miałem nadzieję, że ona też tego chce.

A dzieci rosły tak szybko, szczególnie mały Alex, zmieniający się na moich oczach, że ich metamorfozy wprawiały mnie w osłupienie. Chciałem i powinienem być z nim więcej i teraz stało się to możliwe. Taka była umowa. Dlatego przeszedłem do FBI, przynajmniej po części dlatego.

Mały Alex miał już całe trzydzieści pięć cali wzrostu i trzydzieści funtów wagi. Tego ranka ubrany był w dres w paseczki i baseballówkę Orioles. Płynął ulicą jak żaglówka, którą dopadł nagły podmuch od zawietrznej. Szedł w przeciwnych kierunku, bo dźwigał pod pachą krówkę Muuu, z którą się nigdy nie rozstawał.

Damon wysforował się przed nas, gnał niecierpliwym krokiem. Naprawdę uwielbiałem tego chłopaka, ale nie jego łachy. Tego ranka miał na sobie dżinsowe bermudy Uptowns, szary T – shirt, a na nim koszulkę, jaką nosił Alan Iverson, pseudo „Remedium”. Nogi porastał mu już jasny puch. Damon cały rósł od nóg. Wielkie stopy, długie golenie i uda, tors greckiego atlety.

Tego rana widziałem wszystko. Miałem na to czas.

Jannie ubrała się jak zwykle. Szary T – shirt z jaskrawo – czerwonym napisem „Aero Athletics 1987”, spodnie od dresu z czerwonymi lampasami i białe adidasy z czerwonymi paskami.

Czułem się świetnie. Ludzie nadal zaczepiali mnie na ulicy, mówiąc, że wyglądam jak młody Muhammad Ali. Za stary ze mnie wróbel, żeby dać się złapać na takie komplementy, ale nie da się ukryć, że miło dźwięczały mi w uszach.

–Strasznie jesteś dziś milczący, tatku – zagała Jannie, obejmując mnie

ramieniem. – Masz przeboje na uczelni? Szkolenie początkowe ci nie idzie? Jak ci się podoba w FBI?

–Bardzo mi się podoba – odparłem. – Pierwsze dwa lata to okres próbny.

Szkolenie początkowe jest w porządku, tyle że dla mnie to nic nowego, szczególnie zajęcia praktyczne. Strzelanie, konserwacja broni, ćwiczenia z technik aresztowania. Dlatego czasem przychodzę później.

–Więc już jesteś pieścioszkiem nauczycieli – powiedziała, puszczając do mnie oko. Roześmiałem się.

–Nie wydaje mi się, by nauczyciele przepadali za mną albo innymi krawężnikami. Jak leci tobie i Damonowi? Może mi się wydaje, ale powinniście chyba przynieść jakiś wykaz ocen.

Damon wzruszył ramionami.

–Jedziemy na samych szóstkach. Czemu zawsze zmieniasz temat, kiedy mówimy o tobie? Skinąłem głową.

–Masz rację. No cóż, mnie w szkole idzie świetnie. W Quantico za średnią cztery mówią ci „do widzenia”. Spodziewam się szóstek z większości testów.

–Z większości? – Jannie uniosła brew i posłała mi pełne niepokoju spojrzenie. Jakbym widział Nanę. – Co to za gadanie o większości? Oczekujemy od ciebie szóstek ze wszystkich testów.

–Jakiś czas nie chodziłem do szkoły.

–Żadnych wymówek. Wykpiłem się jednym z jej tekstów.

–Staram się najlepiej, jak mogę. Nie wolno ci wymagać więcej od nikogo.

Uśmiechnęła się.

–No cóż, w takim razie w porządku, tatku. Byleś tylko miał same szóstki na świadectwie.

Uściskałem Jannie i Damona przecznicę od szkoły, żeby, broń Boże, nie zawstydzić ich przed bandą cynicznych koleśków. Oni też mnie uściskali, ucałowali najmłodszego członka rodziny i popędzili na zajęcia.

–Pa, ba! – zawołał mały Alex.

Jannie i Damon odpowiedzieli najmłodszemu braciszekowi tym samym:

–Pa, ba!

Wziąłem go na ręce i poszliśmy do domu. Potem przyszedł agent Cross miał jechać do roboty.

–Dada – powiedział mały Alex, kiedy niosłem go w ramionach.

Tak, dada. Sprawy układały się jak powinny w rodzinie Crossów. Po wszystkich niespokojnych latach moje życie było bliskie stanu równowagi. Zadawałem sobie pytanie, jak długo to potrwa. Miałem nadzieję, że przynajmniej do końca dnia.

Rozdział 4

Okazało się, że program nauczania nowych agentów w Akademii FBI w Quantico, nazywanej czasem Klubem Federalnych, stawia spore wymagania, jest trudny i nabyty. Generalnie nie miałem do niego zastrzeżeń i starałem się opanować sceptycyzm. Ale przyszedłem do Biura z reputacją łowcy wielokrotnych morderców, już mając ksywkę Siepacz Smoków. Tak więc należało się spodziewać, że mój sceptycyzm wkrótce da znać o sobie. O ironii nie wspominając.

Szkolenie rozpoczęło się sześć tygodni wcześniej, w poniedziałkowy poranek, od słów krótko ostrzyżonego, barczystego SSA, czyli nadzorującego agenta specjalnego, doktora Kennetha Horowitza, który, stojąc przed grupą, starał się ją rozbawić, mówiąc:

–Trzy największe kłamstwa na świecie to: „Chcę tylko cię pocałować”, „Już wysłałem przelew” i „Jestem z FBI i chcę tylko ci pomóc”.

Wszyscy się roześmieli. Może doceniali to, że Horowitz starał się, jak mógł, a może dlatego, że chociaż dowcip był raczej średni, trafiał w sedno.

Dyrektor FBI, Ron Burns, załatwił mi skrócenie szkolenia do ośmiu tygodni. Poszedł mi na rękę również w innych sprawach. Próg wiekowy przy przyjmowaniu do FBI wynosił trzydzieści siedem lat. Ja miałem czterdzieści dwa. Zmieniono tę regułę dla mnie, a Burns wyraził opinię, że jest ona objawem dyskryminacji i należy z tym skończyć. Im lepiej poznawałem Rona Burnsa, tym bardziej wyczuwałem w nim nonkonformistę, może dlatego, że sam kiedyś szlifował bruki w Filadelfii jako krawężnik. Ściągając mnie do FBI, przydzielił mi trzynasty stopień zaszeregowania, najwyższy dostępny po pracy w policji. Obiecano mi również posadę konsultanta, a więc i niezłą pensję. Burns chciał mieć mnie w Biurze i dopiął swego.

Powiedział, że dostanę wszystko, co będzie mi potrzebne do wykonania zadania, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Jeszcze z nim tego nie omówiłem, ale marzyło mi się ściągnąć do FBI dwóch waszyngtońskich tajniaków – Johna Sampsona i Jerome’a Thurmana.

Burns przemilczał tylko jedną sprawę, a mianowicie to, że opiekunem mojej grupy w Quantico będzie starszy agent Gordon Nooney, szef szkolenia początkowego. Wcześniej spec od rysunku psychologicznego, a przed zatrudnieniem w FBI psycholog więzienny w New Hampshire. Ja w porywie wspaniałomyślności zrobiłbym go pomocnikiem magazyniera.

Tego rana Nooney czekał przed drzwiami sali, w której miały odbyć się zajęcia z psychologii psychopatów. Przewidziano godzinę i pięćdziesiąt minut na zrozumienie czegoś, czego nie udało mi się pojąć przez piętnaście lat pracy w policji.

Słyszałem strzały, zapewne z pobliskiej bazy marynarki wojennej.

–Jak się jechało ze stolicy? – spytał Nooney. Nie umknął mi kąśliwy podtekst pytania; miałem pozwolenie na nocowanie w domu, reszta rekrutów spała w Quantico.

–Bez problemów – odparłem. – Czterdzieści pięć minut dziewięćdziesiątką. Przyjechałem dobrze przed czasem.

–Biuro nie zwykło łamać przepisów w indywidualnych przypadkach – zauważył

Nooney i ni to się uśmiechnął, ni skrzywił. – Oczywiście ty jesteś Alex Cross.

–Doceniam ten gest – odparłem. Nie zamierzałem wdawać się w żadne pyskówki.

–Mam tylko nadzieję, że te zachody się opłacą – wymruczał Nooney, odchodząc w kierunku budynku administracji. Pokręciłem głową i wszedłem do sali. Miała piętrowe ławki i pulpity jak aula uniwersytecka.

Zajęcia doktora Horowitza tego dnia były ciekawe. Skupił się na pracy profesora Roberta Hare'a, pierwszego, który badał psychopatów encefalografem. Wedle Hare'a zdrowi ludzie inaczej reagują na słowa „neutralne”, inaczej na „emotywnie”. Słyszając takie „emotywnie” słowa jak „rak” czy „śmierć”, reagują bardzo wyraźnie.

Psychopaci zawsze zachowują się identycznie. Ale zdanie w rodzaju: „Kocham cię” nie znaczy dla nich więcej niż „Napiję się kawy”. A może mniej. Z analizy danych zgromadzonych przez Hare'a wynikało, że leczenie psychopatów czyni ich tylko bardziej podatnymi na manipulację. Wcześniej nikt nie wysunął takiej tezy.

Chociaż byłem obeznany z częścią materiału, machinalnie zacząłem zapisywać charakterystyczne cechy osobowości i zachowań psychopatów, wyłowione przez Hare'a. Było ich czterdzieści. Im więcej ich przybywało, tym bardziej byłem przekonany, że Hare ma rację.

Umiejętność przystosowania się do sytuacji i powierzchowny wdzięk, potrzeba stałej stymulacji, podatność na nudę, niezdolność do odczuwania żalu i winy, słaby oddźwięk na emocje innych, całkowity brak empatii.

Przypomniałem sobie dwóch psychopatów: Gary'ego Soneji i Kyle'a Craiga. Zastanowiłem się, ile cech psychopatów można by im przypisać, i zacząłem umieszczać inicjały GS lub KC obok odpowiedniej cechy.

Ktoś klepnął mnie w ramię. Odwróciłem się.

–Masz zaraz stawić się w gabinecie starszego agenta Nooneya – rzekł jego asystent i natychmiast odszedł, nie wątpiąc, że pójdę za nim.

Poszedłem.

Byłem teraz przecież funkcjonariuszem FBI.

Rozdział 5

Starszy agent Gordon Nooney czekał na mnie w swoim ciasnym pokoju. Był wyraźnie wytracony z równowagi, więc nic dziwnego, że zacząłem się zastanawiać, co takiego schrzaniłem od czasu naszej rozmowy przed zajęciami.

Szybko się dowiedziałem, dlaczego jest taki wściekły.

–Nie rozsiadaj się. Zaraz wybywasz. Właśnie miałem bardzo niecodzienny telefon od Tony’ego Woodsa z biura dyrektora. Jest kryzys w Baltimore. Dyrektor chce, żebyś tam poleciał. To ważniejsze niż twoje zajęcia. – Wzruszył szerokimi ramionami. Za jego plecami było okno, przez które widziałem gęsty las i Hoover Road. Truchtało tam kilku agentów. – Niech mnie diabli, po co komuś takiemu jak ty Akademia FBI, doktorze Cross? To ty złapałeś Casanovę w Karolinie Północnej. To ty dopadłeś Kyle’a Craiga. Jesteś jak Clarice Sterling z Milczenia owiec. Gwiazda.

Odetchnąłem głęboko, zanim odpowiedziałem na tę tyradę.

–Nie mam na to żadnego wpływu. Nie zamierzam przeproszać za złapanie Casanovy czy Kyle’a Craiga. Nooney zbył mnie machnięciem ręki.

–Czemu miałbyś przeproszać? Jesteś zwolniony z dzisiejszych zajęć. Przy HRT czeka na ciebie helikopter. Wiesz, gdzie jest siedziba Brygady Ratownictwa Zakładników?

–Wiem.

Zwolniony z zajęć, myślałem, biegnąc do lądowiska helikopterów. Ścigało mnie TRZASK, TRZASK dochodzące ze strzelnicy. Wskoczyłem do śmigłowca i zapiąłem pasy. W niecałe dwadzieścia minut potem beli siadł w Baltimore. Wciąż nie mogłem uporządkować sobie w głowie reakcji Nooneya. Nie rozumiał, że nie prosiłem o ten przydział. Nawet nie wiedziałem, po co ściągano mnie do Baltimore.

Przy granatowym sedanie czekało na mnie dwóch agentów. Jeden z nich, Jim Heekin, natychmiast objął dowództwo i wskazał mi moje miejsce.

–Ty musisz być ten PN – rzekł, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie.

Nie znałem tego skrótu, więc kiedy wsiedliśmy do samochodu, spytałem Heekina, o co im chodziło.

Uśmiechnął się, jego partner również.

–Pieprzony nowy – wyjaśnił. Po chwili dodał: – Historia zaczęła się paskudnie i jest coraz bardziej paskudna. I bardzo świeża. Chodzi o tajniaka z wydziału zabójstw miasta Baltimore. Pewnie dlatego cię tu ściągnęli. Zaszył się w domu razem z całą najbliższą rodziną. Nie wiemy, czy jest gotów zabić siebie, czy innych, czy i siebie i innych, ale chyba trzyma ich w charakterze zakładników. Sytuacja jak w zeszłym roku z tym policjantem z południowej części Jersey. Rodzina naszego bohatera zebrała się na urodzinach jego ojca. Dziadek ma piękny jubileusz.

–Czy wiadomo, ile osób tam jest? – spytałem.

Heekin potrząsnął głową.

–Przynajmniej kilkanaście, w tym kilkoro dzieci. Ten tajniak nie dopuszcza nas do rozmowy z nikim z uwięzionych i nie odpowiada na nasze pytania. Większość sąsiadów też nie chce nas tam widzieć.

–Jak on się nazywa? – spytałem, robiąc notatki na własny użytek. Nie mogłem

uwierzyć, że zaraz będę uczestniczyć w negocjacjach o uwolnienie zakładników. Nie widziałem w tym sensu, dopóki nie usłyszałem odpowiedzi na moje ostatnie pytanie. Wtedy wszystko stało się jasne.

–Nazywa się Dennis Coulter. Podniosłem głowę, zaskoczony.

–Znam jednego Coultera. Prowadziliśmy razem śledztwo. W sprawie o morderstwo. I chodziliśmy razem na kraby do Obryckiego.

–Wiemy – powiedział agent Heekin. – Prosił o ciebie.

Rozdział 6

Wywiadowca Coulter prosił o mnie. Do diabła, o co chodziło w tym wszystkim? Nie wiedziałem, że jesteśmy serdecznymi kumplami. Bo nie byliśmy. Byliśmy kolegami z pracy, tylko tyle. Więc czemu tak mu zależało na rozmowie ze mną?

Jakiś czas temu prowadziłem z nim śledztwo w sprawie handlarzy narkotyków, którzy starali się zorganizować i opanować dilerkę od stolicy po Baltimore, nie pomijając żadnej dziury pomiędzy. Przekonałem się, że Coulter to twardy egoistyczny sukinkot, ale świetny policjant. Pamiętałem, że był wielkim fanem Eubiego Blake'a, znanego jazzmana, i że Blake też pochodził z Baltimore.

Dom Coultera stał przy Ailsa Avenue w Lauraville, północno – wschodniej części Baltimore. Zbudowano go w stylu kolonialnym i pokryto szarą szalówką. Coulter i zakładnicy tkwili gdzieś w środku. Żaluzje były szczelnie zasunięte i nikt nie wiedział, co się dzieje za frontowymi drzwiami. Trzy kamienne stopnie prowadziły na werandę. Stały na niej bujany fotel i drewniana, również bujana kanapa. Dom pomalowano niedawno, co sugerowało, że Coulter nie spodziewał się poważnych kłopotów. Więc co się wydarzyło?

Funkcjonariusze policji baltimorskiej, w tym SWAT, oddział antyterrorystyczny, otoczyli dom. Mieli gotową do strzału broń, kilku celowało w okna i drzwi wejściowe. Dwa śmigłowce policyjne Foxtrot również były w gotowości.

Nie wyglądało to dobrze.

Pierwszy krok był dla mnie oczywisty.

–Co pan na to, żebyśmy najpierw opuścili pukawki? – spytałem dowodzącego akcją miejscowego policjanta. – Do nikogo nie strzelał, prawda?

Dowódca i szef oddziału SWAT przeprowadzili minikonferencję, po której lufy broni wycelowanej w oblężony dom przynajmniej te, które widziałem, zostały skierowane w ziemię. Jeden z foxtrotów nadal krążył nad naszymi głowami.

Znów zwróciłem się do dowódcy. Chciałem go mieć po swojej stronie. – Dziękuję panu, poruczniku. Rozmawiał pan z nim? Wskazał człowieka skulonego za radiowozem.

–Wywiadowca Fescoe miał ten zaszczyt. Rozmawiał z Coulterem jakąś godzinę.

Zdobyłem się na gest przyjaźni. Podszedłem do wywiadowcy Fescoe i przedstawiłem się.

–Mikę Fescoe – powiedział, ale nie uradował się na mój widok. – Słyszeliśmy, że przyjeżdżasz. Dajemy sobie tu radę.

–To nie był mój pomysł, żeby się wam narzucać – wyjaśniłem. – Dopiero co zwolniłem się z oddziału stołecznego. Nie chcę nikomu wchodzić w paradę.

–Więc nie wchodzi – burknął Fescoe. Był szczupłym, żylastym mężczyzną... Wyglądał jak były baseballista. Kipiał energią.

Potarłem podbródek.

–Kojarzysz, czemu prosił akurat o mnie? Nie znam specjalnie gościa.

Fescoe uciekł wzrokiem w kierunku domu.

–Mówi, że wydział wewnętrzny go zrobił. Nie ufa nikomu od nas. Wie, że niedawno przeszedłeś do FBI.

–Powiedcie mu, że już jestem? I dodajcie, że chwilowo zapoznaje się z sytuacją. Chcę się zorientować, w jakim jest nastroju, zanim z nim pogadam.

Fescoe skinął głową i zadzwonił do domu. Telefon zabrzączał kilka razy, zanim podniesiono słuchawkę.

–Dennis, właśnie przyjechał agent Cross. Zapoznaje się z sytuacją – oświadczył Fescoe.

–Aha, już wam wierzę. Dajcie mu komórkę. Nie zmuszajcie mnie, żebym zaczął strzelać. Jestem na progu załamania nerwowego. Natychmiast muszę z nim porozmawiać!

Kiedy Fescoe wręczył mi komórkę, powiedziałem:

–Dennis, tu Alex Cross. Jestem na miejscu. Chciałem najpierw zapoznać się z sytuacją.

–To naprawdę ty, Alex? – W głosie Coultera brzmiało zaskoczenie.

–Tak, ja. Nie znam zbyt wielu szczegółów. Poza tym, że podobno zrobił cię wydział wewnętrzny.

–Żadne „podobno”. Wrobiono mnie, i już. Mogę ci też powiedzieć, dlaczego mnie wrobiono. Lepiej, jak sam zapoznam cię z sytuacją. Dowiesz się co i jak. Wszystkiego.

–W porządku. Na razie trzymam twoją stronę. Znam ciebie, Dennis, a nie znam wydziału wewnętrznego z Baltimore...

–Masz mnie wysłuchać – przerwał mi. – Nie gadaj jak nakręcony, tylko słuchaj.

–W porządku – powiedziałem. – Słucham.

Usiadłem na jezdni za radiowozem i przygotowałem się do wysłuchania uzbrojonego człowieka, który podobno trzymał w charakterze zakładników kilkunastu najbliższych krewnych.

Jezu, znów mam robotę, i to od razu przez duże „r” pomyślałem.

–Oni chcą mnie zabić – zaczął Dennis Coulter. – Policja baltimorska chce mnie zdmuchnąć.

Rozdział 7

PUFF!

Podskoczyłem. Ktoś otworzył puszkę z jakimś napojem i stuknął mnie nią w ramię.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem samego Neda Mahoneya, szefa j HRT w Quantico. Podał mi niskocukrową bezkofeinową coca – colę. Miałem z nim zajęcia. Znał się na swojej robocie – w każdym razie teoretycznie.

–Witam w moim prywatnym piekle – powiedziałem. A tak przy okazji, co ja tu robię?

Mahoney puścił do mnie oko i usiadł obok.

–Jesteś materiałem na gwiazdę, a może już gwiazdą. Znasz się na rzeczy. Rozwiąż mu język. Niech gada – dodał. Słyszeliśmy, że jesteś w tym naprawdę dobry.

–Ale co ty tu robisz? – spytałem.

–A jak myślisz? Przyglądam się, oceniam twoją technikę. Jesteś pieszczoszką dyrektora, zgadza się? Uważa, że masz dar.

Pociągnąłem łyk coli i przycisnąłem do czoła zimną puszkę. Jak na pieprzonego nowego zaczynałem w FBI odjazdowo.

Znów zadzwoniłem do Coultera.

–Dennis, kto chce cię zabić? – spytałem. – Powiedz mi wszystko, co możesz, na temat tego, co się tu dzieje. Poza tym muszę zapytać o twoją rodzinę. Nikomu nic się nie stało?

–Hej! Nie marnujmy czasu na te wszystkie pierdoły, którymi częstujecie ludzi podczas negocjacji – zjeżył się Coulter. – Mnie czeka egzekucja. Oto, co się tu dzieje. Nie daj się zrobić w konia, chłopie. Rozejrzyj się. Egzekucja.

Nie widziałem Coultera, ale pamiętałem, jak wygląda. Niecałe pięć stóp i osiem cali wzrostu, kozia bródka, na bieżąco z modą. Twardziel z niewyparzoną gębą, ale w gruncie rzeczy zakompleksiony jak wszyscy niscy mężczyźni. Kiedy przedstawił mi swoją wersję wcześniejszych wydarzeń, na chwilę zgłupiałem. Według Coultera tajniacy z policji w Baltimore brali wielkie łapówki od handlarzy narkotyków. Nie wiedział, ilu tajniaków było w to zamieszanych, ale na pewno sporo. Nagłośnił sprawę. Ani się obejrzał, a gliniarze otoczyli jego dom.

Siebie również nie oszczędzał. Przyznał się, że sam też brał łapówki. Ktoś doniósł na niego do wewnętrznego. Jeden z jego partnerów.

–Czemu? – spytałem. To go rozbawiło.

–Bo zrobiłem się chciwy – wyznał z rozbrajającą szczerością. – Chciałem więcej. Wydawało mi się, że trzymam moich partnerów za jaja. Oni jednak mieli inne zdanie.

–Co na nich miałeś?

–Powiedziałem im, że wpadły mi w ręce kopie ich rozliczeń z dilerami, i wiem, kto ile dostał. Kopie rozliczeń z kilku lat.

To wiele wyjaśniało.

–A masz te kopie? – zapytałem.

Coulter się zawahał. Czemu? Przecież miał prostą odpowiedź: mam albo nie mam.

–Może mam – wystękał w końcu. – Oni są przekonani, że mam. Więc teraz są

gotowi mnie uziemić. Przyjechali to zrobić... Postarają się, żebym nie wyszedł żywy z tego domu.

Słuchałem tego, co mówi, ale równocześnie usiłowałem wyłowić inne głosy czy dźwięki dobiegające z domu. Na próżno. Zastanawiałem się, czy jest tam jeszcze ktoś żywy. Co Coulter im zrobił? Jak bardzo jest zdesperowany?

Spojrzałem na Neda Mahoneya i wzruszyłem ramionami. Nie byłem pewien, czy Coulter to skruszony łapówkarz, czy tylko glina, któremu kompletnie odbiło. Mahoney też miał wątpliwości wypisane na twarzy. Wątpliwości i minę: „Nie pytaj mnie”. Musiałem udać się do kogoś innego po wskazówki.

–Więc co teraz robimy? – spytałem Coultera.

Parsknął śmiechem.

–Miałem nadzieję, że tobie coś wpadnie do głowy. Podobno jesteś gwiazdą, no nie? Zawsząd ta sama śpiewka.

Rozdział 8

W ciągu następnych kilku godzin kryzysowa sytuacja w Baltimore nie zmieniła się, a jeśli już, to na gorsze. Nie dało się zamknąć sąsiadów Coulterów w domach. Wylegli na werandy i gapili się na nas spragnieni sensacji. Po jakimś czasie policja zaczęła ich ewakuować. Szło to opornie, bo z Coulterami przyjaźniło się wielu ludzi. W pobliskiej podstawówce zorganizowano tymczasową bazę. To przypomniało wszystkim, że Coulter więzi prawdopodobnie również dzieci. Swoich krewnych. Rany boskie!

Rozejrzałem się i pokręciłem z niechęcią głową, widząc całą tę masę policjantów, w tym antyterrorystów i ludzi z HRT. Rój gapiów wybałuszał oczy i pchał się na barierki. Niektórzy życzlili gliniarzom kulki, w ich mniemaniu dobry glina to martwy glina.

Wstałem i jakby nigdy nic podszedłem do funkcjonariuszy czekających za karetką pogotowia. Nikt nie musiał mi uświadamiać, że nie są zachwyceni obecnością federalnych. Kiedy pracowałem w oddziale stołecznym, też nie kłaniałem się im w pas, gdy wsadzali nos w moje sprawy. Zagadnąłem kapitana Stocktona Jamesa Sheehana, z którym już zamieniłem kilka słów zaraz po przybyciu.

–Jak myślisz, co z tego wyniknie?

–Pierwsze pytanie brzmi: czy Coulter zgodzi się kogoś wypuścić – mruknął Sheehan. Pokręciłem głową.

–Nawet nie chce mówić o swojej rodzinie. Kiedy go spytałem, czy ktoś z jego krewnych jest w domu, nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

–No a co w ogóle mówi? – spytał kapitan.

Przekazałem mu co nieco z tego, co powiedział mi Coulter ale nie wszystko. Bo i po co? Opuściłem rewelacje o powiązaniach miejscowych policjantów z handlarzami narkotyków i jeszcze bardziej druzgocącą informację, że wywiadowca ma pogrążające ich zapiski.

Stockton Sheehan wysłuchał mnie i rzekł:

–Albo wypuści część zakładników, albo będziemy musieli wejść i go dopaść. Przecież nie wystrzela własnej rodziny.

–Mówi, że wystrzela. Grozi, że wystrzela.

Sheehan potrząsnął głową.

–Jestem gotów podjąć to ryzyko. Wejdziemy po zmroku. Wiesz, że musimy.

Pokiwałem głową, nie zajmując stanowiska w tej sprawie, i odszedłem na bok. Do zmroku pozostało jeszcze około pół godziny. Wolałem się nie zastanawiać, co nastąpi, kiedy ten czas minie.

Znow zadzwoniłem do Coultera. Odebrał natychmiast.

–Mam pomysł – powiedziałem. – To chyba nasza największa szansa. – Nie dodałem, że to również nasza jedyna szansa.

–No to mów, co to za pomysł – ponaglił mnie.

Przedstawiłem Dennisowi Coulterowi mój plan...

Dziesięć minut potem kapitan Sheehan wykrzyczał mi w twarz, że jestem „gorszy od wszystkich pieprzonych dupków z FBI”, z którymi kiedykolwiek miał do czynienia.

Niewątpliwie oznaczało to, że robię szybkie postępy. Może nawet dobrze, że tego dnia zwolniono mnie ze szkolenia. Do jakiego szczęścia było mi potrzebne? Do żadnego, skoro już awansowałem na „króla dupków z FBI”. Nadając mi ten tytuł, policja baltimorska stwierdziła bez ogródek, że nie aprobeje mojego planu rozwiązania kryzysowej sytuacji, której sprawcą był wywiadowca Coulter. Nawet Mahoney początkowo miał wątpliwości.

–Zgaduję, że nie za bardzo nadajesz się do rozwiązywania problemów wymagających społecznej i politycznej poprawności – skomentował moją relację z ostatniej rozmowy z kapitanem Sheehanem.

–Myślałem, że się nadaję. Teraz wychodzi na to, że nie. Mam nadzieję, że mój pomysł zaskoczy. Lepiej, żeby zaskoczył. Myślę, że oni chcą zabić tego gościa, Ned.

–Też mi się tak widzi. Myślę, że postępujemy właściwie.

–My? – spytałem.

Mahoney skinął głową.

–W tej sprawie trzymam z tobą, chojraku. Masz ikrę, masz sławę. Tak to biega w Biurze.

Chwilę potem policja baltimorska z wielką niechęcią rozluźniła pierścień wokół domu. Mahoney i ja kontrolowaliśmy ten manewr. Wcześniej zapowiedziałem Sheehanowi, że nie chcę widzieć w pobliżu żadnego niebieskiego munduru ani kombinezonu SWAT. Kapitan miał swój pogląd na wysokość dopuszczalnego ryzyka, ja swój. Gdyby policja zaatakowała dom, na pewno byłyby ofiary. Gdyby mój pomysł nie wypalił, przynajmniej nikomu nie stałaby się krzywda. To znaczy nikomu prócz mnie.

Kolejny raz połączyłem się z Coulterem.

–Policja baltimorska zeszła ci z oczu – zameldowałem. – Masz wyjść, Dennis. Natychmiast. Zanim sobie uświadomią, co się dzieje.

Zwlekał chwilę z odpowiedzią. Wreszcie oświadczył:

–Rozglądam się. Wykończyć mnie to żadna sztuka. Wystarczy jeden snajper z celownikiem na podczerwień.

Miał rację. Ale to było bez znaczenia. Mieliśmy tylko jedną szansę.

–Wychodź z zakładnikami – poleciłem mu. – Sam wyjdę do ciebie na schodki.

Nie odezwał się. Byłem przekonany, że straciłem jego zaufanie. Skupiłem się na frontowych drzwiach i próbowałem nie myśleć o ludziach, którzy mogą zginąć za progiem.

No, Coulter, powtarzałem w myślach. Zastanów się, człowieku. To najlepsze rozwiązanie, o jakim możesz marzyć.

W końcu jednak przemówił:

–Jesteś pewien, że to się uda? Bo ja nie. Chyba oszalałeś.

–Jestem pewien.

–W porządku. Wychodzę – rzekł. I po chwili milczenia dodał: – Na twoją odpowiedzialność. Odwróciłem się do Mahoneya.

–Założcie mu kamizelkę kuloodporną, kiedy tylko wychyli nos na werandę.

Otoczcie go naszymi ludźmi. Nie dopuszczajcie do niego nikogo z Baltimore, choćby

robili raban pod niebiosa. Da się to zrobić?

–Masz jaja, chłopie – mruknął Mahoney, szczerząc zęby w uśmiechu. – Bierzmy się za to... a przynajmniej spróbujmy się wziąć.

–Pozwól, że cię wyprowadzę, Dennis. Tak będzie bezpieczniej – powiedziałem do komórki. – Idę do ciebie.

Ale Coulter miał własny plan.

Jezu, wylazł sam na werandę! – jęknąłem w duchu.

Trzymał ręce uniesione wysoko. Był bezbronny niczym niemowlę.

Bąłem się, że hukną strzały i runie jak kłoda na ziemię. Rzuciłem się do biegu.

Nagle otoczyło go pół tuzina ludzi z HRT, tworząc żywą tarczę. Został szybko przeprowadzony do czekającego vana.

–Obiekt w wozie. Zabezpieczony – zameldował jeden z HRT. – Wywozimy go w diabły.

Odwróciłem się w kierunku domu. A co z jego rodziną? Gdzie oni są?

Wymyślił całą historię? Chryste, co on narozrabiał?

Wtedy ujrzałem jego krewnych. Opuszczali gęsiego dom. Niewiarygodny widok.

Włosy zjeżyły mi się na karku.

Starzec w białej koszuli i czarnych spodniach na szelkach. Starsza kobieta w luźnej różowej sukience, na szpilkach, spłakana jak bóbr. Dwie dziewczyneczki w odświętnych białych sukienkach. Dwie kobiety w średnim wieku, trzymające się za ręce. Trzech dwudziestokilkulatków, każdy z rękami nad głową. Kobieta z parą niemowląt.

Kilkoro dźwigało kartonowe pudła.

Zgadłem, co w nich jest.

Zapiski konszachtów tych drani, dowody – pomyślałem.

Wywiadowca Dennis Coulter mówił prawdę. Jego rodzina mu uwierzyła. I to ona uratowała mu życie.

Poczułem mocne klepnięcie w plecy.

–Dobra robota. Naprawdę dobra robota – pochwalił mnie Mahoney.

Roześmiałem się.

–Jak na pieprzonego nowego, co? To był test, prawda?

–Nie mogę tego powiedzieć. Ale jeśli to faktycznie był test, masz u mnie szóstkę.

Rozdział 9

Test? Jezu, westchnąłem w myślach. To po to wysłano mnie do Baltimore? Do diabła, mam nadzieję, że nie.

Tego wieczoru wróciłem późno do domu, stanowczo za późno. Odetchnąłem z ulgą, widząc, że wszyscy położyli się spać i że nikt na mnie nie czeka, zwłaszcza Nana. Nie dałbym rady stawić czoła jej przygważdżająco – potępiającemu spojrzeniu. Marzyłem tylko o dwóch rzeczach. O szklance piwa i łóżku. I o tym, by sen przyszedł jak najszybciej.

Cicho wślizgnąłem się do środka, nie chcąc nikogo budzić. Panowała kompletna cisza, zakłócana jedynie delikatnym szumem lodówki. Planowałem zadzwonić do Jamilli, kiedy tylko dotrę na piętro. Strasznie się za nią stęskniłem. Kotka Ruda otarła się o moje nogi.

–Cześć, Rudzielcu – szepnąłem. – Dobrze się dzisiaj spisałem.

Usłyszałem płacz.

Szybko pobiegłem na górę, do pokoju małego Alexa. Nie spał i rozkręcał syrenę na pełny regulator. Nie chciałem, by Nana czy któreś ze starszych dzieci musiało wstać i zajmować się małym. Poza tym nie widziałem od rana mojego synka i chciałem się do niego przytulić. Tęskniłem za jego buzią.

Kiedy zajrzałem do niego, siedział na łóżku i zrobił zdziwioną minkę na mój widok. Potem się uśmiechnął i klasnął w rączki, jakby mówił: „O kurcze! Tatuś robi dochodzenie. Tatuś, największy naiwniak w całym domu”.

–Czemu jeszcze nie śpisz, Szczeniaczku? Późno jest – powiedziałem.

Sam zrobiłem łóżko Alexa. Jest niskie i ma barierki, żeby nie wypadł.

Położyłem się obok niego.

–Przesuń się i zrób trochę miejsca tatusiowi – szepnąłem i pocałowałem go w czubek główki. Nie pamiętam, by mój ojciec kiedykolwiek mnie całował, więc całuję Alexa przy każdej sposobności. Tak samo zachowuję się wobec Damona i Jannie, bez względu na to, jak bardzo się przed tym wzbraniają, stając się coraz starsi i głupszy.

–Jestem zmęczony, mały człowieczku – powiedziałem, przeciągając się. – A ty? Miałaś ciężki dzień, Szczeniaczku?

Wydobyłem ze szpary między materacem i barierką butelkę i podałem mu ją. Pociągnął zdrowo, a potem przytulił się do mnie. Przycisnął do siebie Muuu i błyskawicznie zasnął.

To było bardzo miłe. Magiczne. Czuć ten cudowny słodki zapach dziecka. Łagodny oddech, oddech dziecka.

Byliśmy parą rozrabiaków, która spała tej nocy jak zabita.

Rozdział 10

Ślubni zaszyli się na kilka dni w Nowym Jorku. Na Dolnym Manhattanie. Tak łatwo było się tam ukryć, zniknąć z mapy. Poza tym Nowy Jork był miastem, w którym mogli dostać wszystko, czego chcieli, kiedy tylko chcieli. Ślubni mieli smak na ostry seks. W każdym razie na zakąskę.

Pozostawali poza zasięgiem pracodawcy przez ponad trzydzieści sześć godzin. Ich łącznik, Szterling, w końcu połączył się z nimi przez komórkę. Byli wtedy w hotelu Chelsea, przy 23. Zachodniej. Za oknem wisiał szyld w kształcie litery L. Pionowe białe HOTEL i czerwone poziome CHELSEA. Symbol Nowego Jorku.

–Półtorej doby próbuję się z wami skontaktować! – zagrział Szterling. – Nigdy więcej nie wyłączajcie komórki, żeby unikać kontaktu ze mną. To ostatnie ostrzeżenie.

Kobieta, Zoja, ziewnęła i pokazała telefonowi palec. Wolną ręką wepchnęła do odtwarzacza East Eats West. Buchnęła głośna rockowa muzyka.

–Jesteśmy zapracowani, skarbie. Wciąż jesteśmy zapracowani. Czego chcesz, do diabła? Masz dla nas nową kaskę? Kasiorka do nas przemawia.

–Ściszcie muzykę, proszę. Proszę! Jest ktoś, kto ma na coś chrapkę. Ktoś bardzo bogaty. Dysponujący dużymi pieniędzmi.

–Jak powiedziałam, skarbie, jesteśmy bardzo zapracowani. Innymi słowy zajęci. Wychodzimy na lunch. Jak wielka jest ta chrapka?

–Taka sama jak ostatnim razem. Bardzo wielka. Osobisty przyjaciel Wilka musi coś mieć.

Zoja skrzywiła się na wzmiankę o Wilku.

–Podaj szczegóły. Specyfikację. Nie marnuj naszego czasu.

–Zrobimy to tak samo jak zawsze, skarbie. Po jednym puzzlu naraz. Kiedy możecie wystartować? Za pół godziny?

–Musimy tu coś dopiąć. Powiedzmy za cztery godziny. O co konkretnie chodzi z tym musem, tą chrapką?

–Jeden artykuł, płęć żeńska. I niedaleko od Nowego Jorku. Najpierw podam wam kierunek. Potem specyfikację artykułu. Macie cztery godziny.

Zoja popatrzyła na swojego partnera, który wylegiwał się na fotelu. Sława słuchał rozmowy, bezmyślnie bawiąc się smyczą zakładaną na penis. Spoglądał przez okno na cukiernię, krawca, automat do robienia zdjęć. Typowy nowojorski widoczek.

–Bierzemy tę robotę – zgodziła się Zoja. – Powiedz Wilkowi, że jego przyjaciel dostanie, czego chce. Żadnych problemów. – Potem przerwała połączenie ze Szterlingiem. Było ją na to stać.

Spojrzała na Sławę i wzruszyła ramionami. Potem popatrzyła w drugi kąt pokoju, na wielkie małżeńskie łóżko z dekoracyjnym stalowym zagłówkiem. Leżał tam młody blondynek. Był nagi, zakneblowany i przypięty kajdankami do prętów odległych od siebie mniej więcej o stopę.

–Masz farta – powiedziała do niego Zoja. – Jeszcze tylko cztery godziny zabawy, słonko. Jeszcze tylko cztery godziny.

–Będziesz żałował, że nie krócej – dodał Sława. – Słyszałeś kiedyś takie rosyjskie

słowo: zamoczyć. Nie? Pokażę ci zamoczyć. Czterogodzinny zamoczyć. Wilk mnie tego nauczył. Teraz ty nauczysz się ode mnie. Zamoczyć to znaczy połamać komuś wszystkie kości.

Zoja puściła do chłopca perskie oko.

–Cztery godziny. Na zamoczyć. Te cztery godziny będą trwały wiecznie. Nigdy ich nie zapomnisz, skarbie.

Rozdział 11

Kiedy obudziłem się rano, mały Alex spał słodko obok mnie z łepetynką na mojej piersi. Nie mogłem się powstrzymać, by nie ukraść mu jeszcze jednego całusa. I jeszcze jednego. Potem, wciąż leżąc obok mojego synka, zacząłem myśleć o tajniaku Dennisie Coulterze i jego rodzinie. Kiedy wyszli razem z domu, bardzo mnie to poruszyło. To rodzina uratowała Coulterowi życie, a ja miałem szmergla na punkcie rodziny.

Wcześniej poproszono mnie, żebym przed jazdą do Quantico wpadł do budynku imienia Hoovera. W FBI zawsze nazywano go Biurem. Dyrektor chciał obgadać ze mną wydarzenia w Baltimore. Nie miałem pojęcia, czego mogę się spodziewać, ale byłem niespokojny. Może tego ranka powinienem darować sobie kawę Nany.

Prawie każdy, kto widział Hoovera, był gotów przyznać, że to dziwna i niezwykle paskudna budowla. Zajmuje cały kwartał między Pennsylvania Avenue i 9 Wschodnią oraz 10. Najbardziej pasowałoby do niego określenie forteca. Atmosfera w środku jest jeszcze gorsza niż wygląd zewnętrzny. Grobowa cisza i ponurość jak w kostnicy. Długie korytarze lśnią szpitalną bielą.

Kiedy tylko znalazłem się na piętrze dyrektora, zaraz zgarnął mnie jego asystent, Tony Woods. Poznałem go już trochę i polubiłem więcej niż trochę. Był sprawnym facetem.

–W jakim jest humorze, Tony? – spytałem.

–Jego wysokość jest w świetnym nastroju – odpowiedział. – Pewnie po Baltimore.

–Czy Baltimore było egzaminem? – spytałem, nie bardzo wiedząc, ile mogę z niego wydusić.

–Och, to był twój egzamin końcowy. Ale pamiętaj, że każde zadanie to egzamin.

Zaprowadził mnie do małej sali konferencyjnej dyrektora. Burns już tu na mnie czekał. Wzniósł żartobliwie toast szklanką soku pomarańczowego.

–Oto i nasz bohater! – Uśmiechnął się. – Robię wszystko, żeby każdy się dowiedział, że to ty wykonałeś robotę w Baltimore. Świetny początek.

–Obyło się bez strzelaniny – powiedziałem.

–Wykonałeś robotę, Alex. Ludzie z HRT są pod wrażeniem. Ja też.

Usiadłem i nalałem sobie kawy. Wiedziałem, że Burns nie lubi ceregieli.

Obowiązywała zasada: obsłuż się sam.

–Reklamuje mnie pan, bo... wiąże pan ze mną jakieś wielkie plany? – spytałem.

Burns roześmiał się po swojemu, jak spiskowiec do spiskowca.

–Zgadłeś, Alex. Chcę, żebyś przejął mój fotel. Teraz ja z kolei się roześmiałem.

–Nie, dzięki. – Pociągnąłem kawy, która była równie dobra jak kawa Nany, brunatna, gorzkawa, ale znakomita. No cóż, może w połowie tak dobra jak najlepsza waszyngtońska. – Byłby pan łaskaw uchylić rąbka tajemnicy i powiedzieć mi, jakie ma najbliższe plany względem mnie?

Burns znów się roześmiał. Faktycznie był w dobrym humorze.

–Chcę tylko, żeby Biuro działało szybko i skutecznie, to wszystko. Tak jak oddział nowojorski, kiedy nim kierowałem. Powiem ci, w kogo nie wierzę: w biurokratów i narwańców. Biuro ma ich za dużo. Zwłaszcza tych pierwszych. Chcę mieć miejskich

wyjadaczy na ulicach, Alex. A może tylko po prostu wyjadaczy. Wczoraj podjąłeś ryzyko, choć pewnie nie widziałeś tego w ten sposób. Ty nie traktujesz sprawy pod kątem rozgrywek wewnętrznych, chcesz jedynie wykonać dobrze zadanie.

–A co, gdyby mój sposób nie wypalił? – spytałem, stawiając filiżankę na podstawce z emblematem Biura.

–No cóż, do diabła, wtedy nie siedziałbyś tutaj i nie uśmiechalibyśmy się do siebie od ucha do ucha. Ale bądźmy poważni. Chcę cię uczulić na jedną sprawę. Może pomyślisz, że to oczywiste, ale jest o wiele trudniejsze, niż ci się wydaje. W Biurze nie zawsze odróżnisz porządnego faceta od świni. Wielu połamało sobie na tym zęby. Sam próbowałem i wiem, że łatwo o pomyłkę.

Wiedziałem, do czego pije, pewnie do tego, że jedną z moich słabości była wiara w dobro natury ludzkiej. Zdawałem sobie sprawę, że czasem to rzeczywiście słabość, ale nie chciałem, a może nie mogłem tego zmienić.

–Czy pan jest porządnym facetem? – spytałem.

–Oczywiście – odparł z serdecznym uśmiechem, wartym głównej roli w serialu o Białym Domu. – Możesz mi ufać, Alex. Zawsze. Do końca. Tak jak kilka lat temu ufałeś Kyle’owi Craigowi.

Jezu, facet miewał odzywki. Aż ciarki szły po plecach. A może tylko napomniał mnie, bym trzymał się zasady: „Nie ufaj nikomu. Wal przebojem po swoje”.

Rozdział 12

Kilka minut po jedenastej byłem w drodze do Quantico. Nawet po „egzaminie końcowym” w Baltimore musiałem odbębnić zajęcia z opanowywania stresu i realizowania zadań. Znałem już statystyki działań operacyjnych. „Agenci FBI pięć razy częściej giną z własnej ręki niż podczas pełnienia obowiązków służbowych”.

Podczas drogi chodził mi po głowie wiersz Billy’ego Collinsa: „Kolejny powód, który sprawia, że nie trzymam broni w domu”. Niezła myśl, dobry wiersz, fatalny omen.

Zadzwoiła komórka i usłyszałem głos Tony’ego Woodsa. Zmiana planów. Woods rozkazał mi w imieniu dyrektora jechać prosto na lotnisko imienia Ronalda Reagana. Czekał tam na mnie samolot.

Jezu! Już przydzielono mi kolejną sprawę; znów miałem opuścić zajęcia. Sprawy toczyły się szybciej, niż mogłem się spodziewać, i nie byłem pewien, czy to dobrze, czy źle.

–Czy starszy agent Nooney wie, że jestem jednoosobową latającą brygadą dyrektora? – spytałem Woodsa. Myślałem przy tym: „Powiedz mi, że wie. Mam dość kłopotów w Quantico”.

–Na pewno dowie się, gdzie lecisz – obiecał Woods. – Moja w tym głowa. Leć do Atlanty i cały czas informuj o tym, co tam znajdziesz. Instrukcje dostaniesz w samolocie. Chodzi o porwanie. – Tyle tylko mi powiedział.

Biuro przeważnie korzysta z lotniska imienia Ronalda Reagana. Czekala na mnie brązowa nieoznaczona cessna citation ultra. Okazało się, że jestem jedynym pasażerem ośmioosobowej maszyny.

–Pewnie szycha z ciebie – powiedział pilot, zanim wystartowaliśmy.

–Nie jestem żadną szychą. Wierz mi, jestem nikim.

Pilot tylko się roześmiał.

–No to zapnij pasy, Panie Nikt.

Nie ulegało wątpliwości, że na rozkaz dyrektora rozścielano mi czerwony dywanik pod nogami. Traktowano mnie jak starszego agenta. A może jak człowieka dyrektora do zadań specjalnych?

Drugi agent wskoczył do samolotu tuż przed startem. Usiadł po drugiej stronie przejścia i przedstawił się:

–Wyatt Walsh z Waszyngtonu.

Czy też należał do latającej brygady dyrektora? Może miał być moim partnerem?

–Co się tam stało w Atlancie? – spytałem. – Coś na tyle ważnego lub nieważnego, że bez nas się nie obejdzie?

–Nikt ci nic nie powiedział? – Wydawał się zaskoczony moją niewiedzą.

–Niecałe pół godziny temu dostałem telefon z biura dyrektora. Kazano mi tu przyjechać. Powiedziano, że instrukcje dostanę w samolocie.

Walsh cisnął mi na kolana dwa grube skoroszyty notatek.

–W Buckhead w Atlancie dokonano porwania. Kobieta, wiek ponad trzydzieści lat. Biała, zamożna. Jest żoną sędziego, więc sprawa wchodzi w zakres kompetencji policji federalnej. Co ważniejsze, to nie pierwszy taki przypadek.

Rozdział 13

Nagle wszystko zaczęło toczyć się w trzy razy szybszym tempie niż dotychczas. Po wylądowaniu przewieziono mnie do centrum handlowego Phipps Plaza w Buckhead.

Kiedy wjeżdżaliśmy na parking przy Peachtree, rzuciło mi się w oczy, że musiało się tu wydarzyć coś bardzo niedobrego. Mijaliśmy wielkie, znane marki, magnes przyciągający klientów: Saks z Fifth Avenue, Lord Taylor. Zionęły pustką. Agent Walsh powiedział mi, że ofiara, pani Elizabeth Connolly, została porwana w podziemnym garażu przy innym wielkim sklepie, Parisian.

Odgrodzono cały parking, ale najwięcej funkcjonariuszy mrowiło się na poziomie trzecim, na którym dokonano przestępstwa. Każdy poziom ozdobiono purpurowo – złotymi zakrętami, które teraz znikły pod szeroką policyjną taśmą, ogradzającą miejsce przestępstwa. Na miejscu pracowało ruchome laboratorium kryminalistyczne. Niebywała liczba funkcjonariuszy świadczyła, że lokalne służby podchodzą do sprawy wyjątkowo poważnie. W głowie kołatały mi słowa Walsh: „To nie pierwszy taki przypadek”.

Trochę byłem zaskoczony, ale czułem się swobodniej, rozmawiając z miejscowymi policjantami niż z agentami operacyjnymi Biura. Podszedłem do dwojga tajniaków z Atlanty, Pedieo i Ciaccio.

–Postaram się nie wchodzić wam w drogę – obiecałem i dodałem: – Dawniej pracowałem w stołecznym.

–A, kolega z wyprzedaży, co? – zażartowała Ciaccio i parsknęła śmiechem. Żart nie był pozbawiony uszczypliwości. W oczach kobiety przebłyskiwał lodowaty chłód. Pedi wyglądał na dziesięć lat starszego od niej. Oboje byli przystojni.

–Czemu FBI zajmuje się tą sprawą? – zapytał. Opowiedziałem im tyle, ile moim zdaniem powinienem.

–Były inne porwania, a przynajmniej zaginięcia, przypominające ten przypadek. Chodzi o zamożne białe kobiety. Sprawdzamy możliwe związki. I oczywiście to żona sędziego.

–Czy mówimy o poprzednich zaginięciach w okolicy ośrodka kultury „Atlanta?” – spytał Pedi. Pokręciłem głową.

–O ile się orientuję, nie. Inne zaginięcia były w Teksasie, Massachusetts, Arkansas i na Florydzie.

–W grę wchodził okup? – kontynuował Pedi.

–W jednym przypadku, w Teksasie. W innych nie żądano pieniędzy. Jak do tej pory nie znaleziono żadnej kobiety.

–Tylko białe? – spytała wywiadowca Ciaccio. Wcześniej coś notowała.

–Tak, tylko białe kobiety. I wszystkie bardzo zamożne. Ale nie żądano okupu. I nic z tego, co wam mówię, nie może przedostać się do prasy. – Rozejrzałem się po garażu. – Co mamy do tej pory? Pomóżcie mi trochę.

Ciaccio spojrzała na Pediego.

–Joshua?

Pedi wzruszył ramionami.

–W porządku, Irene.

–Coś faktycznie mamy – przyznała Ciaccio. – Podczas porwania w jednym z parkujących samochodów była para nastolatków. Nie widzieli początku zdarzenia.

–Zajmowali się czymś innym – wtrącił Joshua Pedi.

–Ale się podnieśli, kiedy usłyszeli krzyk. Zobaczyli Elizabeth Connolly. I dwójkę porywaczy, mężczyznę i kobietę. Tamci nie zauważyli młodych kochanków, bo młodzi byli na tylnej kanapie vana.

–I leżeli? – spytałem. – Zajęci czymś innym?

–To też. Ale kiedy usiedliby nabrać tchu, zobaczyli mężczyznę i kobietę.

Napastnicy wyglądali na jakieś trzydzieści lat, byli dobrze ubrani. Obezwładnili już panią Connolly. Załatwili sprawę błyskawicznie. Wrzucili ofiarę do bagażnika jej kombi i odjechali.

–Czemu ci młodzi ludzie nie wysiedli z vana, żeby jej pomóc?

Ciaccio pokręciła głową.

–Mówiłam już. Wydarzenia toczyły się bardzo szybko i ogarnął ich strach.

Porwanie wydało się im „nierealne”. Poza tym pewnie się bali. Baraszkowali w samochodzie, zamiast być w szkole. To uczniowie gimnazjum w Buckhead.

Wagarowali.

Porwana przez zespół, pomyślałem. To był istotny przełom w śledztwie. W zapiskach, z którymi zapoznałem się po drodze, nie było mowy o tym, by innych porwań dokonał zespół. Więc to mężczyzna i kobieta?, powtórzyłem w myślach. Interesujące. Dziwne i nieoczekiwane.

–Mógłbyś nam odpowiedzieć na jedno pytanie? – zagadnął wywiadowca Pedi.

–Jeśli będę mógł. Wal śmiało.

Zerknął na swoją partnerkę. Miałem przeczucie, że Joshua i Irene spędzili trochę czasu na tylnej kanapie samochodu gdzieś po drodze. Zdradzały to spojrzenia, które wymieniali między sobą.

–Słyszeliśmy, że to może mieć związek ze sprawą Sandry Friedlander. Zgadza się? To waszyngtońska sprawa sprzed dwóch lat, jak do tej pory nierozwiązana.

Popatrzyłem na niego i pokręciłem głową.

–Nic mi o tym nie wiadomo – powiedziałem. – Pierwszy raz słyszę o Sandrze Friedlander.

Ale to nie była prawda. Imię i nazwisko tej kobiety widniały w tajnych raportach FBI, z którymi zapoznawałem się, lecąc z Waszyngtonu. Była tam mowa o Sandrze Friedlander... i siedmiu innych ofiarach.

Rozdział 14

W głowie wirowały mi myśli. Niedobre myśli. Z materiałów sprawy, które pośpiesznie przejrzałem., dowiedziałem się, że lista kobiet zaginionych w Stanach Zjednoczonych obejmuje dwieście dwadzieścia nazwisk i że zniknięcie przynajmniej siedmiu Biuro przypisuje „szajkom porywaczy białych kobiet”. W grę wchodził ponury motyw. W pewnych kręgach było bardzo duże zapotrzebowanie na białe dwudziesto-, trzydziestoletnie kobiety. Na Bliskim Wschodzie lub w Japonii „towar” tego typu osiągał zawrotne ceny.

Kilka lat temu Atlanta była miejscem skandalicznych praktyk obejmujących niewolnictwo seksualne. Szmuglowano przez granice Azjatki i Meksykanki, po czym zmuszano je do prostytucji w Georgii i obu Karolinach. Sprawa mogła łączyć się z wydarzeniami w meksykańskiej miejscowości Juanita, na terenie której w ciągu ostatnich kilku lat zaginęły setki kobiet.

Wszystkie te okropne fakty i przypuszczenia przelatywały mi przez głowę, kiedy podjeżdżałem pod dom sędziego Brendana Connolly’ego w Tuxedo Park, nieopodal rezydencji gubernatora. Była to bogata willa, replika plantatorskiej rezydencji, którymi Georgia pyszniła się w latach czterdziestych XIX wieku. Posesja miała około dwóch akrów. Na kolistym podjeździe stał porsche boxter. Wszystko to tworzyło idealny obrazek.

Drzwi otworzyła młoda dziewczyna, która nie przebrała się jeszcze po powrocie ze szkoły. Naszywka na jej bluzie wskazywała, że chodzi do prestiżowego college’u, Pace Academy. Powiedziała, że nazywa się Brigid Connolly. Nosila aparat korekcyjny na zębach. Figurowała w materiałach Biura na temat rodziny Connollych. Hol domu był elegancki, z ozdobnym świecznikiem i wypolerowaną posadzką z jesionowych desek.

Dostrzegłem dwie młodsze dziewczynki, a raczej tylko ich głowy, zerkające ciekawie zza załomu głównego korytarza, tuż przy dwóch angielskich pastelach. Wszystkie trzy panny Connolly były śliczne. Brigid miała dwanaście lat, Meredith jedenaście, a Gwynne sześć. Z robionych na kolanie notatek pamiętałem, że młodsza chodziła do prywatnej szkoły założonej jeszcze na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku przez Evę Edwards Lovett.

–Jestem Alex Cross z FBI – powiedziałem. Brigid wydawała się niezwykle dojrzała: mimo tragedii, która dotknęła jej rodzinę, zachowała godność i spokój. – Twój ojciec chyba mnie oczekuje.

–Ojciec zaraz zejdzie, proszę pana – odparła. Odwróciła się i zbesztala młodsze siostry: – Słyszałyście, co mówił tato! Zachowujcie się, jak trzeba. Obie?...

–Ja nie gryzę – zapewniłem dziewczęta, które wciąż zerkaly na mnie. Meredith zrobiła się czerwona jak burak.

–Och, przepraszamy. To nie chodzi o pana.

–Rozumiem – powiedziałem. W końcu się uśmiechnęły i okazało się, że Meredith też nosi aparat korekcyjny. To były urocze, słodkie dziewczynki.

Z góry rozległ się głos:

–Agent Cross?

Agent?, pomyślałem. Nie przywykłem jeszcze do tego, że tak się do mnie zwracano.

Podniosłem wzrok. Sędzia Brendan Connolly schodził na parter. Miał na sobie niebieską koszulę w paski, granatowe luźne spodnie i czarne mokasyny. Był zadbany i w dobrej formie, ale równocześnie wyglądał tak, jakby nie spał od co najmniej paru dni. Z materiałów FBI wiedziałem, że ma czterdzieści cztery lata, jest po politechnice stanowej w Georgii i Szkole Prawa imienia Vanderbilta.

–Więc jak to jest? – spytał i uśmiechnął się z wysiłkiem. – Gryzie pan czy nie? Uścisnęliśmy sobie dłonie.

–Gryzę tylko tych, którzy na to zasługują – odparłem. – Jestem Alex Cross.

Brendan Connolly wskazał mi skinieniem głowy dużą, wyłożoną do sufitu książkami bibliotekę, pełniącą zarazem rolę gabinetu. Znalazło się w niej również miejsce na niewielki fortepian. Zauważyłem nuty z piosenkami Billy’ego Joela. W kącie stała kozetka z rozrzuconą pościelą.

–Kiedy agent Cross i ja załatwimy sprawy, pomyślimy o obiedzie – zapowiedział dziewczynkom ojciec. – Postaram się nie struć dzisiaj nikogo, ale będę potrzebował waszej pomocy, młode damy.

–Tak, tatusiu – odpowiedziały chórkami. Widać było, że uwielbiają ojca. Zasunął dębowe drzwi i znaleźliśmy się sami.

–To takie trudne. Takie ciężkie. – Westchnął. – Chodzi mi o to, że przy nich muszę robić dobrą minę do złej gry. Są najlepszymi córkami na świecie. – Objął gestem wyłożony książkami pokój. – To ulubione miejsce Lizzie. Doskonale gra na fortepianie. Dziewczęta też. Oboje jesteśmy molami książkowymi, ale ona wprost przepada za tą biblioteką.

Usiadł w klubowym fotelu obitym wiśniową skórą.

–Doceniam to, że przyleciał pan do Atlanty. Słyszałem, że jest pan świetny w trudnych sprawach. Jak mogę panu pomóc? – zapytał.

Siadłem naprzeciwko niego, na kanapie od kompletu. Na ścianie nad Connollym wisiały fotografie Partenonu, Chartres, piramid i dyplom honorowy Chastain Horse Park, ośrodka jeździeckiego prowadzącego terapię dzieci z porażeniem mózgowym.

–Wielu ludzi pracuje nad znalezieniem pani Connolly. Sprawdza się różne poszlaki. Nie zamierzam zagłębiać się w szczegóły dotyczące pańskiej rodziny. To sprawa miejscowych wywiadowców.

–Dziękuję panu – powiedział sędzia. – Odpowiadanie na te wszystkie pytania działa na mnie potwornie przygnębiająco. W kółko to samo. Nie wyobraża pan sobie. Skinąłem głową.

–Czy jest panu wiadomo o kimś z sąsiedztwa, mężczyźnie albo nawet kobiecie, kto w nieodpowiedni sposób interesowałby się pańską żoną? Kto byłby w niej mocno zadurzony, może miał obsesję na jej punkcie? Te sprawy mnie interesują. Poza tym, czy działo się coś, co pańskim zdaniem odbiegałoby od normy? Czy ktoś obserwował pańską żonę? Czy ostatnio nie kręciło się tu więcej ludzi niż zwykle? Dostawcy? Poczta kurierska, inne usługi? Sąsiedzi, których można by o coś podejrzewać? Koledzy z pracy? Nawet znajomi, którzy mogliby miewać fantazje

erotyczne na temat pani Connolly?

Brendan Connolly kiwnął głową.

–Rozumiem, do czego pan zmierza.

Spojrzałem mu w oczy.

–Czy pan i pańska żona kłóciliście się ostatnio? – spytałem. – Jeśli tak, muszę o tym wiedzieć. Potem możemy iść dalej.

Kąciki oczu Brendana Connolly’ego nagle zwilgotniały.

–Poznałem Lizzie w Waszyngtonie, kiedy pracowała dla „Post”, a ja byłem młodszym wspólnikiem w tamtejszej kancelarii prawnej, Tatę Schilling. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Prawie nigdy się nie kłóciliśmy, rzadko podnosiliśmy na siebie głos. I tak pozostało. Agencje Cross, kocham moją żonę. I córki. Proszę, niech pan pomoże nam sprowadzić ją do domu. Musi pan znaleźć Lizzie.

Rozdział 15

Nowoczesny ojciec chrzestny. Czterdziestosiedmioletni Rosjanin mieszkający w Ameryce i znany jako Wilk. Plotka mówiła, że nie boi się niczego i macza palce we wszystkich rodzajach przestępczej działalności, od handlu bronią przez wymuszenia po handel narkotykami. Zajmował się również działalnością zgodną z prawem, miał udziały w bankach i funduszach inwestycyjnych wysokiego ryzyka. Nikt chyba nie wiedział, kim jest naprawdę, nie znano jego amerykańskiego nazwiska ani miejsca zamieszkania. Spryciarz. Niewidzialny człowiek. Poza zasięgiem FBI i każdego, kto chciałby go namierzyć.

Nie miał jeszcze trzydziestki, kiedy odszedł z KGB i stał się jednym z najbardziej bezwzględnych przywódców zorganizowanej przestępczości w Rosji, czerwonej mafii. Jego imiennik, wilk syberyjski, był zręcznym myśliwym, był też jednak bezlitośnie ściganą zwierzyną. Był szybki i potrafił pokonać znacznie większe zwierzęta, ale jego mięso i futro były w cenie. Wilka w ludzkiej skórze również ścigano, tyle że policja nie wiedziała, kogo ma ścigać.

Niewidzialny. Tak jak sobie zaplanował. Ukrywał się w szczególny sposób. Tego pogodnego wieczoru człowiek zwany Wilkiem wydawał huczne przyjęcie w swoim domu o powierzchni dwudziestu tysięcy stóp kwadratowych, w Fort Lauderdale na Florydzie.

Pretekstem było pierwsze wydanie nowego czasopisma dla mężczyzn, „Instynkt”, mającego konkurować z takimi tytułami jak „Maxi” i „Stun”.

W Lauderdale Wilk był znany jako Ari Manning, bogaty człowiek interesu pochodzący z TelAwiwu. Miał inne nazwiska w innych miastach. Wiele nazwisk w wielu miastach.

Właśnie przechodził przez swój gabinet, w którym dwudziestka gości śledziła na kilku telewizorach mecz futbolowy, w tym na plazmowym sześćdziesięciojednocalowym runco. Kilku fanatycznych kibiców pochylało się nad komputerem z bazą danych. Na pobliskim stoliku umieszczono w bloku lodu butelkę stolicznej. Wódka w lodzie była jedynym rosyjskim akcentem dopuszczanym przez Wilka.

Przy wzroście sześć stóp i dwa cale Wilk ważył dwieście czterdzieści funtów, co nie przeszkadzało mu poruszać się z gracją wielkiego, potężnego zwierzęcia. Krążył między gośćmi, zawsze uśmiechnięty i sypiący dowcipami, wiedząc, że nikt z obecnych nie rozumie, dlaczego się uśmiecha; nikt z tak zwanych przyjaciół, współników w interesach czy znajomych nie miał pojęcia, kim jest.

Znali go jako Ariego, nie jako Paszę Sorokina, a już w żadnym wypadku nie jako Wilka. Nic nie wiedzieli o skrzyniach diamentów kupionych nielegalnie w Sierra Leone, tonach heroiny z Azji, broni, a nawet odrzutowcach sprzedawanych Kolumbijczykom czy białych kobietach zakupionych przez Saudyjczyków i Japończyków. W południowej Florydzie mówiono o nim, że chodzi własnymi ścieżkami, zarówno w życiu prywatnym, jak i w interesach. Tego wieczoru przyjmował ponad stu pięćdziesięciu gości, ale jedzenia i alkoholi było dla dwa razy większej liczby. Ściągnął szefa kuchni z nowojorskiego Le Cirque 2000 i specjalistę

od sushi z San Francisco. Kelnerki były w strojach cheerleaderek, ale topless. Celowy wulgarny żart, gwarantowany policzek, wymierzony wszystkim, hołdującym poprawności obyczajowej. Deser niespodziankę – jego słodkie niespodzianki były sławne – sprowadził z Wiednia. Torty czekoladowe od samego Sachera. Tak, tak, Ariego można było tylko uwielbiać. Albo nienawidzić.

Uściskał rubasznie dawnego zawodnika Miami Dolphins i porozmawiał z prawnikiem, który zarobił dziesiątki milionów dolarów na odszkodowaniach dla ofiar nałogu tytoniowego w tak zwanej tytoniowej ugodzie florydzkiej. Wymienili dowcipy na temat gubernatora Jeba Busha. Następnie Wilk ruszył dalej w tłum. Mrowie lizodupów, karierowiczów i oportunistów przybyło do jego domu, żeby pokazać się wśród dobrze i źle widzianych. Nadęci, zepsuci egoiści, a najgorsze, że nudni jak flaki z olejem.

Przeszedł brzegiem zadaszzonego basenu do drugiego, na otwartym powietrzu, dwa razy większego niż pierwszy. Porozmawiał z gośćmi i dał szczodry datek na fundację charytatywną prywatnej szkoły. Żona jednego z gości przystawiała się do niego. Normalna sprawa. Odbył poważną rozmowę z właścicielem najważniejszego hotelu w stanie, dealerem mercedesa, szefem wielkiego konglomeratu, kolesiem od wypadów myśliwskich.

Nie cierpiał tych wszystkich błaznów, szczególnie starszych, którzy wypadli już z obiegu. Żaden z nich nie podjął w życiu prawdziwego ryzyka. Niemniej jednak zarobili miliony, a nawet miliardy, i uważali się za nie byle jakich spryciarzy.

I nagle znowu pomyślał o Elizabeth Connolly, pierwszy raz, od jakiejś godziny. Jego słodka, seksowna Lizzie wyglądała jak Claudia Schiffer i z przyjemnością wspominał dni, kiedy wizęrunek niemieckiej modelki widniał na setkach billboardów w całej Moskwie. Pożądał Claudii – wszyscy mężczyźni w Rosji jej pożądali – i teraz miał na własność jej podobiznę.

Dlaczego? Bo było go na to stać! Całe życie, na każdym kroku, kierował się tą zasadą.

I właśnie dlatego trzymał Lizzie tuż przed nosem całej tej zgrai w swoim wielkim domu w Fort Lauderdale.

Rozdział 16

Lizzie Connolly nie mogła uwierzyć w to wszystko, co się z nią działo. To było zbyt niewiarygodne. Wprost nierealne! A jednak prawdziwe. Została porwana!

Dom, w którym ją przetrzymywano, był pełen ludzi. Pełen! Zewsząd rozlegały się odgłosy wielkiego przyjęcia. Zrobił tu przyjęcie? Jak śmiał...?!

Czy ten chory na umyśle porywacz był do tego stopnia pewny siebie? Tak arogancki? Tak bezczelny? Czy to możliwe? Oczywiście, że możliwe. Przechwalał się, że jest gangsterem, królem gangsterów, może największym w historii. Miał odrażające tatuaże: na grzbiecie prawej ręki, na ramionach, na plecach, wokół prawego kciuka i na narządach płciowych, na mosznie i penisie.

Lizzie nie wątpiła, że słyszy odgłosy przyjęcia. Rozróżniała nawet głosy. Plotkowano o zbliżającym się wyjeździe do Aspen, o romansie niańki z tutejszą panią domu, o utonięciu dziecka w basenie, równolatki jej sześciolatniej Gwynnie. Słyszała opowieści z boiska futbolowego i świńskie męskie dowcipy, a także dowcip o kocie syjamskim i dwóch ministrantach, który już krążył w mieście.

Kim, do diabła, byli ci ludzie? Gdzie ją trzymano? Gdzie ja jestem, do cholery? – zastanawiała się.

Walczyła ze wszystkich sił, by nie utracić zdrowego rozsądku, ale to było prawie niemożliwe. Ten cały tłum. Te idiotyczne pogaduszki.

Byli niewyobrażalnie blisko, blisko miejsca, w którym leżała skrępowana i zakneblowana, więziona przez szaleńca, zapewne mordercę.

W końcu łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Nie mogła znieść tych głosów, śmiechów, bliskości tych ludzi. Wszystko to zaledwie kilka kroków od niej!

Jestem tu! Obok! Do cholery, pomóżcie mi. Pomocy! Jestem obok!

Leżała w ciemności. Ślepa.

Bawiący się po drugiej stronie grubych drewnianych drzwi ludzie to był inny świat. Ona leżała zamknięta w klitce obok garderoby; przebywała w niej już wiele dni. Cała jej swoboda kończyła się na wyjściu do toalety.

Była mocno skrępowana liną.

Zakneblowana taśmą.

Żeby nie zawołała pomocy. Nie mogła krzyczeć, tylko w myślach.

Proszę, pomóżcie mi.

Proszę, ratunku! Jestem tu! Obok! Nie chcę umierać.

Bo ten szaleniec powiedział, że jednego może być pewna tego, że ją zabije.

Rozdział 17

Ale nikt nie mógł usłyszeć Lizzie Connolly. Przyjęcie trwało, coraz liczniejsze, głośniejsze, wulgarniejsze i bardziej ekstrawaganckie. Nocą limuzyny odbyły jedenaście kursów, dowożąc zamożnych gości do tego wielkiego domu na wybrzeżu Fort Lauderdale. Potem odjechały. Nie czekały na pasażerów. Nikt tego nie zauważył, a przynajmniej nie pokazał po sobie, że zauważył.

I nikt nie zwrócił uwagi na to, że dowiezieni limuzynami goście odjechali zupełnie innymi samochodami. Bardzo drogimi samochodami, najlepszymi na świecie. Wszystkie od pierwszego do ostatniego były kradzione.

Zawodowy futbolista odjechał ciemnokasztanowym kabrioletem, rolls – royce'em corniche, wartym trzysta sześćdziesiąt trzy tysiące dolarów, wykonanym w całości na zamówienie, od lakieru karoserii, drewnianych elementów wnętrza i skóry foteli po tapicerkę. Nawet krzyżujące się „R” umiejscowiono na desce rozdzielczej zgodnie z kaprysem zamawiającego.

Biały gwiazdor rapu odjechał niebiesciutkim astonem martinem vanquishem wartym dwieście dwadzieścia osiem tysięcy dolarów, przyspieszającym od zera do stu mil w niecałe dziesięć sekund.

Najdroższym samochodem był produkowany w Ameryce saleen S7 o podnoszonych do góry drzwiach, wyglądzie rekina i pięćset pięćdziesięciu koniach mechanicznych mocy.

W sumie dostarczono kupującym jedenaście bardzo drogich i bardzo nieuczciwie pozyskanych pojazdów.

Srebrna zonda pagani za trzysta siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Silnik wyprodukowanego we Włoszech sportowego samochodu czekał, wył, ryczał.

Srebrno – pomarańczowy spyker C8 12, z podwójną turbosprężarką i sześćset dwadzieścia koni mechanicznych mocy.

Brązowy kabriolet bentley azure mulliner – za jedyne trzysta siedemdziesiąt sześć tysięcy dolarów.

Ferrari 575 maranello – dwieście piętnaście tysięcy dolarów.!

Porsche GT2.

Dwa bładozłote lamborghini murcielagos, dwieście siedemdziesiąt tysięcy dolarów sztuka, nazwane jak wszystkie lamborghini imieniem sławnego byka.

Hummer H1, nie tak kosztowny jak pozostałe, ale żaden inny samochód nie śmiał wpakować mu się przed maskę.

W sumie wartość ukradzionych samochodów przekraczała trzy miliony, cena sprzedaży nie sięgała dwóch.

Było czym zapłacić za torty od Sachera. I jeszcze troszkę zostało.

Poza tym Wilk uwielbiał szybkie, piękne samochody... uwielbiał wszystko, co szybkie i piękne.

Rozdział 18

Następnego dnia wróciłem samolotem do Waszyngtonu. Do domu dotarłem o szóstej wieczorem, zakończywszy pracę na ten dzień. W takich chwilach wydawało mi się, że moje życie prawie wróciło do normy. Może dobrze zrobiłem, wstępując do FBI, może... Kiedy wysiadałem z wiekowego czarnego porsche, zobaczyłem na frontowej werandzie Jannie. Ćwiczyła na skrzypcach. Chciała być drugą Midori. Jej gra robiła wrażenie – przynajmniej na mnie. Kiedy Jannie na czymś zależało, nie odpuszczała.

–Co to za piękna dama trzyma tak idealnie tego juzka* [Jan Juzek – czeski lutnik, wytwarzający w Pradze od 1911 r. skrzypce i inne instrumenty]? – zawołałem, idąc przez trawnik.

Jannie spojrzała w moim kierunku. Nic nie odpowiedziała. Uśmiechała się z wyższością, jakby tylko ona знаła ten sekret. Zgodnie z zaleceniami Suzukiego Nana i ja uczestniczyliśmy w jej zajęciach. Zmodyfikowaliśmy nieco harmonogram, aby robić wszystko razem z dziećmi. Obecność rodziców oraz opiekunów przynosiła korzyści w nauce. Suzuki kładł wielki nacisk na unikanie współzawodnictwa i jego negatywnych skutków. Rodzice powinni słuchać taśm i towarzyszyć dziecku w zajęciach. Ja brałem udział w wielu z nich. Nana uczestniczyła w pozostałych. Przyjęliśmy na siebie rolę „domowego nauczyciela”.

–Jakie to piękne. Co za cudowna melodia powitalna – stwierdziłem. Uśmiech Jannie był wart wszystkiego, przez co musiałem przejść w pracy tego dnia.

–Poskromienie dzikiej bestii – powiedziała, gdy skończyła. Włożyła skrzypce pod pachę, opuściła smyczek i ukloniła się. A potem wróciła do gry.

Usiadłem na stopniach werandy i słuchałem. Byliśmy tylko my, zachodzące słońce i muzyka. Bestia poskromiona – pomyślałem.

Po zakończeniu ćwiczeń zjedliśmy lekką kolację i pojechaliśmy do Kennedy Center na darmowy program w Grand Foyer. Wieczór nosił tytuł: „Liszt i wirtuozeria”. Ale nie myślcie, że to koniec. Zgodnie z planem podjęliśmy atak na nową ścianę w Capital Y. A potem wraz z Damonem szaleliśmy przy grach wideo: Wieczny Mrok, Requiem dla Zdrowego Rozsądku i Sztuka Wojenna III: Królestwo Chaosu.

Miałem nadzieję, że tak już będzie zawsze. Nawet gdybym był skazany na gry wideo. Znalazłem się na właściwym kursie i podobało mi się to. Nanie i dzieciom również.

Około wpół do jedenastej zadzwoniłem do Jamilli, by zakończyć dzień jak należy. Na odmianę była w domu o przyzwoitej porze.

–Hej – powiedziała, usłyszawszy mój głos.

–I tobie hej. Możesz rozmawiać? Czy dzwonię nie w porę?

–Może uda mi się wygospodarować dla ciebie chwilkę albo dwie. Mam nadzieję, że dzwonisz z domu? No jak? – Wróciłem o szóstej. Potem pojechaliśmy rodzinnie do Kennedy Center. Wieczór się udał.

–Zazdroszczę.

Porozmawialiśmy o jej planach, potem o moim wielkim wieczorze z dziećmi i

wreszcie o wydarzeniach w moim życiu prywatnym i zawodowym. Ale nie zapomniałem tego, co Jamilla powiedziała na początku rozmowy. Że ma dla mnie chwilę, może dwie. Nie spytałem, dokąd się wybiera. Gdyby chciała mi powiedzieć, zrobiłaby to.

–Tęsknię za tobą, kiedy jesteś w San Francisco – westchnąłem, ale nie drążyłem tematu. Miałem nadzieję, że nie zabrzmiało to obojętnie. Bo moje uczucia wobec Jam to przeciwieństwo obojętności. Nie było chwili, żebym o niej nie myślał.

–Muszę biec, Alex. Pa – powiedziała.

–Pa.

Musiła gdzieś biec. A ja właśnie próbowałem przystopować.

Rozdział 19

Następnego przedpołudnia kazano mi wziąć udział w konferencji dotyczącej porwania pani Connolly. Przyjęto, że sprawa łączy się z innymi porwaniami z ostatniego roku. Została uznana za priorytetową i nadano jej kryptonim „Biała Dziewczyna”.

Do Atlanty wysłano już Zespół Przyspieszonego Otwarcia. Zażądano zdjęć satelitarnych Phipps Plaza, licząc na to, że uda się zidentyfikować pojazd, którym nieznani sprawcy dotarli na miejsce, zanim odjechali kombi ofiary.

W pozbawionej okien sali spraw priorytetowych w Biurze siedziało około dwudziestu agentów. Po przybyciu na miejsce dowiedziałem się, że oddziałem – matką tej sprawy będzie Waszyngton, co oznaczało, że dyrektor Burns interesuje się nią osobiście. Wydział Dochodzeniowy Spraw Kryminalnych już przygotował raport dla niego. O uznaniu sprawy za priorytetową przesądził fakt, że znikła żona sędziego federalnego.

Obok mnie usiadł Ned Mahoney z HRT. Był nawet nie tyle wylewny, co wręcz przyjacielski. Puścił do mnie oko i powiedział:

–Witam, gwiazdo.

Z drugiej strony klapnęła drobna brunetka w czarnym kombinezonie. Powiedziała, że nazywa się Monnie Donnelley, jest analitykiem przestępstw przeciwko życiu i że skierowano ją do sprawy. Mówiła jak karabin maszynowy i miała nieprawdopodobną energię.

–Wygląda na to, że będziemy razem pracować – powiedziała, ściskając mi rękę. – Słyszałam o tobie wiele dobrego. Znam twoje resume. Też robiłam studium doktoranckie u Hopkinsa. Co ty na to?

–Monnie to nasza najlepsza z najlepszych – wtrącił Mahoney. – Najskromniej mówiąc.

–Masz sto procent racji – zgodziła się z nim. – Rozkolportuj to dalej, proszę. Mam dość statusu tajnej broni.

Zauważyłem, że mój opiekun, Gordon Nooney, nie znalazł się w grupie pięćdziesięciu agentów, którzy tymczasem zgromadzili się w sali. Rozpoczęła się konferencja poświęcona Białej Dziewczynie.

Przed nami pojawił się starszy agent Walter Zelras i zaczął prezentować slajdy. Wyrażał się w sposób profesjonalny, ale bardzo suchy. Czuję się prawie tak, jakbym wylądował w IBM albo Chase Manhattan Bank, a nie w FBI. Monnie szepnęła:

–Nie przejmuj się, będzie gorzej. On dopiero się rozkręca.

Zelras miał buczący głos, przypominający mi mojego starego wykładowcę z Hopkinsa. I tamten, i Zelras przykładali do wszystkiego tę samą wagę, nigdy nie okazywali ekscytacji ani przygnębienia prezentowanym materiałem. Zelras skupił się na ewentualnych związkach porwania Connolly z kilkoma innymi porwaniami dokonanymi w poprzednich miesiącach. Teoretycznie temat zapierający dech w piersiach.

–Gerrold Gottlieb – szepnęła znów Monnie Donnelley. Z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Gottlieb był tamtą piłą z Hopkinsa.

–W ciągu ostatniego roku liczba zaginięć zamożnych, atrakcyjnych białych kobiet – mówił Zelras – trzykrotnie przekroczyła normę statystyczną. Odnosi się to zarówno do Stanów Zjednoczonych, jak i do Europy Wschodniej. Zaraz puszcze w obieg katalog kobiet wystawionych na sprzedaż około trzech miesięcy temu. Niestety nie udało się znaleźć osoby lub osób, które stworzyły ten katalog. Wydawało się nam, że trafiliśmy na pewien ślad w Miami, ale okazało się, że prowadzi donikąd.

Kiedy katalog dotarł do mnie, zobaczyłem, że jest czarnobiały, zapewne został ściągnięty z Internetu. Przejrzałem go szybko. Prezentował siedemnaście nagich kobiet. Zawierał takie szczegóły jak rozmiar biustu, obwód talii, oryginalny kolor włosów i kolor oczu. Kobiety występowały pod pseudonimami typu:

Cukierek, Czarnulka, Sexy, Madonna i Soczysta. Były wycenione w granicach od trzech i pół do stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Żadnych danych. Ani biograficznych, ani osobowych.

–Podejrzewamy, że chodzi o handel białymi niewolnicami. Podjęliśmy w tej sprawie ścisłą współpracę z Interpolem. Białe niewolnice to kobiety kupowane i sprzedawane w jednym celu, do prostytucji. Najczęściej chodzi o Azjatki, Meksykanki, Latynoski i kobiety z krajów Europy Wschodniej. Tylko te ostatnie są naprawdę białe. Zauważcie również, że w dzisiejszych czasach niewolnictwo uległo globalizacji i wiąże się z większą wymianą informacji niż kiedykolwiek w historii. Niektóre państwa azjatyckie udają, że nie widzą handlu kobietami i dziećmi, zwłaszcza gdy ofiary są kierowane do Japonii i Indii.

W ciągu ostatnich kilku lat gwałtownie wzrósł handel białymi kobietami, szczególnie blondynkami. Ceny zaczynają się od kilkuset dolarów i sięgają pięćdziesięciu tysięcy, a możliwe, że wyżej. Jak powiedziałem, znaczący rynek to Japonia. Kolejny to oczywiście Bliski Wschód. Największą grupę kupujących stanowią Saudyjczycy. Wierzcie lub nie, ale popyt na tego rodzaju towar jest nawet w Iraku i Iranie. Jakież pytania?

Padło trochę pytań, w większości sensownych, świadczących o tym, że zebrano grupę ludzi znających się na rzeczy.

Początkowo milczałem, mając świadomość, że jestem tu nowy, ale w końcu też zabrałem głos:

–Czemu zakładamy, że porwanie Elizabeth Connolly wiąże się z innymi przypadkami? – Objąłem gestem zebranych. – Mam na myśli związek, który tu omawiano. Zelras miał gotową odpowiedź.

–Porywacze działali w zespole. Gangi porywaczy to znana sprawa w handlu niewolnikami, szczególnie w Europie Wschodniej. Są doświadczone i bardzo sprawne, mają kanały przerzutowe. W przypadku takiej osoby jak pani Connolly zwykle cała sprawa zaczyna się od kupca. Porwanie osoby o wysokiej pozycji jest bardzo ryzykowne, ale gwarantuje wielki zysk. Magnesem jest również to, że nie ma niebezpieczeństwa wpadki, grożącego podczas wymiany ofiary za okup. Porwanie Connolly odpowiada naszej charakterystyce.

Ktoś zapytał:

–Czy kupiec może zażądać konkretnej kobiety? Czy jest taka możliwość? Zelras

skinał głową.

–Jeśli zapłata jest odpowiednia, to tak, jak najbardziej. Cena może iść w setki tysięcy. Rozpracujemy ten motyw. Reszta spotkania obracała się wokół porwania pani Connolly i tego, czy uda się ją szybko znaleźć. Przeważały opinie negatywne. Zwłaszcza jeden szczegół był niepokojący: dlaczego dokonano porwania w miejscu publicznym? Wydawało się, że sprawcom może chodzić o okup, ale przecież nie zostawili listu z żądaniem zapłaty. Czy ktoś zapragnął właśnie Elizabeth Connolly? Jeśli tak, to kto? Dlaczego właśnie jej? I dlaczego centrum handlowe? Były miejsca bardziej sprzyjające porywaczom. Podczas gdy rozmawialiśmy, na ekranie prezentowano zdjęcie pani Connolly i jej trzech córek. Wszystkie cztery wyglądały na bardzo żyte ze sobą i szczęśliwe. Widząc je i wiedząc, co je spotkało, czułem strach i smutek. Nagle przyłapałem się na tym, że wspominam chwile spędzone wczoraj z Jannie na werandzie.

Ktoś zapytał:

–Czy znaleziono którąś z porwanych?

–Nie – odparł agent Zelras. – Obawiamy się, że nie żyją, że porywacze lub ich zleceniodawcy uznali, iż mogą się ich pozbyć.

Rozdział 20

Kiedy tego dnia wróciłem po lunchu na zajęcia, miałem okazję wysłuchać kolejnej serii koszmarnych dowcipów Horowitza. Uniósł w górę kartki z przygotowanym materiałem.

–Oto zweryfikowana lista ulubionych piosenek Davida Koresha* [Yernon Howell, przywódca sekty religijnej, który wraz z siedemdziesięcioma czterema zwolennikami zginął w 1993 r, podpaliwszy swoją wiejską posiadłość, gdy otoczyła ją policja.]: Rozpal moje życie, Płonę, Wielkie kule ognia. Moja ulubiona to Palę dom. Uwielbiam Talking Heads.

Doktor Horowitz chyba wiedział, że jego dowcipy są marne, ale czarny humor pasuje do funkcjonariuszy policji. Trzeba było mu też przyznać, że umiał zachować kamienną twarz, kiedy nas „zabawiał”. I wiedział, kto nagrał Palę dom.

Mieliśmy zajęcia z następujących przedmiotów: kierowanie połączonych spraw, wymiana informacji między agencjami policyjnymi, dynamiczna osobowość wielokrotnych morderców. Podczas tych ostatnich zajęć dowiedzieliśmy się, że to, iż wielokrotni zabójcy są „dynamiczni”, oznacza, że są coraz lepsi w zabijaniu. Tylko „cechy rytualne” nie ulegają zmianie. Nie zwracałem sobie głowy notatkami.

Następne były zajęcia praktyczne w terenie. Wszyscy włożyliśmy sportowe kurtki z osłonami na gardło, maski na twarz i udaliśmy się do Hogans Alley. Trzy samochody goniły czwarty. Wyły syreny, padały rozkazy z megafonów:

–Stop! Zjechać na pobocze! Wysiadać z rękami w górze.

Amunicja była ćwiczebna, pociski z końcówkami z kolorowym płynem.

Zanim skończyliśmy, zrobiła się piąta. Wziąłem prysznic, przebrałem się i przechodząc z hali treningowej do stołówki, przy której miałem swoją klitkę, natknąłem się na Nooneya. Wezwał mnie skinieniem dłoni. A co, jeśli nie chcę?, pomyślałem.

–Wracasz do stolicy? – spytał.

Kiwnąłem głową i powiedziałem sobie w duchu, że mam panować nad nerwami.

–Za chwilę. Najpierw muszę zapoznać się z pewnymi raportami dotyczącymi porwania w Atlancie.

–Ho, ho. Jestem pod wrażeniem. Reszta twoich kolegów śpi tutaj. Niektórzy z nich uważają, że to pomaga w budowaniu więzi koleżeńskich. Ja też tak uważam. Czyżby twoje przybycie zapowiadało jakieś zmiany?

Pokręciłem głową i spróbowałem rozbroić Nooneya uśmiechem. Bezskutecznie.

–Powiedziano mi, że mogę wracać na noc do domu. Większość pozostałych nie ma takiej możliwości.

Nooney zaczął dobierać mi się do skóry, próbując wzbudzić stare antypatie.

–Słyszałem, że miałeś pewne kłopoty ze swoim szefem w Waszyngtonie – powiedział.

–Každy miał kłopoty z szefem wywiadowców Pittmanem. Odpowiedział mi nieprzeniknionym spojrzeniem. Wyraźnie miał inne podejście do sprawy.

–Tutaj też prawie každy ma ze mną kłopoty. Ale to nie znaczy, że moje poglądy na pracę zespołową są mylne. Ja się nie mylę, Cross.

Nie wdałem się w pyskówkę. Nooney znów chciał mi dopiec.

Dlaczego? Chodziłem na te zajęcia, na które mogłem; dodatkowo miałem pracę przy Białej Dziewczynie. Czy mi się podobało, czy nie, dostałem przydział. I nie były to kolejne zajęcia praktyczne. To było na serio. I było ważne.

–Muszę zająć się pracą – powiedziałem w końcu. Potem zostawiłem go samego. Byłem pewien, że właśnie zrobiłem sobie pierwszego wroga w FBI. Na dodatek poważnego. Ale jak już, to już.

Rozdział 21

Zapewne starcie z Gordonem Nooneyem obudziło we mnie poczucie winy, gdyż pracowałem do późna w mojej klitce, obok pomieszczeń specjalistów od analizy zachowań. Niskie sufity, złe jarzeniowe oświetlenie i nagie ściany sprawiły, że poczułem się jak w moim komisariacie. Ale bogactwo materiałów archiwalnych i dokumentacji FBI było godne podziwu. Żadna policja miejska nie miała archiwów porównywalnych z bazą danych Biura.

Przejrzenie jednej czwartej akt dotyczących handlu białymi niewolnicami zajęłoby mi dobrych kilka godzin, a były to tylko sprawy w USA. Jeden przypadek zwrócił moją szczególną uwagę; chodziło o waszyngtońską adwokatkę, Ruth Morgenstern. Ostatni raz widziano ją około wpół do dziesiątej wieczorem dwudziestego sierpnia. Przyjaciółka podrzuciła Ruth pod jej mieszkanie w Foggy Bottom.

Pani Morgenstern liczyła sobie dwadzieścia sześć lat, ważyła sto jedenaście funtów, miała niebieskie oczy i długie do ramion blond włosy. Dwudziestego ósmego sierpnia w okolicach bazy marynarki wojennej Anacostia znaleziono jeden z jej dokumentów identyfikacyjnych. Dwa dni później na ulicy znaleziono jej przepustkę sądową.

Ale samej Ruth Morgenstern nie odnaleziono. W aktach sprawy widniał zapis: „Prawdopodobnie nie żyje”.

Zastanawiałem się, czy to prawda.

A co z panią Elizabeth Connolly?

Okolo dziesiątej, kiedy już ziewałem na potęgę, trafiłem na raport, który mnie obudził. Przeczytałem go raz, potem drugi.

Dotyczył porwania sprzed jedenastu miesięcy. Ofiarą była niejaka Jilly Lopez z Houston. Przystępstwa dokonano przy hotelu Houstonian. Widziano zespół. Dwóch mężczyzn kręciło się w garażu koło SUV – a ofiary. Pani Lopez była podobno „bardzo pociągająca”.

Parę minut potem rozmawiałem z funkcjonariuszem prowadzącym tamto dochodzenie. Wywiadowca Steve Bowen był zdziwiony moim zainteresowaniem, ale chętny do współpracy. Powiedział, że od porwania wszelki słuch o pani Lopez zaginął. Nie zażądano okupu.

–To była prawdziwa dama. Każdy człowiek, z którym o niej rozmawiałem, mówił, że była naprawdę urocza.

W Atlancie usłyszałem to samo o Elizabeth Connolly.

Już nie cierpialem tej sprawy, ale nie mogłem przestać o niej myśleć. Biała Dziewczyna. Wszystkie zaginione kobiety były urocze, zgadza się? To była wspólna cecha wszystkich porwań. Więc może na ten wzorzec zwracali uwagę kidnapery.

Urocze ofiary. Jak daleko sięgały granice tej potworności?

Rozdział 22

Kiedy wróciłem do domu, była dwudziesta trzecia piętnaście, ale czekała mnie niespodzianka. Przyjemna niespodzianka. Na schodkach siedział John Sampson. Całe sześć stóp dziewięć cali i dwieście pięćdziesiąt funtów Johna Sampsona. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak wysłannik piekielny, ale kiedy się uśmiechnął, miał przed sobą Świętego Mikołaja.

–Proszę, proszę, kogo my tu mamy. Wywiadowca Sampson – przywitałem go, uśmiechając się.

–Jak leci, stary? – spytał John, kiedy szedłem przez trawnik. – Znów harujesz do późna. Ten sam stary Cross. Nigdy się nie zmienisz, człowieku.

–To pierwszy zarwany wieczór, od kiedy jestem w Quantico – odpowiedziałem, trochę się tłumacząc. – Nie zaczynaj.

–Czy ja coś mówię? Nawet nie powiedziałem „pewnie pierwszy z wielu”, chociaż miałem to na języku. Milczę jak zaklęty. Jestem grzeczny. Ale może porozmawiamy przy czymś, co?

–Masz ochotę na zimne piwo? – spytałem i otworzyłem drzwi kluczem. – Gdzie twoja młoda żona?

Sampson wszedł za mną. Wzięliśmy sobie po dwa heinekeny i wróciliśmy na werandę. Ja usiadłem na ławce, a John opadł na bujany fotel, który ugiął się pod jego ciężarem. John jest moim najlepszym przyjacielem na świecie, odkąd mieliśmy po dziesięć lat. Byliśmy tajniakami w wydziale zabójstw i partnerami, dopóki nie przeszedłem do FBI. Wciąż był lekko wkurzony z tego powodu.

–Billie ma się świetnie. Dziś i jutro jest na nocnej zmianie u Świętego Antoniego. Dobrze nam ze sobą. – Jednym łykiem opróżnił pół puszki. – Żadnych narzekań, partnerze. Bynajmniej. Masz przed sobą szczęśliwego żonkosia.

Musiałem się roześmiać.

–Wydajesz się tym zaskoczony – powiedziałem. Sampson też się roześmiał.

–Nie myślałem, że nadaję się do małżeńskiego kieratu. Teraz tylko chciałbym być z Billie. Jest mi z nią wesoło i nawet śmieje się z moich dowcipów. A jak tobie układa się z Jamillą? Wszystko gra? No a jak nowa robota? Dobrze ci w klubie federalnych?

–Właśnie chciałem zadzwonić do Jam – odparłem. Sampson poznał Jamillę, zaaprobował ją i wiedział, co do niej czuję. Jamie też była wywiadowcą w zabójstwach i znała policyjny fach od podszewki. Naprawdę fajnie mi z nią było. Na nieszczęście mieszkała w San Francisco i uwielbiała to miasto. – Sama prowadzi dochodzenie w sprawie o morderstwo. W San Francisco też zabijają. W Biurze do tej pory wszystko gra. – Otworzyłem drugie piwo. – Z tym, że muszę się przyzwyczać do biuroważniaków.

–Ho, ho – powiedział Sampson. Uśmiechnął się złośliwie. – Jakies rysy na pięknym rysunku? Biuroważniacy. Nie spodobałeś się władzy? Ale czemu pracujesz do tak późnej pory? Przecież chyba wciąż jesteś na szkoleniu początkowym i czy jak to się tam nazywa.

Opowiedziałem mu w skrócie o porwaniu Elizabeth Connolly, a potem przeszliśmy do przyjemniejszych tematów. Do Billie i Jamilli i uroków romansowania, do ostatniej

powieści George'a i Pelecanosa, do naszego przyjaciela tajniaka, który chodził ze swoją służbową partnerką i myślał, że nikt o tym nie wie. Ale wszyscy wiedzieliśmy. Kiedy spotykałem się z Sampsonem, zawsze tak było. Żałowałem że nie pracujemy razem. To nasunęło mi kolejną myśl. Musiałem spróbować wciągnąć go do FBI.

Mój ogromny przyjaciel odchrząknął.

–Chciałem jeszcze o czymś porozmawiać, coś ci powiedzieć. Dlatego dziś wpadłem... – zaczął.

Uniosłem brew.

–O co chodzi?

Unikał mojego wzroku.

–To trochę trudne dla mnie, Alex.

Pochyliłem się ku niemu. Trzeba przyznać, wziął mnie pod włos.

Uśmiechnął się i wiedziałem, że to musi być dobra wiadomość.

–Billie jest w ciąży – powiedział i gruchnął swoim najbardziej basowym, najgłośniejszym śmiechem. Podskoczył, a potem uściskał mnie tak, że mało mi nie połamał żeber. – Będę ojcem!!!

Rozdział 23

–No i znów robota, moja droga Zoju – szepnął konspiracyjnie Sława. – Tak przy okazji, wyglądasz na bardzo zamożną. W sam raz na dzisiejszy dzień.

Ślubni wyglądali jak inni klienci z klasy średniej, chodzący po zatłoczonym King of Prussia Mall, „drugim pod względem wielkości centrum handlowym w Ameryce”, jak głosiły napisy przed wszystkimi wejściami. Popularność centrum była zrozumiała. Chciwi klienci przyjeżdżali do niego z sąsiednich stanów, bo Pensylwania nie nakładała podatku na tekstylia.

–Ci ludzie wyglądają na bardzo bogatych. Mają się za panów sytuacji – powiedział Sława. – Nie wydaje ci się? Znasz to powiedzenie: „pan sytuacji”?

Zoja prychnęła pogardliwym śmiechem.

–Za jakąś godzinę zobaczymy, jacy z nich panowie. Kiedy już załatwimy nasz biznes. Oni tylko maskują swój strach. Jak każdy w tym zgniłym kraju, boją się własnego cienia. Boją się bólu, a nawet najmniejszej przykrości. Nie widzisz tego na ich twarzach, Sława? Oni się nas boją. Tylko jeszcze tego nie wiedzą.

Sława rozejrzał się po głównym budynku, zdominowanym przez Nordstroma i Neimana Marcusa. Wszędzie wisiały reklamy w stylu czasopisma „Teen People” – „Tańcz i kupuj”.

Tymczasem ich ofiara właśnie kupiła u Neimana pudełko czekoladek za pięćdziesiąt dolarów! Niesamowite! Potem kupiła coś równie absurdalnego, amerykańskie czasopismo o psach „Red, White and Blue Dog”, którego cena była zapewne tak samo niewspółmierna do wartości.

Głupi, głupi ludzie, pomyślał Sława. Kupować gazety o psach?

Ich ofiara znów się pokazała. Wychodziła od Skechera, holując dwójkę dzieci.

Miał wrażenie, że kobieta okazuje lekki niepokój. Dlaczego? Może się bała, że ktoś ją pozna i poprosi o autograf albo będzie chciał z nią porozmawiać? Cena sławy, pomyślał. Szła teraz szybko, prowadząc swoje ukochane maleństwa do Dick Clark’s American Bandstand Grill. Pewnie na lunch, ale może tylko chciała ukryć się przed tłumem.

–Dick Clark pochodzi z Filadelfii. To niedaleko stąd – powiedział Sława. – Wiedziałaś o tym?

–Kogo, do diabła, obchodzi Dick Clark, Dick Trący czy inny palant – zawarczała Zoja i walnęła Sławę w biceps kułakiem. – Przestań zajmować się tymi głupotami. Głowa mnie od ich boli. Od kiedy cię poznałam, głowa bolała mnie bilion razy.

Wygląd ofiary pasował do opisu przekazanego przez kontrolera: wysoka blondynka, Królowa Śniegu, pewna siebie. Ale smakowita do najmniejszego palca u nogi, pomyślał Sława. To trzymało się kupy. Klient, który ją zamówił, posługiwał się pseudonimem „Kierownik Artystyczny”.

Ślubni odczekali około kwadransa. W atrium śpiewał chór ze szkoły średniej z Broomall w Pensylwanii. Ofiara i jej dwoje dzieci wyszli z restauracji.

–Do roboty – zarządził Sława. – Zapowiada się ciekawie, no nie? Obecność tych gnojków to będzie prawdziwe wyzwanie.

–Nie – burknęła Zoja. – Gnojki to wariactwo. Niech no tylko Wilk się o tym dowie.

Rozdział 24

Kobietą, która stanowiła przedmiot transakcji, była Audrey Meek. Stała się sławna po tym, jak założyła cieszący się sporym powodzeniem dom mody i akcesoriów dla kobiet. Nazywał się Meek. Tak brzmiało nazwisko panieńskie jej matki i takiego używała również sama.

Ślubni obserwowali ją uważnie od parkingu w garażu, nie budząc żadnych podejrzeń. Zaatakowali, kiedy wkładała reklamówki z towarami od Neimana Marcusa, Hermesa i inne do lśniącego czarnego lexusa SUV – a z tablicami rejestracyjnymi New Jersey.

–Dzieci, uciekajcie! Uciekajcie! – Audrey Meek stawiała zacięty opór, gdy Zoja przyciskała do jej ust i nosa śmierdzącą kwasem gazę. Wkrótce zobaczyła przed oczami kręgi, gwiazdy i kolorowe plamy. Po kilku sekundach osunęła się w potężne ramiona Sławy.

Zoja rozejrzała się po garażowym parkingu. Nie było tu wiele do oglądania – tylko betonowe ściany z wymalowanymi na nich liczbami i literami. W pobliżu nikogo. Nikt nie zauważył, że coś się wydarzyło, chociaż dzieci wrzeszczały i płakały.

–Zostawcie mamę! – krzyczał Andrew Meek i okładał piąstkami Sławę, który tylko uśmiechał się do chłopca.

–Dzielny maluch – pochwalił go. – Bronisz mamusi. Byłaby z ciebie dumna. Ja jestem z ciebie dumny.

–Zjeżdżajmy stąd, durniu! – krzyknęła Zoja. Jak zawsze zajęła się tym, co istotne. Tak było, od kiedy przestała być nastolatką mieszkającą w oblasti Moskowskaja pod Moskwą i doszła do wniosku, że życie robotnicy albo prostytutki to nie dla niej.

–Co z dziećmi? Nie możemy ich tu zostawić – powiedział Sława.

–Zostaw je! Tak ma być, idioto. Potrzebujemy świadków. Tak zaplanowano. Czy ty nie potrafisz zapamiętać niczego jak trzeba?

–Zostawić je w garażu? Tutaj?

–Nic im nie będzie. Albo będzie. Jakie to ma znaczenie? Rusz się. Musimy jechać. No, już!

Odjechali lexusem ze swoją nieprzytomną ofiarą na tylnym siedzeniu. Dzieci płakały rozdierająco na garażowym parkingu. Zoja nie spiesząc się objechała centrum handlowe i skręciła w Dekalb Pike.

Przejechali tylko do odległego o kilka minut Yalley Forge National Historical Park i zmienili samochody.

Pokonali kolejne osiem mil do opustoszałego parkingu i znów zmienili pojazd.

Następnie pojechali do powiatu Bucks w Pensylwanii. Niebawem Audrey Meek miała poznać Kierownika Artystycznego. Był w niej zakochany do szaleństwa. Musiał być zakochany – zapłacił dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za rozkoszowanie się jej towarzystwem bez względu na to, jak Audrey go potraktuje.

A porwania dokonano w obecności świadków, żeby je spieprzyć. Celowo.

CZĘŚĆ DRUGA

WIERNOŚĆ, ODWAGA, CHARAKTER

Rozdział 25

Nikom do tej pory nie udało się rozgryźć Wilka. Według informacji Interpolu i rosyjskiej milicji był trzeźwo myślącym, angażującym się w każdą robotę wykonawcą, który zaczynał jako milicjant. Jak wielu Rosjan, potrafił dostosować się do okoliczności i miał sporo zdrowego rozsądku. Ta wrodzona narodowa cecha charakteru pozwoliła Rosjanom utrzymać tak długo w przestrzeni kosmicznej stację Mir. Rosyjscy kosmonauci byli po prostu lepsi od Amerykanów w likwidowaniu drobnych awarii. Jeśli coś wysiadło, sami naprawiali usterkę.

Podobnie Wilk.

Tego słonecznego popołudnia pojechał czarnym cadillakiem escalade do północnej części Miami. Musiał spotkać się z pewnym człowiekiem, Yeggim Titovem, i omówić kwestię zabezpieczeń. Yeggi uważał się za światowej klasy specjalistę od tworzenia stron internetowych i inżyniera znającego na wylot najnowocześniejsze technologie. Doktoryzował się w Berkeley i pysznił się tym przed wszystkimi. Ale naprawdę był tylko kolejnym pozerem, perwersem i gnojem, mającym złudne przekonanie o własnej wielkości. Niczym więcej.

Wilk załomotał do obitych stalową blachą drzwi mieszkania Yeggiego w drapaczu chmur nad Biscayne Bay. Miał na sobie wełnianą czapeczkę i wiatrówkę z nadrukami Miami Heat, by nie wpaść nikomu w oczy.

–Już, już, nie pali się! – zawołał ze środka Yeggi.

Otworzył dopiero po dobrych kilku minutach. Był ubrany w dżinsowe szorty i porwaną czarną bluzę z uśmiechniętą twarzą Einsteina. Żartownię pełną gębą z tego Yeggiego.

–Mówiłem, nie zmuszaj mnie, żebym do ciebie przychodził – rzekł Wilk, ale uśmiechał się szeroko, jakby to był znakomity żart, więc Yeggi też się uśmiechnął. Od jakiegoś roku byli współnikami w interesie, a rok z Yeggim to prawdziwy kawał czasu.

–Ty to wiesz, kiedy wpaść – powiedział.

–Szczęściarz ze mnie – stwierdził Wilk, wchodząc do pokoju dziennego. Natychmiast zapragnął zatkać sobie nos. Mieszkanie było niewiarygodnie zabałaganione, pełne opakowań po żarciu na wynos, pudełek po pizzy, pustych kartonów po mleku i dziesiątków, a może setek egzemplarzy największego rosyjskojęzycznego czasopisma wydawanego w USA, „Nowoje Ruskoje Słowo”.

Smród brudu i gnijącego jedzenia był koszmar, ale jeszcze bardziej cuchnął sam Yeggi, parówkami wystawionymi przez tydzień na słońce. Naukowiec zaprowadził Wilka do sypialni, tyle że nie była to wcale sypialnia, ale pracownia potwornego flejtucha. Na podłodze brzydka brązowa wykładzina, trzy beżowe obudowy komputerowe, części, radiatory, płytki drukowane, napędy.

–Prosię z ciebie – orzekł Wilk i znów wybuchnął śmiechem.

–Ale bardzo inteligentne prosię.

W środku pomieszczenia stało nowoczesne modułowe biurko. Trzy płaskie

ekrany tworzyły półkole wokół zniszczonego rumbie chair* [siedzisko fotela zamontowane na subwoofeize, głośniku basowym, służące do oglądania filmów i gier wideo]. Plątanina kabli za ekranami groziła pożarem. Jedyne okno w pokoju było zasłonięte na stałe żaluzją.

–Teraz masz superbezpieczną stronę – oświadczył Yeggi. – Ekstra. Na sto procent. Nikt się nie włamie. Tak jak lubisz.

–Myślałem, że od początku była bezpieczna – odparł Wilk.

–Teraz jest bardziej bezpieczna. W dzisiejszych czasach trzeba dmuchać na zimne. Powiem ci coś jeszcze, skończyłem ostatni folderek. To arcydzieło. Istne arcydzieło.

–I tylko trzy tygodnie po terminie.

Yeggi wzruszył kościstymi ramionami.

–Co z tego? Zaczekaj, aż zobaczysz moje dzieło. Jest genialne. Masz pojęcie, co to dzieło geniusza? Oto dzieło geniusza.

Wilk przejrzał folder. Była to broszura na kredowym papierze o wymiarach osiem i pół na jedenaście cali, z przezroczystą okładką i czerwonym grzbietem. Yeggi wydrukował ją na swoim laserowym hewletcie – packardzie. Litery jarzyły się neonowym blaskiem. Okładka wyglądała pierwszorzędnie. Jej wyszukana elegancja kojarzyła się z katalogami Tiffany’ego. Trudno było sobie wyobrazić, że to dzieło mieszkańca tego chlewu.

–Powiedziałem ci, że dziewczyny numer siedem i siedemnaście nie są już z nami. Nie żyją – rzekł w końcu Wilk. – Nasz młody geniusz jest zapominalski, co?

–Szczegóły, szczególiki – odparł Yeggi. – Jak już mowa o szczegółach, to wisisz mi piętnaście kół gotówką za dostawę. To jest dostawa.

Wilk sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął sig sauera 210 i strzelił dwukrotnie Yeggiemu między oczy. Potem strzelił też między oczy Albertowi Einsteinowi. Tak dla żartu.

–Wygląda na to, że ty też nie jesteś już z nami, panie Titov. Szczegóły, szczególiki.

Usiadł przy laptopie i sam skorygował ofertę. Potem wypalił płytę i wziął ją ze sobą. Zabrał również kilka egzemplarzy „Nowego Ruskogo Słowa”, których mu brakowało. Zamierzał przysłać ekipę, by pozbyli się ciała i spalili ten chlew. Szczegóły, szczególiki.

Rozdział 26

Tego przedpołudnia nie poszedłem na zajęcia z technik aresztowania. Doszedłem do wniosku, że pewnie wiem więcej na ten temat niż wykładowca. Zamiast tego zadzwoniłem do Monnie Donnelley i poprosiłem o wszystkie informacje na temat handlu białymi niewolnicami. Szczególnie interesowały mnie najświeższe wydarzenia na terenie USA, które mogłyby mieć związek ze sprawą Biała Dziewczyna.

Większość analityków Biura zajmujących się przestępstwami przeciwko życiu pracowała dziesięć mil dalej, w pomieszczeniach CIRG, Grupy do spraw Rozwiązywania Nagłych Przypadków, ale Monnie miała gabinet w Quantico. Niecałą godzinę później zjawiała się na progu mojej ponurej klitki. Podała mi dwie dyskiety. Wyglądała na dumną z siebie.

–To powinno cię trochę zająć. Skupiłam się tylko na białych kobietach. Atrakcyjnych. Niedawno porwanych. Mam również dużo o okolicznościach porwania w Atlancie. Rozszerzyłam krąg o pracowników centrum handlowego, właścicieli, sprzedawców i sąsiedztwa w Buckhead. Mam dla ciebie kopie raportów policyjnych i pracowników Biura. Wszystko, o co prosiłeś. Odrabiasz zadanie domowe, tak?

–Uczę się tego wszystkiego. Staram się, jak mogę. Czy to takie niezwykle? Tu, w Quantico?

–Prawdę mówiąc, w przypadku agentów, którzy przychodzą do nas z policji albo z wojska, to tak. Chyba wolę pracę w terenie.

–Ja też lubię pracę w terenie – przyznałem się Monnie – ale dopiero wtedy, kiedy zawęzę krąg podejrzanych. Dzięki ci za wszystko.

–Wiesz, co o tobie mówią, doktorze Cross?

–Nie. Co mówią?

–Że jesteś jak medium. Że masz wielką wyobraźnię. Może nawet jesteś jasnowidzem. Że potrafisz myśleć jak morderca. To dlatego od razu przydzielono cię do Białej Dziewczyny. – Przystanęła w progu. – Słuchaj. Nie obraż się, ale mam dla ciebie przyjacielską radę. Nie wkurzaj Gordona Nooneya. On traktuje poważnie to swoje szkolenko. Jest wredny, i ma znajomości.

–Zapamiętam to sobie. – Skinąłem głową. – Czy są tu jacyś niewredni faceci?

–Oczywiście. Przekonasz się, że większość agentów to funkcjonariusze z prawdziwego zdarzenia. Dobrzy ludzie, najlepsi. No to w porządku, szczęśliwego polowania – powiedziała i zostawiła mnie lekturze, sporej lekturze. Zbyt sporej.

Zacząłem od dwóch porwań – obu w Teksasie – które wydawały się powiązane z porwaniem w Atlancie. Już samo czytanie wzburzyło mi krew. Mariannę Norman, lat dwadzieścia, znikła z Houston 6 sierpnia 2001 roku. Mieszkała ze swoim chłopakiem w szeregówce należącej do jego rodziców. Tamtej jesieni Mariannę i Dennis Turcos mieli rozpocząć ostatni rok na Chrześcijańskim Uniwersytecie Teksaskim i planowali wziąć ślub wiosną 2002 roku. Wszyscy twierdzili zgodnie, że Mariannę i Denis byli najmilszą parą młodych ludzi na świecie. Mariannę zaginęła bez wieści. 30 grudnia zeszłego roku Dennis Turcos przyłożył sobie rewolwer do skroni i pociągnął za spust. Mówił, że nie potrafi żyć bez Mariannę, że jego życie skończyło się wraz z jej zaginięciem.

Druga sprawa dotyczyła piętnastoletniej uciekinierki z miasteczka Childress w Teksasie. Adriannę Tuletti została porwana z mieszkania w San Antonio zajmowanego przez trzy dziewczyny podobno uprawiające prostytucję. Sąsiedzi zgłosili, że widzieli podejrzaną wyglądającą parę wchodzącą do budynku w dniu zaginięcia Adriannę. Ktoś przypuszczał, że to może rodzice jednej z dziewcząt, którzy przyjechali zabrać ją do domu, ale od tej pory wszelki śluch o Adriannę zaginął.

Przez długą chwilę przypatrywałem się jej zdjęciu – była śliczną blondynką i mogłaby być jedną z córek Elizabeth Connolly. Jej rodzice byli nauczycielami w szkole podstawowej w Childress.

Tego popołudnia otrzymałem kolejne złe wieści. Najgorsze z możliwych. W King of Prussia w Pensylwanii porwano projektantkę mody, Audrey Meek. Jej dwoje dzieci było świadkami porwania. To mnie zszokowało. Dzieci doniosły policji, że porywaczami było dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta.

Zacząłem szykować się do wyjazdu do Pensylwanii. Zadzwoiłem do Nany i tym razem okazała pełne zrozumienie. Następnie dostałem telefon z biura Nooneya. Nie leciałem do Pensylwanii. Miałem stawić się na zajęciach.

Było oczywiste, że decyzja przyszła z samej góry, ale nie rozumiałem, co się dzieje. Może nie miałem rozumieć.

Może wszystko to jakiś test? – pomyślałem.

Rozdział 27

„Wiesz, co o tobie mówią, doktorze Cross? Że jesteś jak medium. Że masz wielką wyobraźnię. Może nawet jesteś jasnowidzem. Że potrafisz myśleć jak morderca”. Tak powiedziała Monnie Donnelley tego przedpołudnia. Jeśli mówiła prawdę, to dlaczego odsunęto mnie od sprawy?

Po południu poszedłem na zajęcia, ale byłem rozkojarzony, może nawet zły. Czułem niepokój i przygnębienie. Co ja robiłem w FBI? Co się ze mną działo? Nie chciałem walczyć ze zwyczajami w Quantico, ale stawiano mnie w sytuacji nie do przyjęcia.

Następnego dnia znów byłem gotów iść na zajęcia. Czekały mnie takie przedmioty jak prawo, przestępstwa gospodarcze, łamanie praw obywatelskich i ćwiczenia z bronią.

Byłem pewien, że zajęcia z praw obywatelskich okażą się ciekawe, ale dwie zaginione kobiety, Elizabeth Connolly i Audrey Meek, czekały gdzieś na ratunek. Może jedna z nich nadal żyła, może obie. Może potrafiłbym im pomóc, jeśli naprawdę byłem takim cholernym jasnowidzem.

Siedziałem przy kuchennym stole, kończąc śniadanie wraz z Naną i Rudą, kiedy usłyszałem PLASK! i przed domem wylądowała poranna gazeta.

–Siedź. Jedz. Ja pójdę – powiedziałem Nanie, odsuwając krzesło od stolika.

–Brak sprzeciwu – odparła i pociągnęła herbaty z wdziękiem, który mają tylko staruszczyki. – Muszę o ciebie dbać, wiesz.

–Zgadza się.

Nana wciąż sprzątała w domu i wokół niego i gotowała większość posiłków. Kilka tygodni temu przyłapałem ją balansującą na najwyższym szczeblu drabiny. Oczyszczała rynnę, obiegającą dach.

–Nic się nie dzieje! – krzyknęła z góry. – Mam idealne wyczucie równowagi i jestem lekka jak spadochron.

Co mogłem na to powiedzieć?

„Washington Post” nie doleciał na werandę. Leżał rozchylony na ścieżce. Nie musiałem się nawet schylać, żeby przeczytać pierwszą stronę.

–Ach, do diabła – zakląłem. – Niech to szlag.

To nie było nic dobrego. Prawdę mówiąc, wiadomość była okropna. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Nagłówek szokował: „Porwania dwóch kobiet mogą być ze sobą powiązane”. Co najgorsze, artykuł zawierał konkretne szczegóły, znane tylko kilku ludziom w FBI. Na nieszczęście byłem jednym z nich.

Główny wątek dotyczył mężczyzny i kobiety, widzianych podczas ostatniego porwania w Pensylwanii. Poczulem ukłucie w brzuchu. Nie przekazaliśmy prasie informacji, że naocznymi świadkami przestępstwa były dzieci Audrey Meek.

Ktoś udostępnił informacje „Post”, ktoś również połączył wszystko w całość. Poza Bobem Woodwardem nie było chyba w redakcji osoby, którą byłoby na to stać. Inni dziennikarze nie byli na tyle inteligentni.

Kto przekazał informacje „Post”?

Dlaczego?

Na próżno szukałem w tym sensu. Czy ktoś starał się utrudnić śledztwo? Kto?

Rozdział 28

W poniedziałek nie odprowadziłem do szkoły Jannie i Damona. Siedziałem z kotką na werandzie i grałem na pianinie Mozarta, Brahmsa. Miałem poczucie winy, bo uznałem, że powinienem wstać wcześniej i pomóc wydawać zupę u Świętego Antoniego. Zwykle poświęcałem temu zajęciu jakiś poranek w tygodniu, często w niedzielę. To był mój kościół.

Na drodze był koszmarny ruch i czułem się sfrustrowany, tracąc prawie półtorej godziny na dojazd do Quantico. Wyobrażałem sobie, że Nooney stoi przy frontowej bramie, czekając niecierpliwie na mój przyjazd. Ale przynajmniej miałem czas rozważyć moją sytuację. Uznałem, że na razie najlepiej zrobię, chodząc na zajęcia. I nie robiąc szumu. Jeśli dyrektor Burns nadal będzie chciał mnie wykorzystać w sprawie Biała Dziewczyna, da mi znać. Jeśli nie, mówi się trudno.

Tego dnia zajęcia skupiały się na zajęciach praktycznych, jak je nazywano w Biurze. Mieliśmy zbadać fikcyjny napad rabunkowy na bank w Hogans Alley, przeprowadzić rozmowy ze świadkami i kasjerami. Instruktorką była Marilyn May, kolejna bardzo kompetentna agentka nadzorująca.

Po jakiejś półgodzinie zajęć May poinformowała nas o fikcyjnym wypadku samochodowym, który wydarzył się jakąś milę od banku. Udaliśmy się całą grupą na miejsce kraksy, by sprawdzić, czy ma związek z napadem na bank. Sumiennie wykonywałem swoje zadania, ale w ciągu ostatnich kilkunastu lat brałem wielokrotnie udział w podobnych akcjach, tyle że na serio, i trudno było mi traktować poważnie ćwiczenia, zwłaszcza że niektórzy moi koledzy prowadzili przesłuchania zgodnie z podręcznikiem. Chyba naoglądali się za dużo seriali o glinach. May również chwilami robiła wrażenie rozbawionej.

Kiedy stałem w miejscu zdarzenia z nowym kolegą, zawodowym wojskowym, który awansował do stopnia kapitana, zanim przyszedł do Biura, usłyszałem, jak ktoś woła mnie po nazwisku. Odwróciłem się i zobaczyłem asystenta agenta Nooneya.

–Starszy agent Nooney chce widzieć cię w swoim biurze – oświadczył.

O Chryste, co znowu? Facet ma nierówno pod sufitem!, myślałem, idąc szybko do budynku administracji. Wbiegłem schodami na górę. Nooney czekał na mnie.

–Proszę zamknąć drzwi – powiedział. Siedział za zniszczonym dębowym biurkiem, mając taką minę, jakby zmarł mu ktoś bliski.

Krew uderzyła mi do głowy.

–Jestem w połowie zajęć.

–Wiem, co robisz. Sam napisałem program i zaplanowałem rozkład zajęć – powiedział. – Chcę z tobą porozmawiać o pierwszej stronie dzisiejszego „Washington Post” – mówił dalej. – Czytujesz tę gazetę?

–Wiem, o co chodzi.

–Rano rozmawiałem z twoim byłym przełożonym. Powiedział mi, że wykorzystywałeś wcześniej „Post”. Powiedział, że masz tam kumpli.

Wiele mnie kosztowało, żeby nie przewrócić oczami.

–Miałem dobrego kumpla w „Post”. Został zamordowany. Teraz nie mam tam żadnych kontaktów. Czemu miałbym przekazać informację o porwaniu? Co by mi to

dało?

Nooney wskazał mnie palcem. Podniósł głos.

–Znam twoje metody pracy. I wiem, o co ci chodzi, nie chcesz działać w zespole. Nie chcesz, żeby ktoś patrzył ci na ręce, żeby ktoś tobą kierował. Tu tak nie ma. Nie wierzymy w błyskotliwych chłoptasiów ani nadzwyczajne uprawnienia. Nie uważamy, żebyś miał większą wyobraźnię ani był bardziej twórczy niż ktokolwiek inny w twojej grupie. Wracaj na zajęcia, doktorze Cross. I zmądrzej.

Opuściłem bez słowa gabinet Nooneya, gotując się ze złości. Wróciłem na miejsce „wypadku”. Niebawem agentka Marilyn May zręcznie powiązała to wydarzenie z „napadem na bank” w Hogans Alley. Nooney stworzył naprawdę niesamowity program.

Napisałbym lepszy przez sen. Nie ukrywam, byłem wściekły. Nie wiedziałem tylko, na kogo powinienem być wściekły. Nie wiedziałem, jak rozegrać tę grę.

Ale chciałem wygrać.

Rozdział 29

Dokonano kolejnego „zakupu”, sporego zakupu.

W sobotni wieczór Ślubni weszli do baru Halyard na wybrzeżu Newport w Rhode Island. Halyard różnił się od większości klubów gejowskich w tej tak zwanej różowej dzielnicy Newport. Od czasu do czasu widziało się tam faceta w kowbojskich butach i z nabijaną ćwiekami opaską na przegubie, firmowym znakiem sadomasochistów, ale większość klientów miała kunsztownie rozwichrzone fryzury, nosiła żeglarskie stroje i modne okulary przeciwsłoneczne Croakie, chętnie używane przez sportowców.

Disc jockey wybrał właśnie piosenkę Strokesów i kilka par tuliło się na parkiecie. Ślubni pasowali do tego lokalu, co oznaczało, że się nie wyróżniali. Sława miał na sobie błękitny T – shirt, dockersy i żel na drugich czarnych włosach. Zoja nasunęła nonszalancko na oczy marynarską czapkę i zrobiła się na ślicznego chłopca. Odniosła sukces przekraczający jej najśmielsze oczekiwania: w lokalu nie było mężczyzny, który by się za nią nie obejrzał.

Zoja i Sława szukali obiektu o określonym typie urody i niebawem wypatrzyli potencjalną ofiarę. Jak się później dowiedzieli, obiekt nazywał się Benjamin Coffey i był studentem najstarszego roku Providence College. Benjamin po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest gejem, będąc ministrantem w kościele pod wezwaniem świętego Tomasza w Barrington w Rhode Island. Służąc do mszy, nie spotkał się z żadną formą zalotów czy napastowania ze strony księży, natknął się jednak na innego ministranta o identycznej orientacji seksualnej i w wieku czternastu lat zostali kochankami. Związek przetrwał liceum, ale potem Benjamin wielokrotnie zmieniał partnerów. W college’u nadal krył się ze swoimi upodobaniami seksualnymi, lecz w różowej dzielnicy mógł być sobą.

Ślubni obserwowali ślicznego chłopca. Zagadywał przystojnego, starszego od niego o dziesięć lat barmana, którego muskulatura prezentowała się nadzwyczaj korzystnie w świetle barowych halogenów.

–Nadaje się na okładkę magazynu dla panów – orzekł Sława. – Ideał.

Do baru zbliżył się potężnie zbudowany pięćdziesięciolatek. Za nim szli jak przyklejeni czterej młodzi mężczyźni i kobieta. Wszyscy mieli na sobie białe marynarskie spodnie i niebieskie koszulki od Lacoste’a. Barman przerwał pogaduszkę z Benem i uścisnął dłoń przybysza, który przedstawił swoich towarzyszy:

–David Skalah, załogant. Henry Galperin, załogant. Bili Lattanzi, załogant. Sam Hughes, kuk. Nora Hamerman, załogant.

–A to jest Ben – powiedział barman.

–Benjamin – poprawił go chłopak, uśmiechając się olśniewająco.

Zoja zerknęła na Sławę i oboje zachichotali, szczerze rozbawieni tą scenką.

–Takiego właśnie nam trzeba – stwierdziła Zoja. – Wygląda jak domyty Brad Pitt.

Był dokładnie w typie podanym przez zamawiającego: szczupły, chłopięcy, przed dwudziestką, kuszące pełne wargi, inteligentne spojrzenie. To był podstawowy warunek – inteligencja. Poza tym zamawiający zastrzegł się, że nie życzy sobie żadnej młodocianej męskiej prostytutki.

Po jakichś dziesięciu minutach Ślubni udali się za Benjaminem do toalety. Pomieszczenie lśniło czystością, całe było białe. Na ścianach ryciny węzłów marynarskich. Na stole wody kolońskie, płyny do ust i tekowe pudełko z buteleczkami azotanu amyłu, afrodyzjaku popularnego w środowiskach gejowskich.

Benjamin wszedł do jednej z kabin i Ślubni wepchnęli się za nim. Zrobiło się ciasno.

Chłopak odwrócił się.

–Zajęte – powiedział. – Jezu, co wy, nawaliliście się? Kości mi połamiecie.

–U rąk czy nóg? – spytał Sława i roześmiał się z własnego żartu.

Zmusili go, żeby ukląkł.

–Hej, hej! – krzyknął wystraszony. – Pomocy! Ratunku!

Przyciśnięto mu do nosa i ust kawał gazy i stracił przytomność. Następnie Ślubni unieśli go i podtrzymując z obu stron, wywlekli z toalety jak kumpla, któremu urwał się film.

Wyprowadzili Benjamina tylnymi drzwiami na parking wypełniony kabrioletami i SUVami. Nie przejmowali się tym, że ktoś zwróci na nich uwagę, ale starali się nie zrobić chłopcu krzywdy. Żadnych siniaków. Był wart sporo pieniędzy. Ktoś miał na niego wielką chrapkę.

Kolejny zakup.

Rozdział 30

Zamawiającym był Pan Potter.

Takiego pseudonimu używał, dokonując zakupu u Szterlinga lub kontaktując się ze sprzedawcą w innej sprawie. Potter był uszczęśliwiony Benjaminem i powiedział to Ślubnym, kiedy podrzucili przesyłkę na jego farmę w Webster w New Hampshire, miasteczku liczącym niewiele ponad czternaście tysięcy mieszkańców, miasteczku, w którym nikt ci nie przeszkadzał. Nigdy. Wiejski dom Pottera był częściowo odrestaurowany, miał starą białą drewnianą dachówkę i nową więźbę dachową. Jakies sto jardów dalej stał „dom gościnny”, czerwona stodoła. To w niej miał być trzymany Benjamin, tam również wcześniej byli przechowywani inni.

Dom i stodołę otaczało ponad sześćdziesiąt akrów lasów i pól, należących kiedyś do rodziny Pottera, a teraz do niego. Nie mieszkał na stałe na wsi, ale w Hanowerze, jakieś pięćdziesiąt mil dalej, i pracował jako młodszy wykładowca języka angielskiego w college’u Dartmouth.

Nie mógł oderwać oczu od Benjaminą. Oczywiście chłopiec nie mógł go widzieć. Nie mógł mówić. Jeszcze nie. Miał opaskę na oczach, knebel na ustach, a ręce i nogi skute policyjnymi kajdankami.

Poza tym miał na sobie jedynie srebrną przepaskę osłaniającą krocze. Cudownie w niej wyglądał. Potterowi po raz kolejny zaparło dech, od kiedy wszedł w posiadanie tego niezwykle przystojnego młodzieńca. Ucząc w Dartmouth przez ostatnie pięć lat, mało nie oszalał. Dzień w dzień oglądać tych chłopców, mieć ich na wyciągnięcie ręki i nie móc ich tknąć! Przebywanie tak blisko obiektu pożądania było niewiarygodnie frustrujące, ale warto było przejść tę całą mękę. Benjamin był nagrodą. Za czekanie. Za to, że Potter był grzeczny.

Cał po całach zaczął przysuwać się do chłopca. W końcu musnął dłonią jego gęste, falujące blond włosy. Benjamin podskoczył. Nie potrafił nad sobą zapanować, trząsnął się i dygotał. To było miłe.

–Banie się jest... dobre – szepnął Potter. – Lęk budzi dziwną radość i uniesienie. Możesz zaufać moim słowom, Benjaminie. Sam to przeżyłem. Dokładnie wiem, co czujesz.

To prawie przekraczało ludzką wytrzymałość! Serce o mało nie pękło mu ze szczęścia, marzenie się spełniło. Do tej pory rozkosz była zakazana, a teraz miał przed sobą tego absolutnie doskonałego, pięknego, oszalamiającego młodzieńca.

Benjamin usiłował coś wykrztusić. Co on mówi?, zastanawiał się Potter. Chciał usłyszeć głos tego słodkiego chłopca, zobaczyć jego pełne wargi, spojrzeć mu w oczy. Pochylił się i pocałował go przez knebel. Poczuł jego miękkie usta.

Nie mógł już wytrzymać nawet sekundy dłużej. Palce mu dygotały, kiedy mamrocąc bez sensu i podrygując jak w tańcu świętego Wita, zdjął opaskę i spojrzał Benjaminowi w oczy.

–Mogę ci mówić Benji? – wyszeptał.

Rozdział 31

Inna z porwanych, Audrey Meek, obserwowała swojego obrzydliwego, zбочonego i prawdopodobnie chorego umysłowo porywacza, kiedy milcząco, z lodowatym spokojem przygotowywał jej śniadanie. Została związana liną, niezbyt mocno, ale tak, że nie była w stanie szybko się poruszać. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę, ale działo się naprawdę i zapewne będzie się dziać. Uwięziona w przyjemnie urządzonej drewnianej domku, nie wiadomo gdzie, wciąż wracała myślami do tego niewiarygodnego momentu, kiedy została porwana w King of Prussia Mali i oddzielono ją brutalnie od Sarah i Andrew. Dobry Boże, pomyślała, czy dzieciom nic się nie stało?

–A moje dzieci? – spytała po raz kolejny. – Muszę wiedzieć na pewno, że nic im nie jest. Chcę z nimi porozmawiać. Nie spełnię żadnego twojego żądania, dopóki z nimi nie porozmawiam. Nie będę nawet jeść.

Zapanowała nieprzyjemna cisza, po czym Kierownik Artystyczny zdecydował się przemówić.

–Twoje dzieci mają się świetnie. Tyle tylko mogę ci powiedzieć – rzekł. – Powinnaś jeść.

–Skąd możesz to wiedzieć? – Pociągnęła nosem. – Nie możesz.

– Audrey, twoja obecna sytuacja wyklucza stawianie żądań. Koniec z nimi. Ten rozdział swojego życia masz już za sobą.

Był wysoki, może na sześć stóp dwa cale, dobrze zbudowany, miał gęstą czarną brodę i lśniące niebieskie oczy, które wydawały się promieniować inteligencją. Uznała, że ma około pięćdziesięciu lat. Powiedział jej, że ma go nazywać Kierownikiem Artystycznym. Nie wyjaśnił, dlaczego właśnie tak, przynajmniej na razie, ani dlaczego to wszystko ją spotkało.

–Też mnie to gryzło, więc zadzwoniłem do twojego domu – dodał. – Dzieci są z niańką i twoim mężem. Nie okłamywałbym cię, Audrey. Pod tym względem się różnimy.

Audrey pokręciła głową.

–Mam ci ufać? Twoim słowom?

–Tak, myślę, że powinnaś. Czemu nie? Komu innemu możesz tu ufać? Oczywiście poza samą sobą. I mną. Na tym koniec. Jesteś na zupełnym pustkowiu. I masz tu tylko mnie. Proszę, przyzwyczaj się do tego. Lubisz jajecznicę niezbyt ściętą, prawda? Spuszoną? Nie tak ją nazywasz?

–Dlaczego to robisz? – spytała Audrey, zdobywając się na odwagę, jako że przynajmniej do tej pory nie zrobił jej niczego strasznego. – Co my tu robimy? Westchnął.

–Wszystko w swoim czasie, Audrey. Powiedzmy, że to niezdrowa obsesja. Prawdę mówiąc, to coś bardziej skomplikowanego, ale na razie nie ruszajmy tego.

Była zaskoczona jego odpowiedzią; sam wiedział, że jest stukniętym świrem, ale czy to, że dokładnie wiedział, co robi, było dobrym znakiem, czy złym?

–Chciałbym zapewnić ci maksimum wolności. Na litość boską, nie chcę cię krępować. Nawet liną. Proszę, nie próbuj ucieczki, bo ci się nie uda. Dobrze?

Czasami wydawał się bardzo rozsądny. Wydawał się... Chryste! Czy to nie było najbardziej chore? Oczywiście, że tak. Ale ludziom wciąż przytrafiało się coś chorego.

–Chcę być twoim przyjacielem śniadanie: ledwo ściętą jajecznicę, ziołową herbatę, dżem jeżynowy. – Możesz mi ufać, Audrey. Zacznij od jajecznicy. Spuszone. Mniem. – powiedział, podając jej wielozbożową grzanekę,

Masz wszystko, co lubisz powinnaś mi troszeczkę ufać... Spróbuj.

Rozdział 32

Odliczałem czas w Quantico, co nie za bardzo mi się podobało. Następnego dnia udałem się na zajęcia, potem spędziłem godzinę i piętnaście minut na siłowni. Po piątej poszedłem sprawdzić, co na temat Białej Dziewczyny znalazła do tej pory Monnie Donnelley. Zajmowała zagracony pokój na drugim piętrze budynku kafeterii. Na ścianie wisiał przyciągający wzrok kubistyczny kolaż. Zbiór zdjęć i odbitek z materiałów dowodowych brutalnych przestępstw.

Zanim wszedłem, zastukałem w metalową wizytówkę.

Monnie odwróciła się i uśmiechnęła na mój widok. Zauważyłem fotografie jej synów, zabawny portret Monnie z dziećmi i zdjęcie Pierce'a Brosnana w roli wytwornego i seksownego Jamesa Bonda.

–Hej, patrzcie, kto wrócił! Jedna sterta papierzyk to za mało? Widząc rozmiar moich wykopalisk, pewnie łatwo zauważysz, że Biuro jeszcze nie zdało sobie sprawy, iż mamy epokę informatyczną. Jak mawiał Bili Clinton, jest trzecia droga. Znasz ten dowcip? Biuro jutro wprowadzi wczorajszą technologię.

–Masz coś dla mnie?

Odwróciła się do komputera.

–Pozwól, że wydrukuję kilka wybranych stron do twojej pęczniejącej kolekcji. Wiem, że lubisz drukowane kopie. Dinozaur.

–Po prostu tak pracuję.

Zasięgnąłem języka na temat Monnie i wszędzie usłyszałem to samo: inteligentna, niewiarygodnie pracowita, koszmarnie niedoceniana przez górę. Dowiedziałem się również, że jest samotną matką wychowującą dwójkę dzieci i z trudem wiąże koniec z końcem. Jedyne „zarzut” dotyczył tego, że pracuje zbyt ciężko, prawie codziennie, i w każdy weekend bierze pracę do domu.

Monnie zebrała przeznaczony dla mnie gruby plik. Sposób, w jaki go wyrównywała, zdradzał jej obsesyjne podejście do pracy. Wszystko, co wychodziło spod jej ręki, musiało być na medal.

–Wpadło ci coś w oko? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

–Jestem tylko od zbierania dokumentacji, zgadza się? Kolejne dowody potwierdzają założoną tezę. W ciągu ostatniego roku zgłoszono wiele zaginięć zamożnych białych kobiet. Bardzo wiele, znacznie powyżej średniej statystycznej. Sporo z nich to atrakcyjne blondynki. Taka popularność chyba nie sprawia blondynkom radości. Nie stwierdzono zagęszczenia regionalnego, ale jeszcze muszę się temu przyjrzeć. Czasem charakterystyka geograficzna może naprowadzić na jakiś ślad.

–Jak do tej pory brak wyraźnych wskaźników regionalnych. Szkoda. A wspólne cechy wyglądu ofiar? Żadnych wzorców?

Monnie cmoknęła i potrząsnęła głową.

–Żadnych powtarzających się wyróżników. Kobiety zaginęły w Nowej Anglii, na południu, na zachodnim wybrzeżu. Przepatrzę to jeszcze dokładniej. I żadnej nie znaleziono. Przepadły jak kamień w wodę.

Przyglądała mi się przez kilka sekund. Poczuję się niewygodnie. W oczach miała smutek. Wyczułem, że chce się wyrwać z tej swojej klatki.

Sięgnąłem po materiały.

–Robimy, co możemy. Obiecałem to rodzinie Connollych. W jej zielonych oczach zapaliły się isierki rozbawienia.

–Dotrzymujesz obietnic?

–Staram się – powiedziałem. – Dzięki za materiały. Nie pracuj za ciężko. Jedź do domu, do dzieci.

–Ty też, Alex. Jedź do dzieci. Już pracujesz za ciężko.

Rozdział 33

Nana i dzieci, nie wspominając Rudej, zaczęli się na mnie na werandzie, kiedy tego wieczoru wracałem do domu. Ich powściągliwe zachowanie i ponure spojrzenia nie zapowiadały niczego dobrego. Czułem przez skórę, dlaczego wszyscy okazują taką radość na mój widok. „Dotrzymujesz obietnic?”.

–Wpół do ósmej. Za każdym razem coraz później – zgromiła mnie Nana, kręcąc głową. – Coś wspominałeś, że możemy iść do kina. Damon nie mógł się doczekać.

–To przez te szkolenia początkowe – wyjaśniłem.

–Właśnie – mruknęła i zrobiła jeszcze kwaśniejszą minę. – Zaczekaj, aż zaczną się prawdziwe sprawy. Znowś będziesz wracać do domu o północy. Jeśli w ogóle. Nie masz własnego życia. Nie masz życia uczuciowego. Daj się złapać jednej z tych kobiet, które na ciebie lecą... chociaż Bóg wie, dlaczego to robią. Dopuszcz kogoś do siebie, zanim będzie za późno.

–Może już jest za późno.

–To by mnie nie zdziwiło.

–Ostra jesteś – westchnąłem i usiadłem ciężko na stopniach werandy obok dzieci.

– Wasza Nana jest ostra jak brzytwa – powiedziałem do nich. – Jeszcze jest jasno. Ktoś ma ochotę zagrać jeden na jednego?

Damon skrzywił się i pokręcił głową.

–Nie z Jannie. Nigdy w życiu.

–Nie z tym wielkim supergwiazdorem Damonem – prychnęła Jannie. – Chociaż pierwsza lepsza koszykarka mogłaby mu nakopać do tyłka.

Wstałem i poszedłem do domu.

–Wezmę piłkę. Zagramy.

Kiedy wróciliśmy z boiska, Nana już położyła małego Alexa. Siedziała na werandzie. Kupiłem pół funta pralinek, pół funta ciasteczek Oreos i lody. Nana i ja kończyliśmy słodkości, podczas gdy dzieci poszły już do swoich pokojów spać, uczyć się albo buszować po Internecie.

–Robisz się beznadziejny, Alex – oświadczyła Nana, zlizawszy resztkę lodów z łyżeczki. – Tyle mogę ci powiedzieć.

–Chciałaś powiedzieć konsekwentny. I oddany pracy. To trudniej zauważyć. Smakowały ci oreos z lodami, no nie?

Przewróciła oczami.

–Może powinieneś dostosować się do nowego stylu życia, synu. Ludzie przestali myśleć tylko o pracy.

–Robię to dla dzieci. A także dla ciebie, stara kobieto.

–Nigdy nie mówiłam niczego innego. No, w każdym razie ostatnio. Co u Jamilli?

–Oboje jesteśmy bardzo zajęci.

Pokiwała głową, jak laleczka na desce rozdzielczej samochodu. Potem wstała i zaczęła zbierać talerze po lodach, które dzieci zostawiły na werandzie.

–Ja to zrobię – powiedziałem.

–Dzieci powinny same po sobie sprzątnąć. Ale mają swój rozum.

–Wykorzystują to, że jestem w domu.

–Zgadza się. Bo wiedzą, że czujesz się winny.

–Czego? – spytałem. – Co takiego zrobiłem? Czego tu nie rozumiem?

–No właśnie. To jest podstawowe pytanie, na które musisz sobie odpowiedzieć.

Idę spać. Dobranoc, Alex. Kocham cię. I bardzo lubię oreos z lodami.

Na odchodne zamruczała:

–Beznadziejny facet.

–Właśnie że nie – powiedziałem do jej pleców.

–Właśnie że tak – odparła, nie odwracając się. Zawsze musiała mieć ostatnie

słowo.

W końcu poczłapałem do mojego gabinetu na strychu i zrobiłem coś, przed czym wzdrygałem się całym sobą. Zatelefonowałem. Bo obiecałem.

Aparat zadzwonił raz i usłyszałem:

–Tu Brendan Connolly.

–Witam, sędzio Connolly, tu Alex Cross – przedstawiłem się. Usłyszałem, jak wzdycha, nic jednak nie powiedział, więc mówiłem dalej: – Nie mam jeszcze żadnych konkretnych informacji o pani Connolly. Ale w Atlancie pracuje nad tą sprawą pięćdziesięciu agentów. Dzwonię, bo powiedziałem, że będę z panem w kontakcie, i żeby zapewnić pana, że działamy.

Bo obiecałem, dodałem w myślach.

Rozdział 34

W tych porwaniach było coś zastanawiającego. Początkowo sprawcy działali bardzo ostrożnie, po czym nagle stali się niedbali. Wzorzec nie był jednolity. Dlaczego? Co to oznaczało? Co się zmieniło? Gdyby udało mi się to ustalić, może osiągnęlibyśmy przełom w śledztwie.

Następnego dnia przyjechałem do Quantico pięć minut przed przylotem dyrektora, który przyleciał wielkim czarnym bellem. Wieść, że Burns jest na miejscu, szybko się rozeszła. Może Monnie Donnelley miała rację; to faktycznie była epoka informatyczna, nawet w Biurze, nawet w Quantico.

Burns zwołał nagłą naradę i kazano mi się na niej stawić. Może przydzielono mnie z powrotem do sprawy? Wchodząc do sali konferencyjnej budynku administracji, dyrektor przywitał się z kilkoma agentami, ale ani razu nie spojrzał w moim kierunku i kolejny raz zadałem sobie pytanie, po co się zjawił? Czy miał dla nas jakieś wiadomości? Co go skłoniłoby lecieć do Quantico?

Zasiadł w pierwszym rzędzie, a szef grupy analizy zachowań, doktor Bili Thompson, wyszedł na przód sali. Było coraz bardziej oczywiste, że Burns zjawił się tu w charakterze obserwatora. Ale dlaczego? Co chciał obserwować?

Asystent doktora Thompsona rozdał materiały. Równocześnie rozpoczęto projekcję na ściennym ekranie.

–Dokonano kolejnego porwania – oświadczył doktor Thompson. – W sobotę wieczorem w Newport w Rhode Island. Nastąpiła zasadnicza zmiana. Ofiara jest płci męskiej. Z tego, co wiemy, to pierwszy porwany mężczyzna.

Doktor Thompson podał nam szczegóły, które równocześnie wyświetlono na ekranie. Benjamin Coffey, prymus Providence College, został porwany z baru Halyard w Newport. Porywaczami było zapewne dwóch mężczyzn.

Zespół – pomyślałem. I znów się nie kryli.

–Ktoś chce zabrać głos? – spytał Thompson, kiedy tylko podał nam zasadnicze fakty. – Co się wam nasuwa? Co o tym myślicie? Śmiało. Musimy od czegoś zacząć. Jesteśmy w lesie.

–Zupełnie inny wzorzec – podsunął analityk. – Porwanie z baru. Mężczyzny.

–Skąd ta pewność na tym etapie? – spytał Burns. – Do jakiego wzorca się odwołujemy? – Jego pytanie spotkało się z milczeniem. Jak większość menedżerów wysokiego szczebla, nie zdawał sobie sprawy, że działa paraliżująco na podwładnych. Odwrócił się i ogarnął wzrokiem grupę. W końcu jego wzrok spoczął na mnie. – Alex? Jaki jest ten wzorzec? – spytał. – Coś chodzi ci po głowie?

Czułem na sobie wzrok pozostałych agentów.

–Czy jesteśmy pewni, że w barze działało dwóch mężczyzn? – spytałem. – To moje pierwsze pytanie.

Burns skinął głową na znak, że podziela moje wątpliwości.

–Nie, nie jesteśmy pewni. Jeden nosił żeglarską czapkę. To mogła być tamta kobieta z King of Prussia. Czy zgadzasz się z opinią, że to porwanie nie ma związku z innymi? Że mamy do czynienia z odmiennym wzorcem?

Zastanowiłem się, instynktownie oceniając to, co usłyszałem do tej pory.

–Nie – powiedziałem w końcu. – Może nawet nie jesteśmy w stanie określić wzorca zachowań sprawców. To nieuniknione, gdy mamy do czynienia z zespołem porywaczy, działającym dla pieniędzy. A jestem skłonny przypuszczać, że tak właśnie jest. Nie uważam, by te przestępstwa popełniano w afekcie. Ale najbardziej niepokoją mnie potknięcia sprawców. Czemu się zdarzyły? Odpowiedź na to pytanie jest kluczem do całej sprawy.

Rozdział 35

Lizzie Connolly straciła zupełnie poczucie czasu, wiedziała jedynie, iż posuwa się bardzo wolno i że na pewno niebawem doprowadzi ją to do śmierci. Nigdy więcej nie miała zobaczyć Gwynnie, Brigid, Merry czy Brendana i czuła z tego powodu straszliwy smutek. Czekala ją nieubłagana śmierć.

Ale choć była zamknięta w tym pokoiku czy garderobie, nie użalała się nad sobą, nie uległa panice. Nie pozwoliła na to, by żal, panika czy podobne emocje zadecydowały o czasie, który jej pozostał. Przewidywała rozwój wypadków, zwłaszcza to, że ten potwór jej nie uwolni. Nigdy. To było najokropniejsze. W nieskończoność układała plany ucieczki. Ale patrząc realistycznie, zdawała sobie sprawę, że to mrzonki. Była skrępowana i chociaż próbowała wszelkich manewrów, wykręcała kończyny na wszelkie możliwe sposoby, nie zdołała się uwolnić. A nawet gdyby jakimś cudem to zrobiła, nie dałaby rady temu człowiekowi. Był chyba najsilniejszym mężczyzną, jakiego poznała w życiu, dwa razy tak silnym jak Brendan, który przecież grał w futbol w college'u.

Co więc jej pozostawało? Może spróbować czegoś podczas posiłku albo wyjścia do toalety... ale on był niesłychanie uważny i staranny. A kiedy dojdzie już do tego, Lizzie Connolly chciała umrzeć z godnością. Czy potwór jej na to pozwoli? Czy będzie chciał, żeby cierpiała? Rozmyślała bardzo wiele o swojej przeszłości i czerpała z niej sporo pociechy. Dorastała w Potomacu w Marylandzie, spędzając prawie każdą wolną godzinę w klubie jeździeckim. Potem był college w Nowym Jorku. Potem „Washington Post”. Małżeństwo z Brendanem, chwile dobre i złe. Dzieci. Wszystko prowadziło do fatalnego przedpołudnia w Phipps Plaza. Życie splątało jej niewiarygodnie okrutnego figla.

Podczas ostatnich kilku godzin w ciemności przypominała sobie, jak udało jej się przetrwać inne przerażające pułapki losu. Doszła do wniosku, że pomogły jej wiara, poczucie humoru i świadomość, że rozum daje siłę. Teraz przypominała sobie dokładnie te wydarzenia... wszystko, co mogłoby jej pomóc.

Kiedy miała osiem lat, musiała przejść operację oka. Rodzice zawsze byli „za bardzo zajęci”, więc do szpitala zawieźli ją dziadkowie. Po ich wyjściu rozplakała się. Kiedy weszła pielęgniarka i zobaczyła łzy, Lizzie udała, że uderzyła się w głowę. I jakoś przebrnęła przez chwilę samotności i lęku. Dała sobie radę.

A potem, kiedy miała trzynaście lat, zdarzył jej się okropny wypadek. Wracała z przyjaciółmi rodziców z weekendu w Wirginii i zasnęła w samochodzie. Ocknęła się oszołomiona, dezorientowana i cała pokryta krwią. Pamiętała, jak rozglądała się po niewyraźnym, mrocznym otoczeniu i uświadamiała sobie powoli, co się wydarzyło. Na ulicy leżał jakiś człowiek. Jechał pojazdem, z którym zderzył się samochód Lizzie. Nie poruszał się, ale Lizzie była przekonana, że słyszy jego głos. Powiedział jej, by się nie bała. Że może zostać na ziemi albo odejść. Że to jej decyzja. Nikogo innego. Wybrała życie.

– To mój wybór – powiedziała teraz w czerni swojego więzienia. – Ja decyduję, czy chcę żyć, czy umrzeć, nie on. Nie Wilk. Ani nikt inny. Wybieram życie.

Rozdział 36

Następnego dnia rano prawie każdy z grupy specjalnej zajmującej się sprawą Biała Dziewczyna znalazł się w głównej sali konferencyjnej Quantico. Wcześniej nie dowiedzieliśmy się niczego konkretnego, jedynie tyle, że usłyszymy przełomowe wiadomości. To był plus; jak na mój gust, minusem był nadmiar biurokracji i bicie piany.

Starszy agent Ned Mahoney, szef HRT, pojawił się, kiedy sala była już pełna. Przeszedł na przód i odwrócił się do nas. Świdrujące spojrzenie jego szarych oczu przesuwano się rząd po rządzie i wyglądał na bardziej naładowanego energią niż zwykle.

–Mam oświadczenie. Na odmianę dobre nowiny – powiedział. – Nastąpił znaczący przełom. Właśnie przyszła informacja z Waszyngtonu. – Na chwilę zawiesił głos. – Od poniedziałku nasi agenci z oddziału w Newarku obserwują podejrzanego, Rafe’a Farleya. Podejrzany to wielokrotny przestępca seksualny. Odsiedział cztery lata w Rahway za włamanie do mieszkania pewnej kobiety, pobicie i gwałt. Podczas rozprawy Farley utrzymywał, że ofiara była jego sympatią z pracy. Nasze podejrzenia wzbudził fakt, że podczas rozmowy w internetowym czacie Farley miał wiele do powiedzenia o pani Audrey Meek. Znał szczegóły, w tym fakty dotyczące jej rodziny w Princetown, nawet rozkład domu. Wiedział również dokładnie, kiedy i w jakich okolicznościach porwano panią Meek z centrum handlowego King of Prussia. Wiedział, że użyto jej samochodu, wiedział też, jaki to samochód, i że porzucono jej dzieci. Podczas następnej rozmowy w czacie Farley przedstawił konkretne szczegóły, których nawet my nie znaleźliśmy. Utrzymywał, że uspił panią Meek za pomocą narkotyku, którego nazwę podał, a potem zabrał ją do swojej kryjówki w lasach New Jersey. Nie powiedział, czy porwana kobieta żyje, czy też nie. Niestety nie odwiedził pani Meek w okresie, w którym znalazł się pod naszą obserwacją, to znaczy przez ostatnie trzy dni. Możliwe, że zorientował się, iż jest pod obserwacją. Zdecydowaliśmy się go zwinąć. Dyrektor zgodził się z nami. HRT jest już na miejscu, w North Yimeland w New Jersey, towarzysząc miejscowemu oddziałowi FBI i policji. Wchodzimy niebawem, przypuszczalnie za godzinę. Jeden zero dla naszych – zakończył swoje wystąpienie Mahoney. – Gratulacje dla wszystkich zaangażowanych z tej strony.

Siedziałem i klaskałem razem z innymi, ale miałem dziwne uczucie. Nie włączono mnie do rozpracowania tego wątku, nawet nie powiadomiono o Farleyu i o tym, że jest śledzony. Nie objęto mnie obiegiem informacji. Przez cały czas pracy w oddziale stołecznym, a spędziłem w nim kilkanaście lat, nigdy nie potraktowano mnie w ten sposób.

Rozdział 37

W głowie wciąż brzęczały mi słowa, które padły podczas odprawy: „Dyrektor zgodził się z nami”. Zadawałem sobie pytanie, od jak dawna Burns wiedział o podejrzanym w Jersey i dlaczego postanowił mi o nim nie wspominać. Dręczyło mnie poczucie zawodu oraz inne dziwne myśli i chociaż starałem się im nie ulegać, niemniej jednak... Nie czułem się dobrze, podczas gdy odprawa kończyła się do wtóru entuzjastycznych okrzyków grupki agentów.

Kłopot w tym, że coś mi nie pasowało, a nie miałem pojęcia co. Coś mi śmierdziało, i tyle.

Wychodziłem razem z innymi, kiedy niemal tanecznym krokiem podszedł do mnie Mahoney.

–Dyrektor prosił, żebyś poleciał do New Jersey – powiedział i uśmiechnął się szeroko. – Chodź ze mną na lądowisko śmigłowców. Też myślę, że się przydasz. Jeśli natychmiast nie złamiemy Farleya, to chyba nie uratujemy pani Meek.

Niecałą godzinę potem śmigłowiec wylądował w Big Sky Aviation w Millville w New Jersey. Czekają na nas dwa czarne SUV – y. Mahoney i ja zostaliśmy pośpiesznie przewiezieni do North Yineland, jakieś dziesięć mil na północ.

Zaparkowaliśmy przed restauracją sieci IHOP. Farley mieszkał ponad milę dalej.

–Jesteśmy gotowi. Można pakować gościa – oświadczył grupie atakującej Mahoney. – Nos mi mówi, że to będzie właśnie to.

Towarzyszyłem Mahoneyowi w jednym z SUV – ów. Nie włączono nas do sześciuosobowego oddziału HRT, który pierwszy miał przypuścić atak, ale mieliśmy przesłuchiwać Rafe’a Farleya. Liczyliśmy na to, że znajdziemy Audrey Meek żywą.

Mimo wszelkich obaw udzieliło mi się podniecenie przed atakiem. Entuzjazm Mahoneya był zaraźliwy, a każde działanie było lepsze niż siedzenie z założonymi rękami. W końcu ruszyliśmy z miejsca. Zawsze jeszcze mogliśmy uratować Audrey Meek.

Minęliśmy niepomalowany bungalow. Deski werandy miał połamane. Na małym podwórku zobaczyliśmy zardzewiały samochód i piecyk kempingowy.

–Jesteśmy na miejscu – powiedział Mahoney. – Nie ma to jak w domciu. Zatrzymajmy się trochę dalej.

Przystanęliśmy sto jardów wyżej, przy drodze, obok zagajnika, w którym rosły dęby i sosny. Wiedziałem, że kilku agentów w strojach kamuflażowych już obserwuje z bliska bungalow. Obserwatorzy nie mieli uczestniczyć w ataku. Dodatkowo filmowano też bungalow i samochód podejrzanego, czerwonego dodge’a polarisa.

–Chyba śpi w środku – poinformował mnie Mahoney, kiedy biegliśmy truchcikiem przez las, aż zobaczyliśmy rozpadającą się chałupę.

–Jest prawie południe – zauważyłem.

–Farley pracuje na nocnej zmianie. Wraca o szóstej nad ranem. Jest ze swoją dziewczyną. Przemilczałem tę uwagę.

–No i co? O czym myślisz? – spytał Mahoney, gdy obserwowaliśmy dom z gęstej kępy drzew, rosnącej niecałe pięćdziesiąt jardów od domu.

–Powiedziałeś, że jest ze swoją dziewczyną. To nie pasuje do sprawy, nie

sądzisz?

–Nie wiem, Alex. Według obserwatorów ona siedzi tam od wieczora. Może to nasza para porywaczy? W każdym razie jesteśmy na miejscu. Moim zadaniem jest zatrzymać Rafe’a Farleya. Bierzmy się do roboty. Tu HRT Jeden. Kieruję akcją. Gotowi! Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Atakujemy. Atakujemy!

Rozdział 38

Ja i Mahoney obserwowaliśmy grupę atakującą, kiedy szybko pokonywała przestrzeń otaczającą wyglądający niewinnie dom. Sześciu agentów miało na sobie czarne kombinezony, kuloodporne kamizelki i maski. Teren obok domu był zagracony. Zapełniały go dwa zniszczone samochody: niewielkie auto i półciężarówka, części lodówek i klimatyzatorów. Stojący dalej urynął zapewne służył kiedyś w knajpianej toalecie.

Okna domu zasłonięte, mimo że był środek dnia. Czy Audrey Meek znajdowała się w środku? Czy żyła? Miałem nadzieję, że tak. Uratowanie jej oznaczałoby wielki przełom w śledztwie. Zwłaszcza że wszyscy uznali, iż prawdopodobnie nie żyje.

Niemniej jednak coś mnie gnębiło.

Ale teraz nie miało to już znaczenia.

Kiedy HRT wkracza do akcji, nikt nie puka grzecznie i nie przedstawia się. Nie ma czasu na rozmowy, negocjacje, polityczną poprawność. Dwaj agenci wyłamali frontowe drzwi. Przekroczyli próg.

Nagle rozległo się przygłuszone BUUM. Szturmująca dwójka upadła. Jeden agent już się nie podniósł. Drugi dźwignął się na nogi i zataczając wyszedł na zewnątrz. To był koszmarny widok, kompletny szok.

–Mina – wyjąkał Mahoney. Był zdumiony i wściekły. – Musiał zaminować drzwi.

Tymczasem czterej inni agenci wdarli się do środka tylnymi i bocznymi drzwiami. Nie doczekaliśmy się kolejnych wybuchów. Pozostałe drzwi były wolne od groźnych zabezpieczeń. Dwaj agenci podbiegli do rannych kolegów. Odciągnęli na bezpieczną odległość nieprzytomnego.

Mahoney i ja pognaliśmy ile sił w nogach do domu. Mahoney klął bez przerwy. Nie słyszeliśmy żadnych oznak oporu.

Obleciał mnie nagły strach. A co, jeśli Farleya nie będzie w środku?, pomyślałem. Modliłem się, by nie skończyło się na tym, że znajdziemy tylko trupa Audrey Meek. Nic mi tu nie pasowało. Nie tak zorganizowałbym akcję. Ci z FBI! Nigdy nie lubiłem tych drani, nie miałem do nich zaufania, a teraz byłem jednym z nich. Nagle rozległy się okrzyki:

–Teren zabezpieczony! Teren zabezpieczony! Mamy podejrzanego. Mamy go. To Farley. I jakaś kobieta!

Jaka kobieta? Wpadliśmy bocznymi drzwiami do domu. Wszędzie unosiły się gęste kłęby dymu. Cuchnęło materiałami wybuchowymi, ale też marihuaną i przypalonym olejem. Pobiegliśmy do sypialni przy małym pokoju dziennym.

Na drewnianej podłodze leżeli mężczyzna i kobieta. Byli nadzy jak ich Pan Bóg stworzył, mieli szeroko rozłożone ręce i nogi. Tą kobietą nie była Audrey Meek. Ta była gruba, miała dobre kilkadziesiąt funtów nadwagi. Sam Rafe Farley musiał ważyć prawie trzysta funtów. Był cały porośnięty obrzydliwymi kępkami rudych włosów.

Nad wielkim pustym łóżem, bez pościeli i kapy, przyklejono taśmą stary poster z Cool Hand Luke* [film z 1967 roku, poświęcony życiu więźniów w obozie pracy].

Farley, purpurowy na twarzy, wydierał się na nas.

–Mam swoje prawa! Cholera, mam swoje prawa! Jesteście ugotowani, dranie!

Przeczuwałem, że ten rozwrzeszczany człowiek może mieć rację, a jeśli porwał Audrey Meek, kobieta może już nie żyć.

–To ty jesteś ugotowany, tłuściochu! – warknął mu w twarz jeden z agentów. – I ty też, koleżanko!

Czy to możliwe, że mieliśmy przed sobą parę zawodowców, która porwała Audrey Meek i Elizabeth Connolly?

Nie mieściło mi się to w głowie.

Więc kim, u diabła, byli ci ludzie?

Rozdział 39

Ned Mahoney i ja tkwiliśmy w ciasnej, przypominającej chlew sypialni, w towarzystwie podejrzanego, Rafe'a Farleya. Kobieta, która zapewniła nas, że jest jego dziewczyną, włożyła brudny szlafrok i została wyprowadzona do kuchni na przesłuchanie.

Wszyscy byliśmy wściekli z powodu tego, co się wydarzyło podczas szturm. Mina zraniła dwóch naszych, a my nie osiągnęliśmy niczego konkretnego. Wielki przełom w śledztwie sprowadzał się do ujęcia Rafe'a Farleya. Nie mieliśmy żadnych innych podejrzanych.

Wszystko to było coraz bardziej dziwaczne. Zaczniemy od tego, że Farley pluł na Mahoneya i na mnie, aż mu śliny zabrakło. Było to tak dziwne i zwariowane, że w pewnej chwili spojrzeliśmy z Nedom na siebie i po prostu ryknęliśmy śmiechem.

–Co was tak, kurwa, śmiesz? – zachrypiał Farley z łóżka, na którym go umieszczono.

Przypominał wieloryba, który utknął na plaży. Zmusiliśmy go do włożenia niebieskich dżinsów i roboczej koszuli, głównie dlatego, że nie mogliśmy znieść widoku jego wałków tłuszczu i tatuaży. Były tam nagie kobiety i purpurowy smok zjadający dziecko.

–Zostaniesz oskarżony o porwanie i morderstwo – warknął na niego Mahoney. – Zraniłeś dwóch moich ludzi. Jeden może stracić oko.

–Nie macie prawa nachodzić mnie w moim domu, kiedy śpię! Mam wrogów! – zawył Farley i znów opluł Mahoneya. – Włamaliście się, bo sprzedałem trochę trawki? Albo dlatego, że rznę zamężną dupę, która woli mnie od swojego starego?

–Mówisz o Audrey Meek? – spytałem.

Nagle się uspokoił i zagapił się na mnie. Jasnoczerwony rumieniec pokrył mu twarz i szyję. Co się stało? Nie był dobrym aktorem i nie był wcale sprytny.

–O czym ty, do diabła, gadasz? Nawąchałeś się tego mojego syfa? – wykrztusił wreszcie. – Audrey Meek? Ta porwana panienska?

Mahoney pochylił się ku niemu.

–Audrey Meek. Wiemy, że wiesz o niej wszystko, Farley. Gdzie ona jest?

Świńskie oczka Farleya zmały jeszcze bardziej.

–Skąd, u diabła, mam wiedzieć, gdzie ona jest?

Mahoney nie dał mu złapać oddechu.

–Zajrzałeś kiedyś na stronę internetową Cztery Ulubione Rzeczy?

Farley potrząsnął przecząco głową.

–Nigdy o niej nie słyszałem.

–Mamy zapis twojej rozmowy, dupku – warknął Ned. – Będziesz miał dużo do wyjaśnienia, Lucy. Farley wyglądał na zbitego z tropu.

–Do diabła, kto to Lucy? O czym ty mówisz, facet? Lucy jak Love Lucy?*

[telewizyjny serial komediowy].

Mój towarzysz dobrze sobie radził z Farleyem. Pomyślałem, że razem sprawnie nam idzie.

–Trzymasz Audrey Meek gdzieś tu w lesie, w Jersey! – wrzasnął Mahoney i tupnął

noga.

Przejąłem pałeczkę.

–Zrobiłeś jej krzywdę? I gdzie jest teraz?

–Zabierz nas do niej, Farley! – dołączył do mnie Mahoney.

–Wracasz do kicia. Tym razem już z niego nie wyjdiesz! – krzyknąłem mu w twarz.

Chyba w końcu się obudził. Zmrużył oczy i spojrzał na nas ostro. Boże, ależ on cuchnął, zwłaszcza kiedy zaczął się bać.

–Zaczekajcie chwilę, kurwa. Teraz kojarzę. Chodzi wam o tę witrynę internetową? Ja tylko się przechwalałem.

–Co ty za kit nam wciskasz?

Farley zapadł się w sobie, jakbyśmy zaczęli go bić.

–Cztery Ulubione są dla świrów mocnych tylko w gębie. Każdy tam wstawia gówna, człowieku.

–Ale nie ty, kiedy opowiadałeś o Audrey Meek. Mówiłeś prawdę. Wszystko trzymało się kupy – powiedziałem.

–Ta suka mnie kręci. Gorąca sztuka. Niech to szlag, zbieram katalogi Meek od zawsze. Wszystkie te modelki z chudymi tyłkami tylko marzą, żeby ktoś posunął je jak trzeba!

–Znasz szczegóły porwania, Farley – stwierdziłem.

–Czytam gazety, oglądam CNN. Jak wszyscy. Powiedziałem już wam, Audrey Meek mnie kręci. Szkoda, że to nie ja ją porwałem. Myślicie, że barłoczyłbym się z Cini, gdybym miał pod ręką Audrey Meek?

–Wiedziałeś o rzeczach, których nie było w gazetach – oświadczyłem, celując w niego palcem. Pokręcił wielką głową i odparł:

–Załatwiłem sobie skaner. Słucham na policyjnych częstotliwościach i takie tam. Gówno, nie porwałem Audrey Meek. Nie mam na to jaj. Nie dałbym rady. To była tylko gadka, człowieku.

–Miałeś dość jaj, żeby zgwałcić Carly Hope – przerwał mu Mahoney.

Farley jeszcze bardziej zapadł się w siebie.

–Nie, nie. Już powiedziałem w sądzie. Carly była moją dziewczyną. Nie zgwałciłem jej. Nie mam na to jaj. Nie zrobiłem niczego Audrey Meek. Jestem nikim. Jestem zero!

Rafe Farley wpatrywał się w nas przez długą chwilę. Oczy miał przekrwione; był naprawdę żaloszny. Wbrew samemu sobie zacząłem mu wierzyć. „Jestem nikim. Jestem zero”. Tak, to prawda. Rafe Farley był zerem.

Rozdział 40

Szterling

Pan Potter

Kierownik Artystyczny

Sfinks

Cud

Wilk

Wszystkie te pseudonimy brzmiały niewinnie, ale ludzie, którzy kryli się za nimi, nie byli niewinni. Podczas pewnej sesji Potter nazwał swoją grupę Potwory, Spółka z o.o. i to określenie nie kłamało. Byli potworami, wszyscy. Byli świrami; byli zбочeńcami; byli czymś jeszcze gorszym.

A poza nimi był też Wilk, należący do zupełnie innej klasy.

Spotykali się na bezpiecznej stronie internetowej, niedostępnej dla ludzi z zewnątrz. Szyfrowali wszystkie wiadomości. Do porozumiewania się konieczne były dwa klucze: jeden do kodowania informacji, drugi do rozkodowania. Co ważniejsze, by dostać się na stronę, trzeba było poddać się skanowaniu linii papilarnych. Rozważali nawet skaning siatkówki i sondę analną.

Tematem dyskusji byli Ślubni i to, co z nimi zrobić.

–Co to do diabła znaczy, „co z nimi zrobić”? – spytał Kierownik Artystyczny, zwany dla żartu Panem Miękkim, ponieważ jako jedyny w tym towarzystwie bywał uczuciowy.

–To znaczy właśnie to, nic więcej – odpowiedział Szterling. – Pogwałcono w sposób poważny zasady bezpieczeństwa. Teraz musimy zdecydować, co z tym fantem począć. Zafundowano nam pokaz nieporadności, głupoty i czegoś jeszcze gorszego. Widziano ich! Wszyscy jesteście zagrożeni.

–Jakie są nasze opcje? – zapytał Kierownik Artystyczny. – Prawie boję się usłyszeć odpowiedź.

–Czytaliście ostatnio prasę? – zareagował na to natychmiast Szterling. – Macie telewizor? Dwuosobowy zespół porwał kobietę w centrum handlowym w Atlancie w Georgii. Został zauważony. Dwuosobowy zespół porwał kobietę w Pensylwanii... i został zauważony. Jakże mamy opcje? Nie robić absolutnie nic... albo wykonać zdecydowany ruch. Przydałaby się lekcja pokazowa... dla innych zespołów.

–Więc co robimy z tym fantem? – spytał Cud, który zwykle był raczej spokojny, ale wyprowadzony z równowagi umiał być niemiły.

–Przede wszystkim zawieszam wszystkie dostawy – oświadczył Szterling.

–Nikt mnie o tym nie zawiadomił! – wybuchnął Sfinks. – Oczekuję dostawy! Jak wszystkim wiadomo, zapłaciłem za nią. Czemu nie zostałem o tym wcześniej poinformowany?

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał. Nikt nie lubił Sfinksa. Poza tym każdy z nich był sadystą. Dręczenie Sfinksa czy innego członka grupy sprawiało reszcie przyjemność.

–Oczekuję dostawy! – pieniał się Sfinks. – Mam do niej prawo. Wy dranie! Pierdołę was wszystkich. – I odłączył się, nie czekając na odpowiedź. Typowe dla Sfinksa.

Śmiechu warte, ale żadnemu z nich nie było teraz do śmiechu.

–Sfinks opuścił nasze zgromadzenie – oświadczył po chwili Potter. W końcu zabrał głos Wilk.

–Myślę, że dość tego gadania na dziś wieczór. Dość zabawy. Te wiadomości w mediach nie dają mi spokoju. Trzeba przekazać Ślubnym sygnał. Czytelny i ostateczny. Proponuje, żeby inny zespół złożył im wizytę. Czy ktoś ma odmienne zdanie?

Okazało się, że nikt, jak zawsze, kiedy Wilk wysuwał jakąś propozycję. Wszyscy bali się go jak ognia.

–Ale nie ma tego złego... – powiedział Potter. – Czy ten cały zamęt i rozgłos nie jest podniecający? Krew od tego kipi. Można skonać ze śmiechu, no nie?

–Zwariowałeś, Potter. Odwaliło ci.

–Nie macie z tego frajdy?

Ale bezpieczna strona internetowa nie była dość zabezpieczona...

–Ani słowa więcej! – rozkazał Wilk. – Ani słowa! Ktoś tu jeszcze jest poza nami. Czekać. Nie, już wyszedł. Ktoś włamał się do Gniazda i zwał. Kto mógł się tu dostać? Kto mu pozwolił? Nieważne. Już nie żyje.

Rozdział 41

Lili Olsen miała czternaście i pół roku, wyglądała na dwadzieścia cztery i wierzyła święcie, że słyszała już wszystko, dopóki nie włamała się do Wilczego Gniazda.

Ci chorzy dranie w tym ich dobrze – ale – nie – dość – dobrze – zabezpieczonym czacie to byli sami starsi faceci, same odrażające chamy. Uwielbiali nieustannie mówić o intymnych częściach kobiecego ciała i o uprawianiu seksu ze wszystkim, co się ruszało, bez względu na wiek, płeć i gatunek. Byli bardziej niż obrzydliwi; kiedy Lili ich słuchała, zbierało jej się na wymioty. Pożałowała, że w ogóle kiedykolwiek trafiła do Wilczego Gniazda, że włamała się do tego dobrze zabezpieczonego czatu. To mogli być mordercy!

I nagle ich przywódca, ten Wilk, nakrył ją! Zorientował się, że jest z nimi na ich stronie i słucha wszystkiego, co mówią.

Teraz Lili wiedziała o morderstwach, o porwaniach, o wszystkim, co się roilo w tych ich chorych mózgach. Nie wiedziała tylko jednego: czy to, co usłyszała, jest prawdą.

Może tylko zmyślali to wszystko? Może byli tylko wstrętnymi, chorymi na umyśle gadułami? Nie chciała znać prawdy i nie wiedziała, co zrobić z tym, co już podsłuchiwała. Włamała się na tę stronę, a to było nielegalne. Gdyby doniosła o wszystkim policji, doniosłaby na samą siebie. Nie mogła tego zrobić. Zwłaszcza jeśli to ich gadanie było czystą fantazją.

Siedziała w swoim pokoju i rozważała różne możliwości. Czuła się okropnie, aż w brzuchu ją skręcało, czuła straszliwy smutek i bardzo się bała.

Tamci się dowiedzieli, że włamała się do Wilczego Gniazda. Ale czy wiedzieli, jak ją znaleźć? Gdyby była na ich miejscu, umiałaby to zrobić. Może już jechali do jej domu?

Zdawała sobie sprawę, że powinna iść na policję albo do FBI. Ale nie potrafiła się na to zdobyć. Siedziała struchlęta, jak sparaliżowana.

Kiedy zadzwieczył dzwonek u drzwi, o mało nie wyskoczyła ze skóry.

–Cholera! Cholera jasna! To oni!

Odetchnęła głęboko i cicho jak myszka pobiegła do drzwi. Zerknęła przez judasza. Słyszała łomot własnego serca.

Jezu! Pizza!

Zupełnie zapomniała, że zamówiła pizzę. To był chłopak z pizzerii, nie mordercy, i Lili nagle roześmiała się głośno. Nie umrze!

Otworzyła drzwi.

Rozdział 42

Wilk rzadko bywał aż tak zły i ktoś musiał zapłacić za wyprowadzenie go z równowagi. Rosjanin nie cierpiał Nowego Jorku, tego zadzierającego nosa, przecenianego molocha. Nowy Jork był niewyobrażalnie brudny i zapaskudzony, a nowojorczyści chamscy i niewychowani. Jeszcze gorsi niż moskwianie. Ale musiał wpaść do Nowego Jorku. Miał interes do Ślubnych, a ci mieszkali właśnie tam. Poza tym miał chętkę na partyjkę szachów, może dwie. Lubił szachy jak mało co.

Sława i Zoja mieszkali na Long Island. Konkretnie biorąc, w Huntington.

Wilk przyleciał do Nowego Jorku tuż po trzeciej. Przypomniawszy sobie jedną z wcześniejszych wizyt – dwa lata po przybyciu z Rosji. Jego kuzyni mieli tu dom i pomogli mu zorganizować sobie życie w Ameryce. Miał cztery mokre roboty na wyspie. No cóż, przynajmniej Huntington leżało blisko lotniska imienia Kennedy'ego. Im mniej czasu spędzi w tym cholernym mieście, tym lepiej.

Ślubni zajmowali typowy parterowy dom. Wilk załomotał do drzwi wejściowych i otworzył mu Łukanow, byczasty facet z bródką. Był członkiem innego zespołu, operującego z powodzeniem w Kalifornii, Oregonie i stanie Waszyngton. Dawny major KGB.

–Gdzie te głupie buce? – spytał Wilk, kiedy tylko znalazł się w środku.

Byczasty facet skinął kciukiem za siebie, na ciemny korytarz. Wilk ruszył we wskazanym kierunku. Bolało go prawe kolano i przypomniał sobie pewien dzień w latach osiemdziesiątych, kiedy członkowie konkurencyjnego gangu złamali mu nogę. W Moskwie tego rodzaju postępowanie uważano za ostrzeżenie, Wilk jednak nie był specjalnym zwolennikiem ostrzegania. Odszukał tych trzech, którzy go okaleczyli, i pogruchotał im wszystkie kości, jedną po drugiej. W Rosji tę koszmarną torturę zwano zamoczyć, ale Wilk i inni gangsterzy nazwali ją spulchnianiem.

Wszedł do małej zapuszczonej sypialni, w której leżeli Sława i Zoja, kuzyni jego byłej żony. Oboje urodzili się i wychowali trzydzieści mil od Moskwy. Do lata 1998 roku służyli w Armii Czerwonej, po czym wyemigrowali do Ameryki. Pracowali dla niego niecałe osiem miesięcy, dopiero ich poznawał.

–Mieszkacie w śmietniku – stwierdził. – Wiem, że macie dużo pieniędzy. Co z nimi robicie?

–Mamy rodzinę w ojczyźnie – powiedziała Zoja. – Twój krewny też tam żyje.

Wilk przechylił głowę na ramię.

–Ho, ho, ale wzruszające. Nie wiedziałem, że masz takie dobre serduszko, Zoja. – Gestem odprawił byczastego, rozkazując mu: – Zamknij drzwi. Kiedy skończę z tą sprawą, chcę mieć spokój. To może chwilę potrwać.

Ślubni leżeli związani na podłodze. Mieli na sobie tylko bieliznę. Sława – szorty w kaczuszki. Zoja – czarny biustonosz i skąpe majteczki, też czarne. Wilk uśmiechnął się w końcu. – No i co ja mam z wami począć, hę? Sława zaczął się śmiać. Brzmiało to jak głośne, nerwowe, cienkie gdakanie. Spodziewał się śmierci, ale mieli tylko dostać ostrzeżenie. Zobaczył to w oczach stojącego nad nimi mężczyzny.

–Więc co się stało? – spytał Wilk. – Gadajcie szybko. Znacicie zasady.

–Może za łatwo szło. Chcieliśmy dreszczyku emocji. Nasza wina, Pasza.

Zrobiliśmy się niezdarni.

–Nigdy mnie nie okłamujcie – napomniął ich Wilk. – Mam swoich informatorów.

Wszędzie!

Usiadł na poręczu fotela, który wyglądał tak, jakby stał w tej koszmarnej sypialni sto lat. Z mebla wzbił się kurz.

–Lubisz go? – spytał Zoję Wilk. – Kuzyna mojej żony?

–Kocham go – odparła i spojrzenie jej piwnych oczu złagodniało. – Od zawsze. Od kiedy mieliśmy po trzynaście lat. I zawsze będę go kochać.

–Sława, Sława – westchnął Wilk i podszedł do muskularnego mężczyzny leżącego na podłodze. Pochylił się i uściskał go. – Jesteś krewnym mojej byłej żony. I zdradziłeś mnie. Sprzedałeś mnie moim wrogom, co? Wydało się. Ile dostałeś? Mam nadzieję, że dużo.

Nagle przekręcił głowę Sławy, jakby otwierał wielki słoje kiszonych ogórków. Kark mężczyzny trzasnął. Wilk uwielbiał ten dźwięk. Był jego znakiem rozpoznawczym w czerwonej mafii.

Oczy Zoi urosły dwukrotnie, ale nawet nie pisnęła. Wilk zrozumiał, jakimi twardymi klientami byli naprawdę Zoja i Sława, jak bardzo mogli zagrozić jego organizacji.

–Jestem pod wrażeniem, Zoju – rzekł. – Pogadajmy. – Wbił spojrzenie w jej wielkie oczy. – Słuchaj, zaraz każę nam podać prawdziwej wódki, rosyjskiej. Potem chcę posłuchać twoich opowieści wojennych. Chcę usłyszeć, co zrobiłaś ze swoim życiem, Zoju. Zaciekawiłaś mnie. A najbardziej chcę zagrać w szachy. Nikt w Ameryce nie umie grać w szachy. Jedna partia i pójdiesz do nieba z twoim ukochanym Sławą. Ale najpierw wódka, szachy i oczywiście dasz mi dupy!

Rozdział 43

Wilk musiał naprawdę mocno przycisnąć Zoję. A potem, z powodu tego, co od niej wyciągnął, musiał zrobić jeszcze jeden przystanek w Nowym Jorku. Niefart. Oznaczało to, że nie zdąży na zaplanowany lot z Kennedy'ego i nie obejrzy tego wieczoru hokeja. Szkoda, ale najpierw obowiązek, potem przyjemność. Zdrada Sławy i Zoi zagroziła życiu Wilka i rzuciła cień na jego reputację.

Kilka minut po jedenastej wieczorem wszedł do klubu Passage w Brighton Beach na Brooklynie. Z zewnątrz Passage wyglądał jak nora, ale naprawdę był elegancki i prawie tak miły jak najlepsze moskiewskie lokale.

Wilk ujrzał w nim ludzi znanych mu z dawnych lat: Goszę Czernowa, Lwa Denisowa, Jurę Pomina i jego kochankę. Zobaczył też swoją ukochaną Juliję. Jego była żona była wysoka, szczupła i miała wielkie piersi, które kupił jej w Palm Beach na Florydzie. Jej uroda nadal robiła wrażenie, byle światło nie było nazbyt ostre, i nie zmieniła się wiele od czasów Moskwy, gdzie od piętnastego roku życia pracowała jako kelnerka.

Siedziała przy barze z Michałem Biriukowem, obecnym królem Brighton Beach. Zajmowali miejsca dokładnie przed panoramą St. Petersburga. Filmowe ujęcie, pomyślał Wilk. Typowy hollywoodzki banał.

Julija dostrzegła wchodzącego i klepnęła Biriukowa. Miejscowy pahan odwrócił się i Wilk w mgnieniu oka znalazł się przy nim. Postawił z łomotem na kontuarze szachowego czarnego króla.

–Szach i mat! – ryknął. Wybuchnął śmiechem i uściskał Juliję. – Nie cieszycie się na mój widok? – spytał. – Powinienem czuć się urażony.

–Tajemniczy człowiek z ciebie – mruknął Biriukow. – Myślałem, że siedzisz w Kalifornii.

–Nic podobnego – rzekł Wilk. – Przy okazji, pozdrowienia od Sławy i Zoi. Właśnie pożegnałem się z nimi na Long Island. Nie mogli wpaść dziś wieczorem.

Julija tylko wzruszyła ramionami – zimna suka.

–Tyle mnie obchodzą, co zeszłoroczny śnieg – powiedziała. – Dalecy krewni.

–Mnie też już nie obchodzą, Julija. Teraz to tylko kłopot dla policji.

Nagle złapał ją za włosy i trzymając jedną ręką, uniósł z barowego stołka.

–Kazałaś im mnie wyjechać, no nie? Dużo musiałaś im zapłacić! – krzyknął jej w twarz. – To twoja robota. I twoja!

Błyskawicznie wyciągnął z rękawa szpikulec do lodu i wbił go w lewe oko Biriukowa. Gangster w jednej chwili stracił oko i życie.

–Nie... błagam cię – wydusiła z siebie Julija. – Nie zrobisz tego. Nawet ty.

Wilk zwrócił się do całego nocnego klubu:

–Wszyscy jesteście świadkami, no nie? Co?! Nikt jej nie pomoże? Boicie się mnie? Dobrze, powinniście się mnie bać. Julija próbowała się na mnie zemścić. Zawsze była z niej głupia krowa. A Biriukow był tylko durnym, chciwym draniem. Ambitny! Ojciec chrzestny Brighton Beach! Co mu chodziło po głowie? Być mną...?!

Podniósł Juliję jeszcze wyżej. Wymachiwała gwałtownie nogami i jeden z jej czerwonych pantofli bez pięt zleciał z nogi i frunął pod najbliższy stolik. Nikt go nie

podniósł. Nikt w klubie nie ruszył jej z pomocą. Nikt też nie sprawdził, czy Michaił Biriukow jeszcze żyje. Już wiadano, że szaleniec przy barze to Wilk.

–Gdyby komuś z was przyszło do głowy wleźć mi w drogę, niech przypomni sobie tę scenkę. Jesteście świadkami! I dostaliście ostrzeżenie. Jak w Rosji, tak samo w Ameryce.

Puścił włosy Julii i zacisnął rękę na jej gardle. Przekręcił rękę i kark kobiety trzasnął.

–Jesteście świadkami!!! – wrzasnął po rosyjsku. – Zabiłem moją byłą żonę. I tego kabła Biriukowa. Widzieliście, jak to zrobiłem! Do diabła z wami.

Ciężkim krokiem wyszedł z klubu. Nikt się nie ruszyłby go zatrzymać.

I nikt nie powiedział nic nowojorskiej policji, kiedy przyjechała.

„Jak w Rosji, tak samo w Ameryce”.

Rozdział 44

Benjamin Coffey był więziony w ciemnej piwnicy pod klepiskiem stodoły. Ile to już dni? Trzy, cztery? Nie pamiętał, pogubił się w czasie.

Student Providence College był bliski szaleństwa, dopóki nie dokonał zadziwiającego odkrycia w samotności swej ciemnicy. Odnalazł Boga, a może to Bóg odnalazł jego.

Najbardziej zdumiał Benjamina fakt, że Bóg pojawił się przy nim. Bóg go przyjął, a może to on dorósł do tego, by przyjąć Boga. Dowiedział się, że Bóg go rozumie. Ale czemu on nie rozumiał Boga? Niepojęte. Przecież chodził do katolickich szkół, a wcześniej do katolickiego przedszkola. W Providence studiował filozofię i historię sztuki. W grobowym mroku tej „celi”, pod klepiskiem stodoły doszedł do jeszcze jednego wniosku. Zawsze uważał się w gruncie rzeczy za dobrego człowieka, ale teraz wiedział, że tak nie jest i że nie ma to żadnego związku z jego seksualnością, jak głosił jego przepelniony hipokryzją Kościół. Doszedł do wniosku, że ktoś jest zły wtedy, kiedy z rozmysłem krzywdzi innych. A on traktował podle swoich rodziców, swoje rodzeństwo, kolegów szkolnych, kochanków i nawet tak zwanych przyjaciół od serca. Był wredny, nadęty, stale zadawał innym ból, chociaż wcale nie musiał tego robić. Postępował tak od zawsze. Był okrutny, snobistyczny, bezduszny, sadystyczny. Był zwykłym gównem. Zawsze miał usprawiedliwienie dla swojego zachowania, bo uważał, że to inni przysparzają mu bólu.

Więc to dlatego tak potoczyły się sprawy? Może. Ale Benjamin najbardziej się zdumiał, kiedy uświadomił sobie, że jeśli uda mu się ująć z życiem, prawdopodobnie wcale się nie zmieni! Więcej, przeczuwał, że wykorzysta to, co mu się przydarzyło, jako kolejną wymówkę i do końca życia pozostanie parszywym draniem.

Zimno mi, zimno, strasznie mi zimno, myślał. Ale Bóg kocha mnie bez żadnych warunków wstępnych. To też nigdy się nie zmieni.

Uświadomił sobie, że jest okropnie rozbity i zapłakany i ten stan trwa przynajmniej dzień. Dygotał, bełkotał coś do siebie bez sensu i nie mógł zebrać myśli. Nie potrafił skupić się na niczym.

Wciąż wracał myślami do przeszłości. Miał dobrych przyjaciół, fantastycznych przyjaciół, i niebawem wszystko się ułoży; czemu więc te koszmarnie myśli wciąż biegały mu po głowie? Dlatego, że był w piekle? Dlatego? Piekło to była ta cuchnąca piwnica pod gnijącą stodołą gdzieś w Nowej Anglii, pewnie w New Hampshire albo Yermont. Czy nie tak?

Może należało odprawić pokutę i nie powinien liczyć na wolność, dopóki tego nie zrobi? A może to było... na wieczność?

Pamiętał pewien szczegół z katolickiej szkoły w Great Barrington w Rhode Island. Chodził wtedy do szóstej klasy i proboszcz usiłował opisać dzieciom wieczność w piekle.

–Wyobraźcie sobie górę i płynącą u jej stóp rzekę – mówił ksiądz. – A teraz wyobraźcie sobie, że co tysiąc lat malutka jaskółka przenosi w dziobku okruszek góry na drugi brzeg rzeki. Chłopcy i dziewczęta, kiedy ten ptaszek przeniesie całą górę, to będzie dopiero początek wieczności.

Ale Benjamin nie uwierzył w tę bajeczkę, prawda? Kto by się dał nabrać na ogień piekielny i siarkę, lejące się z nieba. Wkrótce ktoś go odnajdzie. Ktoś wyprowadzi go na wolność.

Tyle że tak naprawdę nie wierzył w szczęśliwe rozwiązanie tego koszmaru. Jak mogli tu go znaleźć? Nie mieli szans. Boże, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, policja nigdy nie znalazłaby waszyngtońskiego snajpera, a przecież Malvo i Muhamrnad nie byli zbyt inteligentni. W przeciwieństwie do Pana Pottera.

Musi zaraz przestać płakać, bo Pan Porter już gniewał się na niego. Zagroził, że go zabije, jeśli nie przestanie, i, o Boże, dlatego teraz tak płakał. Nie chciał umierać, mając zaledwie dwadzieścia jeden lat i całe życie przed sobą.

Godzinę później – dwie? trzy? – usłyszał nad sobą hałas i znów się rozszlochał. Nie mógł opanować płaczu, trząsł się cały. I pochlipywał. Pociągał nosem i pochlipywał od przedszkola.

Przestań pochlipywać, Benjaminie! Przestań! Zaraz!

Ale nie mógł przestać.

Właz w suficie się podniósł. Ktoś schodził do piwnicy.

Przestań płakać, przestań płakać, przestań! W tej chwili przestań! Potter cię zabije! Nagle wydarzyła się najbardziej nieprawdopodobna rzecz na świecie, wydarzenia przybrały obrót, którego Benjamin zupełnie się nie spodziewał.

Usłyszał basowy głos, nie był to jednak głos Pottera.

–Benjamin Coffey? Benjamin? Tu FBI. Panie Coffey, jest pan tam? Tu FBI.

Trząsł się jeszcze bardziej i tak łkał, że o mało nie udusił się kneblem. Z powodu tego knebla nie mógł zawołać, nie mógł i dać znać FBI, że jest tu, na dole.

FBI mnie znalazło! To cud. Muszę dać im znać o sobie. Ale jak? Nie odchodźcie! Jestem tu, na dole! Jestem tu!

Światło latarki padło mu na twarz.

Coś się pokazało za latarką. Sylwetka. Z cieni wyłoniła się twarz.

Pan Potter spoglądał na niego surowo z drzwi w suficie.

–Powiedziałem ci, co będzie, prawda, Benjaminie? Sam ściągnąłeś to na siebie. A jesteś taki piękny. Boże, jesteś idealny.

Jego kat zszedł niżej. Benjamin zobaczył w dłoni Pottera zniszczony kilkunastofuntowy młot. Ciężkie narzędzie pracy. Opłynęła go fala strachu. I kolejna. I kolejna.

–Jestem o wiele silniejszy, niż ci się wydaje – powiedział Potter. – A ty byłeś bardzo niegrzecznym chłopcem.

Rozdział 45

Pan Potter naprawdę nazywał się Homer O. Taylor i był młodszym wykładowcą na katedrze języka angielskiego w Dartmouth. Błyskotliwym młodszym wykładowcą, ale nikim więcej, więc po prostu nikim. Jego gabinet był małym, przytulnym pomieszczeniem w północno – zachodnim kącie budynku humanistyki. Mówił, że to jego „mansardka”, miejsce, w którym taki nikt jak on mozoli się w samotności.

Tego dnia zamknął się tam na klucz i nie wychodził przez całe popołudnie. Wciąż się wahał. I opłakiwał swojego pięknego martwego chłopca, najświeższą tragiczną miłość, swojego trzeciego ulubieńca!

Chciał wrócić jak najszybciej do stodoły na farmie w Webster, żeby być z Benjaminem, żeby czuwać przy jego ciele jeszcze przez kilka godzin. Jego toyota 4Runner czekała przed budynkiem i gdyby wcisnął gaz do dechy, byłby na miejscu w godzinę.

Benjaminie, drogi chłopcze, dlaczego nie byłeś grzeczny? Dlaczego wydobyłeś ze mnie najgorsze, kiedy mam w sobie tak wiele miłości?

Benjamin był niezwykle urodziwy i na jego wspomnienie Taylor czuł przerażającą pustkę. Ale strata miała wymiar nie tylko fizyczny i uczuciowy, była to również ogromna strata finansowa. Pięć lat temu odziedziczył dwa miliony dolarów z kawałkiem. Ta kwota kurczyła się szybko. O wiele za szybko. Nie mógł sobie pozwolić na taką rozrzutność... ale jaka siła mogła go teraz powstrzymać?

Już pragnął kolejnego chłopca. Chciał być kochany. I kogoś kochać. Chciał drugiego Benjamin, byle tylko nie takiego uczuciowego wraka jak tamten biedak.

Tak więc zaszył się w swoim gabinecie, unikając w ten sposób tych potwornych wielogodzinnych konsultacji, przewidzianych na czwartą. Na wypadek, gdyby ktoś zapukał, miał przygotowaną historyjkę, że poprawia prace semestralne, ale nie przeczytał ani pół zdania.

Miał w głowie tylko jedno.

W końcu około siódmej zadzwonił do Szterlinga.

–Chcę dokonać kolejnego zakupu – powiedział.

Rozdział 46

Pewnego wieczoru odwiedziłem Sampsona i Billie. Świetnie się u nich bawiłem, rozmawiając o dzieciach i strasząc, ile wlezie, wielkiego złego Johna Sampsona. Starłem się rozmawiać z Jamillą przynajmniej raz dziennie. Ale wokół Białej Dziewczyny znów robiło się gorąco. Czułem, że święci się coś poważnego. Wkrótce praca miała pochłonąć mnie zupełnie.

W wynajmowanym domu na Long Island znaleziono zamordowane małżeństwo, Sławę Wasiliewa i Zoję Petrową. Dowiedzieliśmy się, że przybyli do Stanów Zjednoczonych cztery lata temu. Byli podejrzani o sprowadzanie kobiet z Rosji i innych krajów Europy Wschodniej i stręczycielstwo, jak również o sprzedawanie maleńkich dzieci zamożnym małżeństwom.

Agenci z nowojorskiego oddziału FBI przeszukali wszystko na miejscu zdarzenia. Pokazano zdjęcia ofiar licealistom, świadkom porwania Connolly, oraz dzieciom Audrey Meek. Zamordowani małżonkowie zostali rozpoznani. Okazało się, że to oni byli porywaczami. Zastanawiało mnie, dlaczego pozostawiono ich ciała na miejscu zbrodni. Dla przykładu? Ale komu?

O siódmej rano każdego dnia, jeszcze przed zajęciami, spotykałem się z Monnie Donnelley. Analizowaliśmy morderstwa na Long Island. Monnie ściągnęła wszelkie możliwe informacje o ofiarach, a także innych kryminalistach rosyjskiego pochodzenia działających w USA, członkach tak zwanej czerwonej mafii. Miała stałe połączenie z Wydziałem do spraw Przestępczości Zorganizowanej w budynku imienia Hoovera i Wydziałem do spraw Czerwonej Mafii w oddziale nowojorskim.

–Przyniosłem waszyngtońskie obwarzanki posypane wszystkim, czym się da – powiedziałem, wchodząc poniedziałkowym rankiem do jej dziupli. – Najlepsze w mieście. W każdym razie według Zagata. Ale widzę, że to cię wcale nie kręci.

–Spóźniłeś się – odparła Monnie, nie odrywając wzroku od ekranu. Opanowała po mistrzowsku płaski, beznamiętny ton głosu hakerów.

–Te obwarzanki to nie byle co – próbowałem się bronić. – Zaufaj mi.

–Nie ufam nikomu – rzekła Monnie. W końcu podniosła wzrok i uśmiechnęła się. To był miły uśmiech, wart czekania. – Wiesz, że żartuję, no nie? Tylko zgrywałam twardą dziewczynę, Alex. Poczęstuj mnie tymi obwarzankami.

Roześmiałem się.

–Jestem przyzwyczajony do policyjnego poczucia humoru.

–Och, co za zaszczyt – zamruczała znów beznamiętnie, wracając wzrokiem do ekranu. – Traktujesz mnie jak gliniarza, nie jak siłę biurową. Wiesz, zaczęli mnie uczyć daktyloskopii od zera.

Monnie mi się podobała, ale wyczuwałem, że potrzebuje solidnego oparcia. Wiedziałem, że rozwiodła się jakieś dwa lata temu. Zrobiła licencjat z kryminologii na uniwersytecie stanowym Maryland, gdzie zajmowała się również inną pasjonującą dziedziną – sztuką. Nadal chodziła na zajęcia z rysunku i malarstwa i oczywiście w jej dziupli było malowidło ścienne. Ziewnęła.

–Wybacz – powiedziała. – Wieczorem oglądałam z chłopcami Agentkę o stu twarzach. Na szczęście teraz to babcia musi się z nimi męczyć, wyciągając ich z

łóżek.

Mieliśmy z Monnie jeszcze jeden wspólny temat, życie rodzinne. Była samotną matką z dwojgiem dzieci, którymi opiekowała się ich babka, teściowa Monnie, mieszkająca przecznicę dalej. Ten fakt wystarczał za całą historię małżeństwa. Jack Donnelley grał w koszykówkę na uniwerku, na którym poznał Monnie. Popijał zdrowo na uczelni i niezdrowo po dyplomie. Monnie opowiedziała mi, że w liceum był alfą i omegą życia sportowo – towarzyskiego i nigdy nie doszedł do siebie po spadnięciu na pozycję zwykłego licencjata i zwykłego obrońcy w Maryland Terrapins. Monnie miała pięć stóp i pięć cali wzrostu i żartowała, że w Maryland nie grała nawet w klipę. Wyznała mi, że w liceum miała ksywkę „Łamaga”.

–Przeczytałam wszystko o handlu kobietami od Tokio po Rijad – westchnęła. – Serce mi pękało i szlag mnie trafiał. Alex, mówimy o najstraszliwszym niewolnictwie w historii. Co z wami, mężczyźni?

Spojrzałem na nią.

–Ja nie kupuję ani nie sprzedaję kobiet, Monnie. Ani żaden z moich przyjaciół.

–Wybacz. Mam bagaż wspomnień po Jacku Szczurze i paru mężach moich znajomych. – Spojrzała na ekran. – Oto cytat dnia. Wiesz, co premier Tajlandii powiedział o tysiącach kobiet sprzedanych z jego kraju? „Co w tym dziwnego? Tajki są po prostu piękne”. A kiedy wytknięto mu, że wśród sprzedanych była dziesięcioletnia dziewczynka, pan premier dodał: „Dajcie spokój, nie lubicie młodych dziewcząt?”. Przysięgam na Boga, tak powiedział.

Usiadłem obok Monnie i popatrzyłem na ekran.

–Więc ktoś otworzył dochodowy rynek handlu zamożnymi młodymi kobietami. Kto? I skąd operuje? Z Europy? Azji? USA?

–Znalezienie tego zamordowanego małżeństwa może być przełomem w śledztwie. Zwróć uwagę, że to Rosjanie. Co o tym myślisz? – spytała Monnie.

–To może być szajka operująca z Nowego Jorku. Z Brighton Beach. A może mają kwatery główną w Europie? W dzisiejszych czasach ci rosyjscy gangsterzy osiedlają się prawie wszędzie. Ostrzeżenie: „Rosjanie nadchodzą”, to przeszłość. Oni już są.

–W tej chwili największym syndykatem zbrodni na świecie jest gang Sohicewo – ciągnęła Monnie. – Wiedziałaś o tym? U nas też ma coś do powiedzenia. Po obu stronach kontynentu. Czerwona mafia upadła w swojej ojczyźnie. Wyprowadziła z Rosji blisko sto miliardów, z czego duża część trafiła do nas. Jej oddziały pracują w LA, San Francisco, Chicago, Nowym Jorku, Waszyngtonie, Miami. Rosyjscy mafiosi kupili banki na Karaibach i Cyprze. Wierz albo nie, ale przejęli prostytucję, hazard i pranie brudnych pieniędzy nawet w Izraelu. W Izraelu!

W końcu udało mi się wtrącić parę słów:

–Ostatniego wieczoru poświęciłem kilka godzin na czytanie akt Anti – Slavery International. Czerwona mafia też się w nich pojawia.

–Powiem ci jedno. – Spojrzała na mnie. – Chodzi mi o tego chłopaka porwanego w Newport. Wiem, że to inny wzorzec. Wiem, ale jestem przekonana, że jakoś łączy się z naszą sprawą. Co o tym sądzisz?

Kiwnąłem głową na znak, że się z nią zgadzam. I przy okazji pomyślałem, że

Monnie ma fantastycznego nosa jak na kogoś, kto rzadko pracował w terenie. Na razie nie poznałem w Biurze lepszego pracownika od niej i to w jej klitce toczyła się prawdziwa batalia o rozwiązanie sprawy Biała Dziewczyna.

Rozdział 47

Od czasu studiów na Uniwersytecie imienia Johnsa Hopkinsa nigdy nie umarła we mnie dusza studenta. Służyło mi to w stolicy, nawet stwarzało pewną nietypową otoczkę. Miałem nadzieję, że podobnie będzie w Biurze, chociaż do tej pory moje oczekiwania się nie sprawdziły. Zaopatrzyłem się w czarną kawę i rozpocząłem gromadzenie dokumentacji dotyczącej rosyjskiej przestępczości zorganizowanej. Potrzebowałem każdego strzępu informacji i Monnie Donnelley chętnie służyła mi pomocą.

W trakcie moich poszukiwań robiłem notatki, chociaż zwykle pamiętam wszystko co ważne i nie muszę niczego zapisywać. Z materiałów zgromadzonych przez FBI wynikało, że rosyjska mafia w Ameryce prowadzi teraz bardziej zróżnicowaną działalność niż La Cosa Nostra i jest od niej potężniejsza. W przeciwieństwie do mafii włoskiej Rosjanie byli zorganizowani w luźne siatki, które współpracowały ze sobą, ale nie były od siebie zależne. Przynajmniej do tej pory. Taka luźna organizacja miała ten wielki plus, że jej członkom nie groziło śledztwo ze strony RICO, agencji rządowej zajmującej się wymuszeniami i przestępczością zorganizowaną. Nie dało się udowodnić powiązań między gangami. Rosyjskich kryminalistów można było podzielić na dwa różne typy. Tak zwani kasteciarze, grupa Sołncewo, zajmowali się szantażem, prostytutką i wymuszeniami. Przestępcy drugiego rodzaju działali w bardziej wyrafinowany sposób, często zajmując się przestępstwami ubezpieczeniowymi i praniem brudnych pieniędzy. Ci neokapitalistyczni kryminaliści tworzyli grupę o nazwie Izmajłowo.

Postanowiłem skupić się na zwykłych bandziorach, zwłaszcza specjalistach od nierządu. Wedle raportu wydziału OC Biura działali „bardzo podobnie jak liga baseballowa”. „Sprzedawali” grupki prostytutek z miasta do miasta. Z załączonych informacji wynikało, że wedle badań ankietowych przeprowadzonych wśród rosyjskich nastolatków prostytutka znalazła się w grupie pięciu najbardziej cenionych profesji. Zapoznałem się również z anegdotami przedstawiającymi zbrodniczą mentalność Rosjan. Opierała się ona na przebiegłości i bezwzględności. Wedle jednej z nich Iwan Groźny nakazał zbudowanie cerkwi Świętego Bazylego, która miała dorównać największym katedrom Europy, a nawet je przewyższyć. Zadowolony z rezultatu, zaprosił architekta na Kreml. Kiedy się pojawił, spalono jego plany i wykluto mu oczy, by mieć pewność, że nie stworzy doskonalszej świątyni dla nikogo innego.

Raport zawierał także współczesniejsze przykłady, ale ta opowiadka dobrze oddawała styl działania czerwonej mafii. Jeśli za sprawą Biała Dziewczyna stali Rosjanie, mieliśmy do czynienia z takim właśnie przeciwnikiem.

Rozdział 48

Zapowiadało się coś niewiarygodnego.

We wschodniej Pensylwanii było rozkoszne popołudnie. Kierownik Artystyczny przyłapał się na tym, że zapatrzył się w oszałamiający błękit nieba. Odbicia białych chmur ślizgające się po przedniej szybie jego samochodu działały hipnotycznie. Czy dobrze robię?, pytał kilkakrotnie sam siebie podczas jazdy. Doszedł do wniosku, że tak.

–Musisz przyznać, że jest pięknie – powiedział do związanej pasażerki, siedzącej obok w jego mercedesie klasy G.

–Tak – odparła Audrey Meek. Jeszcze niedawno myślała, że nigdy więcej nie zobaczy świata, nie poczuje zapachu świeżej trawy i kwiatów. Dokąd teraz zabierał ją ten szaleniec, skrępowawszy jej najpierw ręce? Oddalali się od jego chaty. Dokąd jechali? I po co?

Była śmiertelnie przerażona, ale starała się tego nie okazywać. Mów o głupstwach, powtarzała sobie w myślach. Wciągnij go w rozmowę.

–Lubisz klasę G? – spytała i natychmiast zdała sobie sprawę, że to zwariowane pytanie, po prostu zwariowane.

Jego spięty uśmiezek, ale przede wszystkim spojrzenie powiedziały jej, że ocenia je tak samo. Niemniej jednak odpowiedział uprzejmie:

–Tak, jak najbardziej. Początkowo uznałem ten model za ostateczny dowód niewiarygodnej głupoty zamożnych ludzi. Przecież na pierwszy rzut oka wygląda jak taczka z przyklejonym znaczkiem mercedesa, a kosztuje trzy razy tyle co normalny wóz. Ale lubię dziwność tego pojazdu, jego kanciastą karoserię i takie pozornie do niczego niepotrzebne urządzenia, jak na przykład blokadę dyferencjału. Oczywiście teraz będę musiał pozbyć się tego egzemplarza, no nie?

O Boże, bała się pytać dlaczego, ale chyba znała odpowiedź. Zobaczyła samochód, z którego korzystał. Może ktoś inny też go widział. Ale zobaczyła też jego twarz, więc chyba plótł bzdury. A może nie?

Nagle poczuła, że nie ma siły więcej mówić. Żadne słowo nie padło z jej wyschniętych ust. Ten uważający się za miłego faceta potwór najpierw zgwałcił ją kilka razy, a teraz zamierzał zamordować. I co dalej? Zakopie ją tu, w tych pięknych lasach? Wrzuci jej ciało do jakiegoś rozkosznego jeziora?

W oczach Audrey zebrały się łzy, a w jej głowie szumiało, jakby miała tam krótkie spięcie. Nie chciała umierać. Nie teraz, nie tak. Kochała swoje dzieci, męża George'a, nawet firmę. Ułożenie sobie życia kosztowało ją masę czasu, masę poświęcenia i ciężkiej pracy. Że też ten przypadek, ten niewiarygodny pech musiał się wydarzyć.

Kierownik Artystyczny skręcił ostro na wąski ziemny trakt i przyspieszył niebezpiecznie. Dokąd jechali? Dlaczego tak szybko? Co było na końcu tej drogi?

Ale chyba nie mieli jechać do samego końca, bo zahamował.

–Boże, nie! – krzyknęła Audrey. – Nie! Proszę! Nie rób tego!

Zatrzymał samochód, ale nie wyłączył silnika.

–Proszę – błagała. – O, proszę... nie rób tego. Proszę, proszę, proszę. Nie musisz mnie zabijać.

Kierownik Artystyczny uśmiechnął się do niej.

–Uściskajmy się, Audrey. A potem wysiadaj z auta, nim zmienię zdanie. Jesteś wolna. Nie skrzywdzę cię. Widzisz... za bardzo cię kocham.

Rozdział 49

W sprawie Biała Dziewczyna nastąpił przełom. Znalaziono jedną z kobiet. Żywą. Błyskawicznie przeniesiono mnie do powiatu Bucks w Pensylwanii, na pokładzie jednego z dwóch helikopterów nifrki Bell, używanych w Quantico w nagłych sytuacjach. Kilku starszych agentów wyznało mi po cichu, że nigdy nie zakosztowali przyjemności latania heliami. To nie był środek transportu dla wszystkich. Tymczasem ja, uczestnik szkolenia początkowego, korzystałem z niego regularnie. Status dyrektorskiego pupilka miał swoje plusy.

Smukły czarny beli wylądował na niewielkim polu w Norristown w Pensylwanii. Podczas lotu myślałem o ostatnich zajęciach. Paliliśmy ucięte kawałki paznokci, by każdy poznał trupi odór. Ja już poznałem ten smród i nie śpieszyłem się poczuć go znowu. Nie spodziewałem się żadnych trupów w Pensylwanii. Na nieszczęście okazało się, że jestem w błędzie.

Na lądowisku czekali agenci z oddziału filadelfijskiego. Mieli mi towarzyszyć w drodze na komisariat, do którego przewieziono Audrey Meek. Do tej pory nie wydano oświadczenia dla prasy, natomiast zawiadomiono męża Meek. Był w drodze do Norristown.

–Nie bardzo się orientuję, gdzie teraz jesteśmy – powiedziałem podczas jazdy. – Jak daleko stąd do miejsca, w którym porwano panią Meek?

–Pięć mil – wyjaśnił jeden z agentów. – Samochodem około dziesięciu minut.

–Czy była więziona na tym terenie? – spytałem. – Czy już to wiemy? Co wiemy dokładnie?

–Zeznała policji stanowej, że porywacz przywiózł ją tu wczesnym rankiem. Nie orientuje się, skąd jechali, ale sądzi, że trwało to dobrą godzinę. Zegarek odebrano jej wcześniej.

Skinąłem głową.

–Czy miała zasłonięte oczy podczas jazdy? Zakładam, że tak.

–Nie. Dziwne, co? Widziała porywacza kilka razy. I jego samochód. Zachowywał się tak, jakby nie miało to dla niego znaczenia.

Takie postępowanie było bardzo zaskakujące. Nie trzymało się kupy i stwierdziłem to na głos.

–Idź z tym do wróżki – poradził mi agent. – Cała ta sprawa to wróżenie z fusów, no nie?

Miejscowa policja zajmowała dawne koszary, budynek z czerwonej cegły nieco cofnięty od drogi. Wokół panował spokój. Uznałem to za dobry znak. Przynajmniej udało mi się wyprzedzić prasę. Nie było jeszcze przecieku.

Poszedłem na spotkanie z Audrey Meek, pierwszą z porwanych kobiet, która ocalała. Bardzo chciałem się dowiedzieć, jak tego dokonała. Jej szansa przeżycia nie była większa niż jeden na milion.

Rozdział 50

Na widok Audrey Meek pomyślałem w pierwszym odruchu, że zmieniła się nie do poznania i zupełnie nie przypomina osoby pokazywanej w reklamowych wydawnictwach firmy. Poddana straszliwej życiowej próbie, wyszczupiała, zwłaszcza na twarzy. Jej ciemnoniebieskie oczy były wpadnięte. Ale policzki miała lekko zaróżowione.

–Jestem agentem FBI, nazywam się Alex Cross. Cieszę się, że widzę panią całą i zdrową – powiedziałem ściszym głosem. Nie chciałem poddawać jej przesłuchaniu, ale nie mogłem nie trzymać się procedury.

Audrey Meek skinęła głową i spojrzała mi w oczy. Ta kobieta wiedziała, że miała niezwykle szczęście.

–Ma pani rumieńce. Dzisiaj ich pani dostała? – spytałem. – Idąc przez las?

–Nie wiem, może, ale nie sądzę. Codziennie wyprowadzał mnie na spacer. Biorąc pod uwagę okoliczności, był raczej wyrozumiały. Często mi gotował. Całkiem nieźle. Powiedział, że kiedyś był kucharzem w dobrej restauracji w Richmond. Prowadziliśmy długie rozmowy, naprawdę długie rozmowy. Prawie każdego dnia. To wszystko było bardzo dziwne. Pewnego dnia w środku tego wszystkiego wyjechał z domu, zostawiając mnie zupełnie samą. Drętwiałam ze strachu, że nie wróci, że zostanę tam i umrę. Ale w głębi serca nie wierzyłam, że tak postąpi.

Nie przerywałem jej. Chciałem, by opowiedziała swoją historię bez ponagleń i niesterowana przeze mnie. Jej uwolnienie było czymś zdumiewającym. Sprawy tego rodzaju niezwykle rzadko przybierały szczęśliwy obrót.

–A Georges? I moje dzieci? – spytała. – Jeszcze ich nie ma? Pozwolicie mi się z nimi zobaczyć, jak przyjadą?

–Są w drodze – wyjaśniłem. – Przyprowadzimy ich, kiedy tylko się zjawią. Chciałbym zadać kilka pytań, póki pani ma wszystko świeżo w pamięci. Proszę o wyrozumiałość. W grę mogą wchodzić inne zaginione osoby, pani Meek. Naszym zdaniem to prawdopodobne.

–O Boże – szepnęła. – W takim razie spróbuję im pomóc. Jeśli tylko będę mogła. Niech pan pyta.

Była dzielną kobietą. Opowiedziała mi o porwaniu, podała opisy kobiety i mężczyzny, którzy go dokonali. Zgadzał się z rysopisami nieżyjącej pary Sławy Wasiliewa i Zoi Petrowej. Następnie Audrey Meek zapoznała mnie z rytuałem dni, podczas których była więziona przez człowieka, który nazywał siebie Kierownikiem Artystycznym.

–Powiedział, że lubi mnie obsługiwać, że sprawia mu to wielką przyjemność. Odniosłam wrażenie, że jest przyzwyczajony do podległości. Ale wyczuwałam, że równocześnie chce być moim przyjacielem. To był jakiś obłąd. Widział mnie w telewizji i czytał o mojej firmie. Powiedział, że podziwia mój styl i to, że nie mam przewrócone w głowie. Zmuszał mnie do współżycia seksualnego.

Trzymała się świetnie. Jej siła charakteru wprawiła mnie w zdumienie i zastanawiałem się, czy nie to właśnie podziwiał porywacz.

–Podać pani wodę? Może coś innego? – spytałem.

Pokręciła głową.

–Widziałam jego twarz – rzekła. – Nawet spróbowałam sporządzić jego portret dla policji. Myślę, że utrafiłam z podobieństwem. To on.

Każdy kolejny szczegół tej sprawy był dziwniejszy niż poprzedni. Czemu Kierownik Artystyczny pokazał się swojej ofierze, a potem ją uwolnił? Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym, żaden porywacz się tak nie zachowywał.

Audrey Meek westchnęła i kontynuowała, nerwowo wyłamując ręce:

–Przyznał, że cierpi na nerwicę natręctw. Przejawia się ona w jego sztuce, stylu, miłości wobec drugiej osoby, obsesyjnej czystości. Kilka razy wyznał, że mnie ubóstwia. Często wypowiadał się pogardliwie na swój temat. Czy wspominałam o jego domu? Nie wiem, czy mówiłam o tym panu, czy funkcjonariuszom, którzy mnie znaleźli.

–Nie mówiła pani jeszcze o domu.

–Był pokryty jakimś materiałem, czymś w rodzaju grubej plastikowej folii. Jakby to był happening w stylu Christo. W środku wisiało kilkanaście obrazów. Bardzo dobrych. Musicie znaleźć dom okryty folią.

–Znajdziemy go – zapewniłem ją. – Już go szukamy.

Drzwi pokoju, w którym rozmawialiśmy, zaskrzypiały. Do środka zajrzał policjant w kapeluszu ze sztywnym rondem. Otworzył szerzej drzwi. Do środka wpadł mąż Audrey Meek, Georges, i ich dwoje dzieci. To było niewiarygodnie rzadkie zakończenie porwania, tym radsze, że ofiara utraciła wolność ponad tydzień temu. Dzieci początkowo były wystraszone. Ojciec łagodnie popchnął je ku matce i radość przewyciężyła lęk. Uśmiech i łzy pojawiły się na ich twarzach i cała rodzina splotła się w uścisku, który wydawał się trwać wiecznie.

–Mamusi, mamusi, mamusi! – krzyczała dziewczynka, tuląc się do matki, jakby nigdy nie miała wypuścić jej z uścisku.

Oczy mi się zaszklily. Podeszedłem do stołu. Audrey Meek zrobiła dwa rysunki. Spoglądałem na twarz człowieka, który ją więził. Wyglądał bardzo zwyczajnie, jak ktoś z tłumu mijanego na ulicy.

Kierownik Artystyczny.

Dlaczego ją wypuściłeś?, zadawałem mu pytanie.

Rozdział 51

O północy nastąpił kolejny przełom. Policja dostała informację o okrytym plastikiem domu w Ottsville w Pensylwanii. Do Ottsville było jakieś trzydzieści mil. Pojechaliśmy tam kilkoma samochodami. Mieliśmy za sobą ciężki dzień i niełatwo było zebrać siły do jeszcze jednego zadania, ale nikt za bardzo nie narzekał.

Kiedy zjawiliśmy się na miejscu, przypomniał mi się poprzedni rozdział mojego życia – w Waszyngtonie też zwykle czekali na mnie. Tu, wzdłuż gęsto zarośniętej drzewami lokalnej drogi, od której odchodził szutrowy trakt, stały trzy sedany i kilka czarnych vanów. Trakt prowadził do domu. Ned Mahoney właśnie dotarł z Waszyngtonu i razem spotkaliśmy się z miejscowym szeryfem, Eddim Lyle'em.

–Nic się tam nie świeci – zauważył Mahoney, kiedy zbliżaliśmy się do domu. Była to zwykła drewniana chałupa po renowacji. Zespoły HRT czekały na rozkaz do ataku.

–Jest po pierwszej – powiedziałem. – Ale to nie znaczy, że facet na pewno się na nas nie czai. Zachowuje się tak, jakby nie zależało mu na życiu.

–Czyli jak? – spytał Mahoney. – Muszę to wiedzieć.

–Wypuścił ją. Chociaż widziała jego twarz, jego dom i samochód. Dobrze wiedział, że go znajdziemy.

–Moi ludzie znajdują się na swojej robocie – przerwał nam szeryf. Chyba był obrażony, że go ignorujemy, ale niewiele mnie to obchodziło. Kiedyś w Wirginii młody niedoświadczony gliniarz zginął na moich oczach, rozerwany ładunkiem wybuchowym. – Ja też – dodał.

Odwróciłem się od Mahoneya i wbiłem wzrok w Lyle'a.

–Ani kroku dalej. Nie wiem, co nas czeka w tym domu, ale wiemy jedno: on zdawał sobie sprawę, że znajdziemy jego kryjówkę i przyjedziemy po niego. Każ swoim ludziom czekać. HRT atakuje pierwszy! Wy nas ubezpieczacie. Coś ci się nie podoba?

Szeryf poczerwieniał i zadął buntowniczo podbródek.

–Jasne, nie podoba mi się jak cholera, ale to gównie znaczy, co?

–Masz rację, nic nie znaczy. Więc każ swoim ludziom czekać. Ty też poczekaj. Nie obchodzi mnie twoje dobre zdanie na swój temat.

Ruszyłem z Mahoneyem, który uśmiechał się szeroko, wcale nie próbując ukryć rozbawienia.

–Człowieku, ty to jesteś w gorącej wodzie kąpany – powiedział.

Kilku jego snajperów obserwowało dom z niecałych pięćdziesięciu jardów. Widziałem dwuspadowy dach i okienko mansardy. Z wewnątrz nie padał ani jeden promień światła.

–Tu HRT Jeden. Coś się tam dzieje, Klivert? – spytał przez krótkofalówkę Mahoney.

–Nie widać, żeby się coś działo, sir – odparł snajper. – Co robimy z podejrzanym? Mahoney spojrzał na mnie.

Uważnie zlustrowałem dom i całe otoczenie. Wszędzie panował wzorowy porządek, wszystko było w dobrym stanie. Przewody elektryczne biegły do dachu.

–On chciał, żebyśmy tu przyjechali, Ned. Coś mi tu śmierdzi.

–Spodziewasz się miny – pułapki? – spytał. – Rozważaliśmy to.

Skinąłem głową.

–Pamiętam. Jak zawalimy sprawę, miejscowi umrą z radości.

–Pieprzyć kmiotów – prychnął.

–Zgadzam się. Zwłaszcza że już nie jestem kmiotem.

–Zespoły Hotel, Charlie, tu HRT Jeden – powiedział Mahoney. – Tu dowódca.

Gotowi. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, atakujemy!

Dwa z siedmiu zespołów HRT poderwały się z linii żółtej, wyznaczającej kryjówkę najbliższą celu ataku. Biegając do domu, minęli linię zieloną. Teraz nie było odwrotu.

Zespoły HRT podczas tego rodzaju akcji kierują się zasadą: „szybkość, zaskoczenie, gwałtowność”. Są sprawniejsi niż wszelkie formacje policji stołecznej. W ciągu paru sekund zespoły Hotel i Charlie znalazły się w środku wiejskiego domu, w którym od tygodnia była więziona Audrey Meek. Następnie Mahoney i ja wdarliśmy się tylnymi drzwiami do kuchni. Był w niej piec, lodówka, szafka i stół.

Ani śladu Kierownika Artystycznego.

Ani śladu oporu.

Jeszcze nie.

Ostrożnie przeszliśmy w głąb domu. W pokoju dziennym był kominek, współczesna kanapa w beżowo – brązowe paski, kilka foteli klubowych, kufer okryty ciemnozielonym dywanem afgańskim. Wszystko zaprojektowano i urządzono ze smakiem.

Ani śladu Kierownika Artystycznego.

Wszędzie obrazy. Większość ukończona. Człowiek, który je namalował, był z pewnością utalentowany. Rozległ się okrzyk:

–Obiekt zabezpieczony! – I po chwili: – Tutaj!!!

Pobiegłem drugim korytarzem. Mahoney za mną. Dwaj jego ludzie byli już w środku pomieszczenia. Wyglądało na główną sypialnię. Kolejne obrazy, pięćdziesiąt lub więcej, wiszące, stojące.

Na podłodze nagie ciało. Twarz groteskowo wykrzywiona. Zmarły zacisnął kurczowo ręce na szyi, jakby sam się zadusił.

To był człowiek, którego narysowała Audrey Meek. Umarł straszną śmiercią, prawdopodobnie po zażyciu trucizny.

Na łóżku walały się luźne kartki papieru. Obok nich wieczne pióro.

Pochyliłem się i przeczytałem jeden z zapisków:

Do tego, kto...

Jak już wiecie, to ja więziłem Audrey Meek. Mogę powiedzieć tylko tyle, że musiałem tak postąpić. Jestem przekonany, że nie miałem wyboru; w tym wypadku nie było mowy o wolnej woli. Pokochałem ją od pierwszego spotkania na jednej z moich wystaw w Filadelfii. Rozmawialiśmy tamtego wieczoru, ale oczywiście ona mnie nie pamiętała. Nikt nigdy mnie nie zapamiętuje (przynajmniej do tej chwili). Co pobudzało moją obsesję? Nie mam najmniejszego pojęcia, chociaż wariowałem na punkcie Audrey przez siedem lat życia. Miałem w bród pieniędzy, ale nic dla mnie nie znaczyły. Aż do chwili, gdy otworzyła się możliwość zdobycia tego, czego

naprawdę pragnąłem, bez czego nie mogłem żyć. Jak mogłem się temu oprzeć, choćby cena była nie wiem jak zawrotna? Ćwierć miliona dolarów wydawało mi się niczym w porównaniu z tym, że mogłem być z Audrey chociaż przez kilka dni. Potem wydarzyło się coś dziwnego. Może cud. Kiedy spędziłem kilka dni z Audrey, zdałem sobie sprawę, że kocham ją zbyt mocno, by ją tu trzymać. Nigdy jej nie skrzywdziłem. Przynajmniej tak to widzę. Jeśli było inaczej, to przepraszam, Audrey. Kochałem Cię bardzo, bardzo mocno.

Kiedy skończyłem czytać, jedno zdanie wciąż krążyło mi w głowie: „Aż do chwili, gdy otworzyła się możliwość zdobycia tego, czego naprawdę pragnąłem, bez czego nie mogłem żyć”. Jak do tego doszło? Kto mógł spełnić fantazję tego szaleńca?

Kto za tym stał? Na pewno nie Kierownik Artystyczny.

CZĘŚĆ TRZECIA WILCZE TROPY

Rozdział 52

Do Waszyngtonu wróciłem dopiero o dziesiątej w nocy i wiedziałem, że mam przechlapane u Jannie. I pewnie u wszystkich poza małym Alexem i kotką. Obiecałem, że pójdziemy na basen, a zrobiło się tak późno, że można było jedynie iść do łóżka.

Kiedy wszedłem, Nana siedziała nad filiżanką herbaty w kuchni. Nawet na mnie nie spojrzała. Uciekłem na górę przed kazaniem. Miałem nadzieję, że Jannie może jeszcze nie śpi.

Nie spała. Moja ukochana córeczka siedziała na łóżku z kilkoma czasopismami, w tym „American Girl”. Na kolanach miała swojego starego ulubieńca, misia Theo. Zaczęła usypiać z Theo, kiedy nie miała jeszcze roku i kiedy jej matka jeszcze żyła.

W kącie pokoju Ruda zwinęła się na stosie brudnej odzieży Jannie. Nana ustaliła, że starsze dzieci mają same prać swoje rzeczy.

Pomyślałem o Marie. Moja żona była dobrą, odważną, wyjątkową kobietą. Została zastrzelona w tajemniczych okolicznościach przez nieznanego sprawcę na południowym wschodzie Stanów. Nie udało mi się rozwiązać tej sprawy. Nigdy jej nie zamknąłem. Zawsze coś mogło wyjść na światło dzienne. Tak bywało. Tęskniłem za Marie niemal każdego dnia. Czasem nawet rozmawiałem z nią w myślach: „Mam nadzieję, że mi wybaczasz, Marie. Staram się, jak mogę. Tyle że czasem to wydaje się za mało; przynajmniej mnie się tak wydaje. Kochamy cię bardzo”.

Jannie zapewne wyczuła, że stoję w drzwiach i przyglądam się jej, rozmawiając z jej matką.

–Wiedziałaś, że to ty – powiedziała.

–Skąd? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

–Po prostu wiedziałam. Ostatnio mój szósty zmysł działa fantastycznie.

–Czekałaś na mnie? – spytałem, wślizgując się do pokoju. Dawniej była to gościnna sypialnia, ale zeszłego roku została zamieniona na pokój Jannie. Zbiłem jej półkę na glinianą menażerię z „epoki licealnej”: stegozaura, wieloryba, czarną wiewiórkę, żebraka i wiedźmę przywiązaną do pala. Stały tam też ulubione książki Jannie.

–Nie, nie czekałam. W ogóle nie spodziewałam się ciebie w domu.

Usiadłem na brzegu łóżka. Nad nim wisiała oprawiona reprodukcja Magritte’a. Obrazek przedstawiający fajkę z napisem: To nie fajka.

–Będziesz mnie torturować, co? – spytałem.

–Oczywiście. To jasne. Przez cały dzień cieszyłam się na ten basen.

–Zasłużyłem. – Przykryłem jej ręce swoją dłonią. – Przykro mi. Naprawdę mi przykro, Jannie.

–Wiem. Nie musisz tego mówić. I nie musi ci być przykro. Rozumiem, że miałeś coś ważnego do zrobienia. Całkowicie rozumiem. Nawet Damon to rozumie.

Ścisnąłem dłoń mojej córki. Była tak podobna do Marie.

-Dziękuję ci, kochanie. Potrzebowałem tego.

-Wiem – szepnęła. – To widać.

Rozdział 53

Tego wieczoru Wilk był w Waszyngtonie w interesach. Zjadł późny obiad w Ruth's Chris Steak House przy Connecticut Avenue koło Dupont Circle.

Towarzyszył mu Franco Grimaldi, mocno zbudowany trzydziestoosmioletni włoski capo z Nowego Jorku. Rozmawiali o obiecującym zamierzeniu: o utworzeniu nad Tahoe mekki hazardzistów, która rywalizowałaby z Vegas i Atlantic City; rozmawiali również o lidze hokejowej, ostatnim filmie Van Disela i planowanej robocie Wilka, który spodziewał się zarobić miliard dolarów na jednym skoku. Potem Wilk oświadczył, że musi iść. Czekало go jeszcze jedno spotkanie. Nie żadne przyjemności, spotkanie w interesach.

–Z prezydentem? – spytał Grimaldi.

Rosjanin roześmiał się głośno.

–Nie. Jemu nic nie wychodzi. To zupełny stronzate. Czemu miałbym do niego iść? To on powinien przyjść do mnie w sprawie Osamy bin Ladena i terrorystów. Zrobiłbym porządek.

–Poczekaj – powiedział Grimaldi, zanim Wilk odszedł. – Czy to ty załatwiłeś Palumbo w tym więzieniu o zaostrzonym rygorze w Kolorado? To twoja robota?

Wilk pokręcił przecząco głową.

–Bzdura. Jestem człowiekiem interesu, nie szumowiną, nie jakimś rzeźnikiem. Nie wierz wszystkiemu, co o mnie usłyszysz.

Szef mafii przyglądał się nieobliczalnemu Rosjaninowi wychodzącemu z restauracji i był prawie pewien, że ten człowiek zabił Palumbo, jak również tego, że prezydent powinien skontaktować się z Wilkiem w sprawie al – Kaidy.

Około północy Wilk wysiadł z czarnego dodge'a vipera przy Potomac Park. Dostrzegł zarys SUV – a na tle Ohio Drive. Zamigotało światło przy lusterku wstecznym i z samochodu wysiadł jeden człowiek.

–Chodź, chodź, gołąbku – szepnął Wilk.

Mężczyzna, który szedł przez Potomac Park, był funkcjonariuszem FBI. Pracował w budynku imienia Hoovera, ale jego prawdziwym szefem był Wilk. Poruszał się sztywno i podrygiwał, jak wielu funkcjonariuszy państwowych przykutych do biurka. Nie miał kocich ruchów pewnych siebie agentów operacyjnych. Wilka ostrzeżono, że nie ma co liczyć na przekupienie agenta wysokiej rangi, a jeśli nawet mu się to uda, nie może ufać pozyskanym informacjom. Ale nie uwierzył tym ostrzeżeniom. Pieniądze zawsze potrafiły rozwiązywać języki, nawet najbardziej opornym, zwłaszcza jeśli byli pomijani przy podwyżkach i awansach; to była żelazna reguła, zarówno w Ameryce, jak w Rosji. Tu nawet bardziej niż tam, bo cynizm i gorzkie poczucie zawodu coraz głębiej przenikały życie Amerykanów.

–No i jak? Czy ktoś gada o mnie na czwartym piętrze Hoovera? – spytał.

–Nie chcę się tak spotykać. Następnym razem daj ogłoszenie w „Washington Times”.

Wilk uśmiechnął się, ale nagle wbił palce w szczękę agenta.

–Zadałem ci pytanie. Czy ktoś o mnie wspomniał?

Agent pokręcił głową.

–Jeszcze nie, lecz to tylko sprawa czasu. Skojarzyli zamordowanie tamtej pary na Long Island z Atlantą i King of Prussia Mali.

Wilk skinął głową.

–Było oczywiste, że to zrobią. Ci ludzie to nie durnie. Tylko nie potrafią ogarnąć całego obrazu sprawy.

–Nie lekceważ ich – ostrzegł go agent. – Biuro się zmienia. Dobiorą się do ciebie wszelkimi możliwymi sposobami.

–Wszelkie możliwe sposoby to za mało – stwierdził Wilk. – A poza tym może to ja się do nich dobiorę... wszelkimi sposobami. Chuchnę, dmuchnę i zmiotę ich domki z powierzchni ziemi.

Rozdział 54

Następnego wieczoru wróciłem do domu przed szóstą. Zjadłem kolację z Naną i dziećmi, które były zaskoczone, ale wyraźnie uradowane, że zjawilem się tak wcześnie.

Pod koniec posiłku zadzwonił telefon. Nie chciałem rozmawiać. Może znowu ktoś został porwany, nie chciałem się jednak tym zajmować. Nie tego wieczoru.

–Ja odbiorę – powiedział Damon. – To pewnie do mnie. Pewnie moja dziewczyna.
– Złapał słuchawkę, wiszącą na ścianie w kuchni, i przerzucił ją z ręki do ręki.

–Już lepiej, żeby to była dziewczyna – zakpiła z brata Jannie. – Ale w czasie kolacji? To pewnie agent ubezpieczeniowy albo bankowy. Oni zawsze odrywają ludzi od jedzenia.

Damon przywołał mnie. Nie uśmiechał się. W ogóle nie wyglądał za dobrze, jakby nagle dostał mdłości.

–Tato – powiedział cicho. – Do ciebie.

Wstałem od stołu i wziąłem słuchawkę.

–Nic ci nie jest? – spytałem.

–To pani Johnson – szepnął Damon. Przez chwilę nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. Teraz to mnie zrobiło się mdło i poczułem zamęt w głowie.

–Halo? Tu Alex.

–Tu Christine, Alex. Przyjechałam do Waszyngtonu.

Na kilka dni. Skoro już tu jestem, chciałabym zobaczyć się z małym Alexem – powiedziała. Zabrzmiało to jak przygotowana mówka.

Oblał mnie rumieniec. Czemu dzwonicz? Czemu teraz? – chciałem ją zapytać, ale ugryzłem się w język.

–Chcesz wpaść do nas dzisiaj? Jest trochę późno, ale możemy go zająć, żeby nie zasnął. Zawahała się.

–Prawdę mówiąc, myślałam o jutrze. Może wpół do dziewiątej, za kwadrans dziewiąta? Może być?

–Świetnie, Christine. Będę w domu – odparłem.

–Och... – powiedziała i przez chwilę szukała słów. – Nie musisz zostawać w domu ze względu na mnie. Słyszałam, że pracujesz w FBI.

Poczułem ucisk w brzuchu. Christine Johnson i ja zerwaliśmy ze sobą ponad rok temu, głównie z powodu mojej pracy w wydziale zabójstw. Christine została porwana przez ludzi, którzy byli na bakier z prawem. Znaleźliśmy ją na Jamajce, w szopie na bezludziu. Tam urodził się Alex. Wcześniej nie wiedziałem, że Christine jest w ciąży. Od tamtego czasu przestało się między nami układać. Uważałem, że to moja wina. Potem ona przeprowadziła się do Seattle. Sama uznała, że Alex powinien zostać przy mnie. Przechodziła kurację psychiatryczną i emocjonalnie nie nadawała się do roli matki. Teraz była w Waszyngtonie. „Na kilka dni”.

–Co cię tu sprowadza? – spytałem wreszcie.

–Chciałam zobaczyć naszego syna – odparła. Ton jej głosu wyraźnie złagodniał. – I spotkać się z przyjaciółmi.

Kiedyś bardzo ją kochałem i pewnie to uczucie jeszcze się tliło, ale pogodziłem się

z tym, że nie będziemy razem. Christine nie mogła znieść tego, że jestem gliną, a ja chyba nie potrafiłem zrezygnować ze swojej pracy.

–Więc dobrze, będę u ciebie jutro około wpół do dziewiątej – powtórzyła.

–Będę czekał.

Rozdział 55

Wpół do dziewiątej co do minuty.

Przed nasz dom przy 5 Ulicy zajechał lśniący srebrzysty taurus z wypożyczalni.

Wysiadła z niego Christine Johnson i pomyślałem, że z włosami ściągniętymi w kok sprawia wrażenie nieco surowej kobiety, ale musiałem przyznać, że jest piękna. Wysoka, szczupła, o wyrazistych jak u posągu rysach, których nie mogłem zapomnieć, chociaż się starałem. Na jej widok serce stanęło mi w piersiach, mimo wszystkiego, co się między nami wydarzyło.

Czułem napięcie, ale równocześnie znużenie. O co jej chodziło? Zastanawiałem się, ile energii straciłem w ciągu ostatniego półtora roku. Zaprzyjaźniony lekarz ze Szpitala imienia Johnsa Hopkinsa miał zabawną teorię, że nasze życie jest zapisane na dłoniach. Przysięgał, że potrafi odczytać historię chorób, dawnych i przyszłych, z linii dłoni. Kilka tygodni temu złożyłem mu wizytę i Bernie Stringer stwierdził, że jestem w doskonałym zdrowiu, jeśli chodzi o stan fizyczny, ale w ciągu ostatniego roku przeszedłem psychiczne katusze. Tak zapłaciłem za Christine, za nasz związek i zerwanie.

Stałem za siatkowymi drzwiami, z Alexem w ramionach. Kiedy Christine znalazła się blisko domu, wyszedłem jej na spotkanie. Była w szpilkach i granatowej sukience.

–Powiedz „cześć” – zachęciłem Alexa i pomachałem rączką mojego synka w kierunku jego matki.

Spotkanie z Christine było czymś bardzo dziwnym i czułem się kompletnie wytrącony z równowagi. Łączyła nas niezwykle skomplikowana przeszłość. Mąż Christine został zabity w domu w trakcie śledztwa, które prowadziłem. Związek ze mną mało nie kosztował Christine życia. Teraz na co dzień dzieliło nas tysiące mil. Po co przyjechała znów do Waszyngtonu? Oczywiście na spotkanie z małym Alexem. Ale czy miała jeszcze inny cel?

–Witaj, Alex – powiedziała, uśmiechając się. Na moment zawirowało mi w głowie i miałem wrażenie, że nic się nie zmieniło między nami. Pamiętałem, jak zobaczyłem ją po raz pierwszy, kiedy jeszcze była dyrektorką szkoły imienia Sojourner Truth. Wtedy zaparło mi dech. Na nieszczęście wciąż tak reagowałem na jej obecność.

Christine uklękła u stóp schodów i rozłożyła szeroko ramiona.

–Cześć, przystojniaku – powiedziała do małego Alexa.

Postawiłem go na nogach, by mógł sam zdecydować, co zrobić. Popatrzył na mnie i roześmiał się. Potem wybrał zapraszający uśmiech Christine, wybrał jej ciepło i urok – i pobiegł prosto w jej ramiona.

–Witaj, maleńki – szepnęła. – Strasznie za tobą tęskniłam. Ale urosłeś.

Nie przywiozła ze sobą prezentów, żadnej łapówki. Zachowała się w porządku. Po prostu się zjawiała, nie stosując żadnych sztuczek ani nieczystych chwytów, ale to wystarczyło. Alex po sekundzie śmiał się i paplał jak najęty. Dobrze razem wyglądali, matka i syn.

–Będę w środku – powiedziałem, poprzyglądawszy się im chwilę. – Wejdz, jeśli chcesz. Jest świeża kawa. Nana zrobiła. Śniadanie, jeśli nie jadłaś.

Christine spojrzała na mnie i znów się uśmiechnęła. Wyglądała na bardzo

szczęśliwą, kiedy tak ścisnęła naszego synka.

–Na razie niczego nam nie trzeba – odparła. – Dziękuję. Przyjdę na kawę.

Oczywiście.

Oczywiście. Christine zawsze i wszędzie zachowywała pewność siebie. Pod tym względem na pewno się nie zmieniła.

Wszedłem do środka, niemal wpadając na Nanę, która przyglądała się wszystkiemu zza siatki.

–Och, Alex – szepnęła. Nie musiała nic więcej mówić.

Poczułem nóż, wbijający się w moje serce. Bolesny cios, ale tylko jeden z wielu ciosów. Zamknąłem drzwi, zostawiając ich samych.

Christine weszła po chwili z dzieckiem i usiedliśmy w kuchni, przy kawie, przyglądając się Alexowi, pijącemu sok jabłkowy z butelki. Opowiedziała trochę o swoim życiu w Seattle; przeważnie o szkole, nic osobistego ani wykraczającego poza banalną wymianę zdań. Wiedziałem, że jest spięta i zdenerwowana, ale nie okazała tego nawet przez moment.

Okazała jednak ciepło, od którego tajało serce. Wciąż spoglądała na małego Alexa.

–Jaki on słodki – powiedziała. – Jaki z niego słodki, kochany chłopczyk. Och, Alex, mój malutki Alex, tęskniłam za tobą. Nie masz pojęcia jak bardzo.

Rozdział 56

Christine Johnson znów w Waszyngtonie.

Czemu wróciła? Czego od nas chciała?

Te pytania dudniły mi w głowie i wprawiały w łomot serce. Przyprawiały mnie o lęk, zanim uświadomiłem sobie jasno, czego się lękam. Oczywiście przypuszczałem, że Christine zmieniła zdanie na temat małego Alexa. To musiało być to, nic innego. Jaki inny powód mógł ją tu ściągnąć? Z pewnością nie chęć spotkania się ze mną. A może?

Byłem wciąż na autostradzie, ale miałem jeszcze kilka minut do Quantico?, kiedy Monnie Donnelley zadzwoniła na komórkę. Słuchałem Milesa Davisa przez radio. Próbowałem się uspokoić przed pracą.

–Znów się spóźniasz – powiedziała i chociaż wiedziałem, że żartuje, zirytowałem się.

–Dobra, dobra. Wczoraj wieczorem imprezowałem. Wiesz, jak to jest.

Monnie od razu przystąpiła do rzeczy.

–Alex, słyszałeś, że oni wczoraj wieczorem zgarnęli jeszcze paru podejrzanych?

Znów „oni”. Byłem tak zaskoczony, że przez chwilę nie mogłem wykrztusić słowa. Nic mi nie powiedziano!

–Chyba nie słyszałeś – odpowiedziała sama na swoje pytanie. – W Beaver Falls w Pensylwanii. To nie tam urodził się Joe Namath? Dwóch podejrzanych, wiek lat czterdzieści, właściciele księgarni dla dorosłych. Ta księgarnia nazywa się jak miasteczko. Media zwęszyły sprawę kilka minut temu.

–Czy znaleziono którąś z zaginionych kobiet? – spytałem.

–Nie wydaje mi się. Telewizja milczy na ten temat. U nas nikt nic nie wie.

Nie mogłem się w tym połapać.

–Wiesz, od jak dawna byli obserwowani? Nieważne, Monnie, właśnie zjeżdżam z autostrady. Za kilka minut wpadnę do ciebie.

–Wybacz, że tak wcześnie zepsułam ci dzień – powiedziała.

–Już przedtem został zepsuty – zamruczałem.

Pracowaliśmy przez cały dzień, ale o siódmej wieczorem obraz aresztowania w Pensylwanii nadal był bardzo niejasny. Dowiedziałem się tylko kilku przeważnie nieistotnych szczegółów. To dopiero było frustrujące. Dwaj zatrzymani figurowali w kartotekach policyjnych za sprzedaż pornografii. Agenci oddziału filadelfijskiego dostali wiadomość, że faceci mają na sumieniu porwanie. Nie było jasne, kto z ludzi wydających rozkazy w FBI wiedział o podejrzanych. Wyglądało na to, że łączność pomiędzy różnymi szczeblami dowodzenia FBI nie jest najlepsza. Lata wcześniej słyszałem o tego rodzaju wpadkach, zanim się pojawiłem w Quantico.

Tego dnia kilkakrotnie rozmawiałem z Monnie, ale mój kumpel, Ned Mahoney, nie pisał słówka na temat aresztowania. Także gabinet Burnsa nie próbował się ze mną skontaktować. Byłem wstrząśnięty. Na dodatek na parkingu w Quantico pojawili się reporterzy. Z mojego okna widziałem van „USA Today” i ciężarówkę CNN. To był bardzo dziwny dzień. Bardzo niepokojący.

Późnym popołudniem przyłapałem się na tym, że myślę o wizycie Christine

Johnson. W głowie wciąż miałem jej obraz, ściskającej dziecko i bawiącej się z nim. Rozważałem, czy to możliwe, że przyjechała tylko po to, by zobaczyć Alexa i odwiedzić starych znajomych. Serce krajało mi się na myśl o tym, że stracę „wielkoluda”, jak go zawsze nazywałem. Mój wielkolud! Ile radości przyniósł mnie, dzieciom i Nanie. To byłaby niepowetowana strata. Po prostu nie mogłem sobie tego wyobrazić. Ale również nie potrafiłem wyobrazić sobie tego, że na miejscu Christine nie próbowałbym go odzyskać. Te rozważania przypomniały mi o złożonej obietnicy.

Sędzia Brendan Connolly podniósł słuchawkę po kilku dzwonekach.

–Tu Alex Cross – powiedziałem. – Na razie nie mamy nic nowego. Chodzi o te dzisiejsze wiadomości, które pewnie pan już zna.

Sędzia Connolly zapytał mnie, czy znaleziono jego żonę, czy nie ma żadnych wieści o niej.

–Jeszcze jej nie odnaleziono. Ale nie sądzę, by ci dwaj ludzie byli zamieszani w porwanie pańskiej żony. Nadal mamy gorącą nadzieję, że ją znajdziemy.

Zaczął coś mruzczyć niezrozumiale. Słuchałem go przez chwilę, próbując dojść, o co mu chodzi, i powiedziałem, że nadal będę go informował. Jeśli sam będę informowany.

Po tej trudnej rozmowie siedziałem chwilę bez ruchu przy biurku. Nagle coś do mnie dotarło: moja grupa miała dzisiaj promocję! Zostaliśmy oficjalnie mianowani agentami. Moi koledzy dostali uprawnienia i przydzielono im zadania. W tej chwili w sali galowej serwowano ciastka i poncz. Nie poszedłem na przyjęcie. Wydało mi się to niestosowne. Zamiast iść na jubel, pojechałem do domu.

Rozdział 57

Ile czasu jej zostało?

Dni? Godzin?

To chyba nie miało znaczenia, prawda? Lizzie Connolly uczyła się akceptować wszystko, co przyniosło życie; uczyła się, kim naprawdę jest i jak należy zachować równowagę umysłu.

Oczywiście poza tymi chwilami, w których była przerażona do utraty zmysłów.

Pływała w marzeniach. Od czwartego roku życia była zapaloną pływaczką.

Powtarzalna praca rąk i nóg bez żadnego udziału woli zawsze przenosiła ją w inny czas, inne miejsce, pozwalała jej uciec. Tak więc teraz pływała w marzeniach, tkwiąc w pomieszczeniu, w którym ją więziono, garderobie czy pokoju.

Pływała.

Uciekała.

Wyrzuć daleko przed siebie lekko stulone dłonie, ręce ugięte nieznacznie w łokciach, pociągnij w dół, zagarniając wodę. Ręce w dół, do pępka i dalej. Ciągnij!, ciągnij!, kopnięcie nogami, drugie, czujesz w sobie żar, ale woda chłodzi, odświeża, pobudza. Dodaje pewności siebie, dodaje sił.

Myślała o ucieczce przez większą część dnia, jeśli to był dzień. Teraz przeszła do rozważań na inny temat.

Jeszcze raz zastanowiła się, co wie o tym miejscu: o garderobie i o tej bestii, tym przerażającym człowieku, który ją więził. O Wilku. Tak drań mówił na siebie.

Dlaczego „Wilk”?

Więził ją w jakimś mieście. Była niemal pewna, że jest to miasto na południu Stanów, wielkie, bogate. Może na Florydzie? Ale nie wiedziała, dlaczego tak uważa. Może coś usłyszała i zarejestrowała podświadomie. Od czasu do czasu dochodziły do niej odgłosy wydawanych w tym domu przyjęć albo skromniejszych spotkań towarzyskich. Ale ten robak, jej porywacz, na pewno mieszkał sam. Kto wytrzymałby z takim potworem? Żadna kobieta.

Znała na pamięć niektóre jego żalosne zwyczaje. Kiedy wracał do domu, zwykle włączał telewizję: czasem ESPN, ale częściej CNN. Nieustannie oglądał wiadomości. Lubił też programy policyjne, takie jak Law and Order, CSI, Homicide. Telewizor chodził zawsze do późna w noc.

Był duży, silny i miał sadystyczne skłonności, ale dbał przy tym, by nie wyrządzić jej poważnej krzywdy, w każdym razie jak do tej pory. Co znaczyło – czy na pewno? – że zamierza więzić ją dłużej.

Jeśli Lizzie wytrzyma tu jeszcze kolejną minutę. Jeśli się nie załamie i nie rozzłości go tak, że skręci jej kark, czym groził jej kilka razy dziennie. „Skręcę ci kark. Ot, tak! Nie wierzysz mi? Powinnaś, Elizabeth”. Zawsze nazywał ją Elizabeth, nie Lizzie. Powiedział, że Lizzie to za mało piękne imię jak na nią. „Kurwa, skręcę ci kark, Elizabeth!”.

Wiedział, kim ona jest, i znał różne szczegóły z jej życia, a także z życia Brendana, Brigid, Merry, Gwynnie. Zapowiedział jej, że jeśli go rozzłości, to skrzywdzi nie tylko ją, ale robi to samo jej rodzinie. „Pojadę do Atlanty. Dla przyjemności, dla samej

zabawy. To sprawi mi największą frajdę w życiu. Mogę wymordować całą twoją rodzinę, Elizabeth”.

Coraz bardziej jej pożądał. Umiała to wyczuć u mężczyzn. Więc jednak miała nad nim pewną władzę, no nie?

I co ty na to, koleś?, pytała go w myślach. Też cię pierdolę!

Czasem rozluźniał trochę więzy i nawet pozwalał jej pochodzić po domu. Oczywiście związanej, prowadzonej na łańcuchowej smyczy, której koniec zawsze trzymał w ręce. To było potwornie poniżające. Powiedział jej, że wie, co ona o nim myśli. Że będzie delikatniejszy i łagodniejszy, ale żeby żadne głupie myśli nie przychodziły jej do głowy.

Ale cóż innego, do diabła, jej pozostawało? Mogła tylko roztrząsać różne pomysły. Nie miała niczego innego do roboty, siedząc sama przez cały dzień, zamknięta w ciemności. Więc...

Drzwi garderoby otworzyły się gwałtownie. Huknęły o ścianę.

Wilk wrzasnął prosto w twarz Lizzie:

–Myślałaś o mnie, no nie?! Zaczynasz popadać w obsesję, Elizabeth. Myślisz o mnie na okrągło!

Niech to diabli, masz rację, dodała w myślach.

–Nawet cieszysz się, że masz towarzystwo. Tęskniłaś za mną, prawda?

Co do tego się mylisz, kompletnie się mylisz, odpowiedziała mu w duchu.

Nienawidziła Wilka do tego stopnia, że wyobrażała sobie niewyobrażalne: że go zabije. Może ten dzień kiedyś nastąpi.

Niech to sobie wyobrażę, pomyślała. Boże, jeśli mi na czymś zależy, to na tym, żeby zabić go własnymi rękami. To byłaby najdoskonalsza ucieczka. Nigdy by mnie nie złapał.

Rozdział 58

Tej samej nocy Wilk miał spotkanie z dwoma hokeistami w hotelu Caesar w Atlantic City w New Jersey. Apartament, w którym się zatrzymał, był cały wyłożony złotą tapetą i miał okna wychodzące na Atlantyki. Z szacunku dla swoich gości, gwiazd sportu, włożył drogi ciemny garnitur od Prady.

Rolę łącznika pełnił bogaty właściciel sieci kablowej. Zjawił się w apartamencie „Neron”, prowadząc dwóch hokeistów: Aleksieja Dobuszkiną i Ilię Teptewa. Obaj grali w Philadelphia Flyers. Byli najwyższej klasy obrońcami i mieli opinię twardzieli, ponieważ byli ogromnymi szybkimi facetami, którzy potrafili narobić wiele szkód przeciwnikowi. Wilk niezbyt wierzył w tę ich twardość, ale był wielkim fanem samej gry.

–Uwielbiam amerykański hokej – powiedział, witając ich szerokim uśmiechem i wyciągniętą ręką.

Aleksiej i Ilija skinęli mu głową, ale żadna z gwiazd nie była łaskawa podać mu ręki. Wilk poczuł się obrażony, nie okazał tego jednak. Uśmiechał się nadal i uznał, że gwiazdy są zbyt głupie, by zrozumieć, z kim mają do czynienia. Zbyt wiele razy dostali hokejowymi kijami w łeb.

–Ktoś ma chęć na drinka? – zapytał swoich gości. – Stolicznaja? Na co macie ochotę?

–Ja pasuję – powiedział właściciel kablówki, niewiarygodnie nadęty facet, ale Wilk przywykł do tego, że Amerykanie z reguły mieli wygórowane mniemanie na swój temat.

–Niet – odparł pogardliwie Ilija, jakby gospodarz był barmanem lub kelnerem. Ilija pochodził z Woskriesienska i liczył sobie dwadzieścia dwa lata. Miał sześć stóp pięć cali wzrostu, krótko obcięte włosy, kilkudniowy zarost i wielką jak głaz głowę na niezwykle grubej szyi.

–Nie piję stolii – oświadczył Aleksiej, który jak Ilija nosił czarną skórzaną marynarkę na ciemnym golfie. – Masz może absoluta? Albo bombay gin?

–Oczywiście. – Wilk skinął kordialnie głową i podszedł do barku. Nalewając drinki, rozważał następne posunięcie. Sytuacja zaczęła go bawić. To było coś innego. Nikt z przybyłych się go nie bał.

Opadł na miękką kanapę, między Ilię i Aleksieja. Spojrzał na jednego i na drugiego, znów uśmiechając się szeroko.

–Długo nie byliście w Rosji, co? Może zbyt długo. Pijecie bombay gin? Zapomnieliście o dobrych manierach?

–Słyszeliśmy, że jesteś prawdziwym twardzielem – powiedział Aleksiej, który miał około trzydziestu lat i najwyraźniej pakował na siłowni, często i dużo. Miał sześć stóp wzrostu i ważył dwieście dwadzieścia funtów.

–Gdzie tam. To pozory – wyjaśnił Wilk. – Teraz jestem po prostu amerykańskim biznesmenem. Zwykłym facetem. Żaden ze mnie twardziel. No więc, czy dobijemy targu w związku z tym meczem z Montrealem?

Aleksiej spojrzał na operatora kablówki.

–Powiedz mu – polecił.

–Aleksiej i Ilia myślą o trochę poważniejszym ruchu, niż pierwotnie rozważaliśmy – wyjaśnił tamten. – Rozumiesz, co mówię? Poważny ruch, kapujesz?

–Aaa – powiedział Wilk i uśmiechnął się szeroko. – Uwielbiam poważne ruchy – rzekł, spoglądając na Amerykanina. – I kocham szalit. U mnie w kraju to oznacza rozróbę. Szalit.

Zerwał się na nogi szybciej, niż ktokolwiek mógł to sobie wyobrazić. Wyszarpnął spod poduszek kanapy krótką ołowianą rurkę i przyłożył nią w policzek Dobuszkiniowi. Następnie tą samą rurką złamał nos Teptewowi. Dwie gwiazdy hokeja spłynęły krwią jak szlachtowane świnie.

Dopiero wtedy Wilk wyciągnął pistolet. Wycelował go między oczy właściciela kablówki.

–Wiesz, nie są tacy twardzi, jak myślałem. Ja rozpoznaję to w kilka sekund. A teraz przejdźmy do interesów. Jeden z tych wielkich misiów pozwoli Montrealowi strzelić w pierwszej tercji. Drugi pójdzie na ławkę kar w drugiej. Zrozumiano? Flyersi przegrają mecz, w którym są faworytami. Zrozumiano? Jeśli z jakiegoś powodu będzie inaczej, wszyscy umrą. A teraz wynocha. Nie mogę się doczekać tego meczu. Jak już mówiłem, uwielbiam amerykański hokej.

Zaczął się śmiać, kiedy wielkie gwiazdy hokeja wychodziły na miękkich nogach z apartamentu „Neron”.

–Miło było cię poznać, Aleksiej – powiedział, kiedy drzwi się zamknęły. – Złam kark.

Rozdział 59

Zwołano wielkie spotkanie grupy specjalnej. Miało się odbyć w apartamentach SIOC, sanktuarium Biura, na czwartym piętrze Hoovera. SIOC oznacza Ośrodek Informacji Operacji Strategicznych i w jego pomieszczeniach przeprowadzano najważniejsze narady wojenne, od Waco po 11 września.

Zostałem zaproszony i zastanawiałem się, komu powinienem być za to wdzięczny. Przybyłem o dziewiątej i do środka wprowadził mnie agent – ochroniarz.

Przekonałem się, że apartamenty SIOC składają się z czterech pokoi, z których trzy były wypełnione stanowiskami komputerowymi, ostatnim krzykiem mody w dziedzinie informatyki. Służyły zapewne analitykom i pracownikom wyszukującym dane i materiały źródłowe. Wprowadzono mnie do dużej sali konferencyjnej. W środku stał długi stół z metalu i szkła. Na ścianach wisiały zegary wskazujące różne strefy czasowe, kilka map i ekranów telewizyjnych. Było już kilkunastu agentów, ale panowała cisza.

W końcu pojawiła się Stacy Pollack, szefowa SIOC, i zamknięto drzwi. Pollack przedstawiła obecnych agentów oraz dwóch wysłanników CIA. W Biurze cieszyła się opinią zdroworozsądkowej administratorki, która nie cierpiała głupców i miała wyniki w pracy. Liczyła sobie trzydzieści jeden lat i była pupilką Burnsa.

Ekran przekazywały ostatni hit medialny, relację na żywo głównych sieci telewizyjnych. Podpisy pod zdjęciami informowały: Beaver Falls, Pensylwania.

–To stare dzieje. Mamy nowy pasztet – oświadczyła Pollack. – Nie jesteśmy tu z powodu pomyłki w Beaver Falls. To sprawa wewnętrzna, więc tym gorsza. Chłopcy, chyba znamy nazwisko osoby odpowiedzialnej za przeciek z Quantico. – W tym momencie spojrzała mi prosto w oczy. – Reporter z „Washington Post” zaprzecza, ale czemu miałby mówić prawdę? Autorem przecieku jest analityk kryminalny, Monnie Donnelley. Pan z nią pracuje, doktorze Cross?

Nagle sala konferencyjna zrobiła się bardzo mała i duszna. Wszyscy odwrócili się ku mnie.

–Czy dlatego tu jestem? – spytałem.

–Nie – odparła Pollack. – Jest pan tu, ponieważ ma pan doświadczenie w sprawach przestępstw na tle seksualnym. Ale nie o to pytałam.

Po chwili zastanowienia odpowiedziałem:

–To nie jest sprawa na tle obsesji seksualnej. A Monnie Donnelley nie jest źródłem przecieku.

–Chciałabym, by wyjaśnił pan oba te stwierdzenia – zażądała natychmiast Pollack.

– Proszę, śmiało. Słucham z wielką ciekawością.

–Zrobię, co w mojej mocy – odparłem. – Porywacze, grupa lub większa organizacja, robią to dla pieniędzy. Nie widzę innego wytłumaczenia ich działań. Rosyjskie małżeństwo zamordowane na Long Island to klucz do sprawy. Nie uważam, żeby należało się skupiać na sprawdzaniu byłych przestępców seksualnych. Pytanie powinno brzmieć: kto ma środki i doświadczenie, by porywać mężczyzn i kobiety dla pieniędzy, prawdopodobnie bardzo dużych pieniędzy? Kto ma wprawę w tej dziedzinie? Monnie Donnelley zna się na sprawach tego rodzaju i jest

doskonałym analitykiem. Ale nie ona jest źródłem przecieku do prasy. Co miałyby na tym zyskać?

Stacy Pollack opuściła wzrok i przełożyła swoje papiery. Nie skomentowała niczego, co powiedziałem.

–Przejdźmy do następnych spraw – zaproponowała.

Spotkanie potoczyło się dalej i nie wracano już do Monnie i oskarżeń pod jej adresem, rozwinęła się natomiast długa dyskusja na temat czerwonej mafii. Poinformowano nas między innymi, że ofiary z Long Island niewątpliwie miały powiązania z rosyjskimi gangsterami. Słyszeliśmy także plotki, że na wybrzeżu wschodnim szykuje się włosko – rosyjska wojna gangów.

Po ogólnej naradzie rozdzieliliśmy się na mniejsze grupki. Kilku agentów siadło do komputerów. Stacy Pollack odciągnęła mnie na bok.

–Słuchaj, o nic cię nie oskarżam – powiedziała. – Nie sugerowałam, że masz udział w tych przeciekach, Alex.

–Więc kto oskarżył Monnie? – spytałem. To chyba ją zaskoczyło.

–Tego ci nie powiem. Nie wysunięto jeszcze oficjalnych oskarżeń.

–Co to znaczy, że „nie wysunięto jeszcze oficjalnych oskarżeń?” – spytałem.

–Nie podjęto żadnych kroków wobec pani Donnelley. Niemniej jednak odsuniemy ją od tego śledztwa. Na razie to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Możesz wracać do Quantico.

To oznaczało chyba odmaszerować!

Rozdział 60

Najszybciej jak mogłem zadzwoniłem do Monnie i opowiedziałem jej, co się wydarzyło. Była wściekła i nic dziwnego. Ale po chwili wzięła się w garść.

–W porządku. Teraz już wiesz, że nie jestem taka opanowana, na jaką wyglądam – powiedziała. – No i pieprzyć ich. Nie wypaplałam niczego prasie, Alex. To absurd. Z kim miałam gadać, z naszym gazeciarem?

–Wiem, że nic nie wypaplałaś – odparłem. – Słuchaj, muszę zatrzymać się w Quantico, więc co byś powiedziała na to, żebym zabrał dziś wieczorem ciebie i twoich chłopaków na niezobowiązującą kolację? Tanią – dodałem i udało mi się ją rozbawić.

–W porządku. Znam dobrą knajpę. Nazywamy ją Stanowiskiem Dowodzenia. Chłopcy za nią przepadają. Przekonasz się dlaczego.

Wytłumaczyła mi, jak tam dojechać. Okazało się, że to blisko Quantico, przy Potomac Avenue. Wpadłem do mojego prowizorycznego biura w Klubie Federalnych, a potem pojechałem po Monnie i jej synów. Matt i Will mieli nie więcej niż jedenaście, dwanaście lat. Odziedziczyli jednak wzrost po ojcu, byli sporymi dryblasami.

–Mama mówi, że jesteś w porządku – rzekł Matt, wymieniając ze mną uścisk dłoni.

–To samo mówi o tobie i Willu – odparłem.

Wszyscy przy stoliku roześmieli się. Potem zamówiliśmy zdrożne rozkosze podniebienia: hamburgery, skrzydełka kurczaków, frytki serowe. Monnie uznała, że zasłużyła, sobie na to. Jej synowie byli dobrze wychowani i mili, co powiedziało mi sporo na temat Monnie.

Lokal też był ciekawy. Wisiało w nim wiele pamiątek korpusu piechoty morskiej, flagi, zdjęcia, a kilka stolików miało ślady po kulach. Monnie powiedziała, że wspomina o nim Tom Clancy w swoich Grach patriotów, ale twierdzi, że na ścianie wisi zdjęcie George'a Pattona, co wzburzyło stałych bywalców lokalu, jako że kariera Clancy'ego opierała się na sławie człowieka znajdującego od poszewki świat amerykańskich sił zbrojnych. Tymczasem Stanowisko Dowodzenia było knajpą piechoty morskiej, a nie zwykłych piechociarzy!

Kiedy wychodziliśmy, Monnie odciągnęła mnie na bok. Kilku przechodzących komandosów spojrzało na nas podejrzliwie.

–Bardzo jestem ci wdzięczna, Alex. Twoja postawa wiele dla mnie znaczy – powiedziała. – Wiem, że możesz mi nie uwierzyć, ale nie przekazałam niczego „Washington Post”. Ani Rushowi Limbaughowi* [konserwatywny dziennikarz amerykański]. Ani O'Reilly'emu* [dziennikarz amerykański o niezależnych poglądach]. Ani żadnemu innemu pieprzonemu pismakowi. Nigdy tego nie zrobiłam i nie zrobię. Będę lojalna do ostatniego dnia pracy w Agencji, który pewnie zbliża się szybkimi krokami.

–To właśnie powiedziałem na konferencji – zapewniłem ją. – Że jesteś lojalnym pracownikiem.

Monnie stanęła na palcach i cmoknęła mnie w policzek.

–Masz u mnie dług wdzięczności za fantastyczny wieczór, szanowny panie. Poza tym musisz wiedzieć, że zrobiłeś na mnie wrażenie jak cholera. Nawet Matt i Will mają

wobec ciebie stosunek obojętno – pozytywny, chociaż należysz do grupy ich naturalnych wrogów: dorosłych.

–Pracuj dalej nad tą sprawą – poradziłem jej. – Masz dokładnie taką postawę jak trzeba.

Zrobiła zdziwioną minę, ale po chwili zrozumiała.

–No pewnie. Pieprzę ich!

–To Rosjanie – powiedziałem, zanim rozstałem się z nią za progiem Stanowiska Dowodzenia. – To muszą być oni. Na pewno się nie mylimy.

Rozdział 61

Para zakochanych. Zwykle to piękny widok. Ale nie w tym przypadku, nie w tę gwiazdzistą noc na wzgórzach środkowego Massachusetts.

Kochankowie nazywali się Vince Petrillo i Francis Deegan i byli uczniami drugiego roku college'u Świętego Krzyża w Worcester. Nie rozstawali się od pierwszego tygodnia pierwszego roku. Poznali się w akademiku Mulledy przy Easy Street. Nawet pracowali razem przez ostatnie dwa letnie sezony w tej samej restauracji rybnej w Provincetown. Planowali, że po ukończeniu college'u wezmą ślub i zrobią wielki objazd Europy.

Święty Krzyż był szkołą prowadzoną przez jezuitów i słusznie bądź nie miał reputację placówki, w której patrzono krzywym okiem na związki męsko – męskie. Studenci winni tego wykroczenia bywali zawieszani lub nawet wydalani z uczelni, zgodnie z prawem o naruszaniu porządku publicznego, które zakazuje „czynów lubieżnych i nieprzyzwoitych”. Oficjalnie Kościół katolicki nie potępiał „pociągu” wobec osób tej samej płci, ale uważał, że czyny o charakterze homoseksualnym są „z istoty wynaturzone” i wprowadzają „głęboki moralny chaos”. Ponieważ jezuita potępiali stosunki homoseksualne, przynajmniej wśród studentów, Vince i Francis trzymali swój związek w jak najściślejszej tajemnicy. Ostatnio jednak doszli do wniosku, że to nic tak bardzo zdroźnego, biorąc pod uwagę skandale wśród katolickiego duchowieństwa.

Arboretum w kampusie Świętego Krzyża od dawna było ulubionym miejscem spotkań studentów szukających samotności, często samotności we dwójkę. Rosły w nim setki różnych drzew i krzewów, a w dole rozciągała się panorama śródmieścia Worcester, nazywanego czasem przez studentów Wormtownem* [dosł. miasto robaków].

Tego wieczoru Vince i Francis włożyli spodenki gimnastyczne, T – shirty, białe – czerwone baseballówki i poszli na spacer Easy Street do Wheeler Beach, placyku otoczonego trawnikami. Był zatłoczony, więc szukając spokojniejszego zakątka, udali się do arboretum.

Tam położyli się na kocu pod prawie pełnym księżycem i niebem obsypanym gwiazdami. Trzymali się za ręce i rozmawiali o poezji W. B. Yeatsa, którego Francis uwielbiał, a Vince, przyszły student medycyny, tolerował najlepiej, jak potrafił. Dwaj mężczyźni byli niezwykłą parą pod względem fizycznym. Vince miał nieco ponad pięć stóp i siedem cali wzrostu i ważył sto osiemdziesiąt funtów. Większość z tego stanowiły mięśnie, zasługa obsesyjnej pracy w siłowni, ale efekty były wyraźnie widoczne. Czarne kędziory okalały delikatną, niemal anielską twarz, prawie taką samą, jaką Vince miał w czasach dzieciństwa, co poświadczała fotografia, którą jego kochanek nosił w portfelu.

Na widok Francisca śliniły się obie płcie, co budziło radość Vince'a, kiedy byli w mieszanym towarzystwie. „Ślinią się cioty i dziewczynki!” – szeptał w ucho Francisowi, który miał sześć stóp i jeden cal wzrostu i ani uncji tłuszczu. Jasne, prawie białe włosy strzygł identycznie od pierwszego roku Akademii Chrześcijańskich Braci w New Jersey. Uwielbiał Vince'a całym sercem, a Vince czcił

go bezgranicznie.

Tamci oczywiście zjawili się po Francisa.
Został namierzony i zakupiony.

Rozdział 62

Trzej potężnie zbudowani mężczyźni mieli na sobie luźne dżinsy, buty do kostek na grubej podeszwie i ciemne kurtki. Byli zbirami. Baklany lub bandyty, jak nazywano ich w Rosji. Budzące lęk demony, potwory z Moskwy, służące Wilkowi w Ameryce.

Zaparkowali swojego pontiaka grand prix przy ulicy i wspięli się na wzgórze do głównego kampusu Świętego Krzyża.

Jeden z nich się zasapał i zaczął narzekać po rosyjsku na stromiznę stoku.

–Zamknij się, dupku – rozkazał mu przywódca, Maxin, który lubił mówić o sobie, że jest osobistym przyjacielem Wilka, chociaż oczywiście wcale nim nie był. Żaden pahan nie miał prawdziwych przyjaciół, zwłaszcza Wilk. Miał tylko wrogów i prawie nigdy nie spotykał się z tymi, którzy dla niego pracowali. Nawet w Rosji miał opinię tajemniczego czy wręcz niewidzialnego człowieka. W USA nikt nie znał go z widzenia.

Trzech osiłków obserwowało studentów leżących na kocu. Trzymali się za ręce, a potem całowali i pieścili.

–Całują się jak dziewczyny – zauważył jeden z Rosjan, śmiejąc się chrapliwie. – Jak dziewczyny, których ja nigdy nie całowałem.

Cała trójka roześmiała się i pokręciła głowami z obrzydzeniem. Potężnie zbudowany przywódca ruszył przed siebie, mimo swojej wagi i rozmiarów pokonując błyskawicznie przestrzeń. Wskazał bez słowa Francisca i dwaj pozostali bandyci oderwali chłopca od Vince'a.

–Hej, co to ma być, do diabła?! – krzyknął Francis. Uciszył go szeroki plaster szorstkiej taśmy, którym zaklejono mu usta. Nie przedostawał się przez niego żaden dźwięk.

–Teraz sobie krzycz – powiedział ze śmiechem jeden z osiłków. – Krzycz jak dziewczyna. Ale nikt cię nie usłyszy.

Działali szybko, byli zgrani. Jeden z bandytów owinął Francisowi nogi w kostkach następnym odcinkiem czarnej taśmy, drugi skrępował mu ciasno ręce na plecach. Potem wepchnęli go do wielkiej torby, przypominającej worek marynarski i zwykle służącej do przenoszenia sprzętu sportowego, kijów baseballowych lub piłek do koszykówki.

Przywódca wyjął cienki, bardzo ostry sztylet i podciął gardło drugiemu chłopcu, dokładnie takim samym ruchem, jakim zarzynał świnie i barany w ojczystym kraju. Vince nie został kupiony i widział zespół porywaczy. W przeciwieństwie do Ślubnych ci oprawcy nie uprawiali żadnych gier, nie zamierzali zdradzić Wilka ani sprawić mu zawodu. Koniec z obsuwami. Wilk dał im to jasno do zrozumienia, tak jasno i wyraźnie, jak tylko on potrafił.

–Ładować pięknego. Szybko – rozkazał przywódca zespołu. Pobiegli do auta, cisnęli wypchaną torbę do bagażnika pontiaka i wyjechali z miasta.

Robota na medal.

Rozdział 63

To mi się nie wydarzyło! myślał Francis, kiedy usiłował spojrzeć chłodno i logicznie na cały ten koszmar. Nie mógł zostać porwany kilka godzin temu z kampusu Świętego Krzyża przez trzech przerażających drabów.

To po prostu niemożliwe!

Niemożliwe było również to, że został przewieziony Bóg wie gdzie, że jazda trwała cztery, może pięć godzin, i że był transportowany w bagażniku samochodowym.

Przecież nie mógł zostać zabity. Tamten okrutny, pozbawiony serca gnój nie poderżnął mu gardła.

To się nie wydarzyło.

To wszystko było tylko nieprawdopodobnym, potwornym snem, kolejnym koszmarem, które ostatni raz nawiedzały Francisa Deegana, kiedy był małym dzieckiem. I ten człowiek, który stał teraz przed nim, z wyłysiałą czaszką okoloną wianuszkami wijących się jasnych włosów, ubrany w ciasny kombinezon z czarnej skóry, on też nie był prawdziwy. Nie ma mowy.

–Gniewam się bardzo na ciebie! Jestem dobrym człowiekiem, ale mnie wkurzyłeś! – ryczał w twarz Francisowi Pan Potter. – Dlaczego mnie zostawiłeś? – zaskrzeczał. – Dlaczego? Mów. Nigdy więcej nie wolno ci zostawiać mnie samego. Bez ciebie bardzo się boję. Wiesz o tym. Znasz mnie. To było bezmyślne z twojej strony, Ronaldzie!

Francis próbował przemówić do rozsądku temu szaleńcowi, Porterowi, jak sam siebie nazywał, przy czym nie chodziło o Harry'ego Pottera, lecz Pana Pottera. Było to jednak rzucanie grochem o ścianę. Powiedział kilka razy temu szalejącemu świrowi, że widzi go pierwszy raz w życiu. Nie jest Ronaldem. Nie zna żadnych Ronaldów! Zarobił tylko kilka policzków, tak mocnych, że puściła mu się krew z nosa. Ten skretyniały świr o wyglądzie Billy'ego Idola był o wiele silniejszy, niż na to wyglądał.

Rozpacz i poczucie bezradności doprowadziły do tego, że Francis przeprosił szeptem świra:

–Przepraszam. Bardzo przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

Pan Potter uściskał go serdecznie i Francis rozbeczał się jak dziecko, zalewając łzami pierś świra. To już był szczyt wszystkiego.

–O Boże, jak się cieszę, że wróciłeś. Bardzo martwiłem się o ciebie! Nigdy więcej nie wolno ci mnie zostawiać, Ronaldzie.

Ronaldzie? Kim, do diabła, był ten Ronald? I kim jest Pan Potter? Co jeszcze miało się wydarzyć? Czy Vince naprawdę nie żył? Czy zabito go tej nocy w college'u? Wszystkie te pytania były jak race wybuchające w pulsującej głowie Francisa, więc nic dziwnego, że rozplakał się w ramionach Pottera i nawet ścisnął go jak swojego wybawcę. Wtulił twarz w pachnącą czarną skórę i szeptał raz za razem:

–Bardzo przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam. O mój Boże, przepraszam.

Pan Potter odpowiedział:

–Ja też cię kocham, Ronaldzie. Uwielbiam cię. Nigdy więcej nie zostawisz mnie samego, prawda?

–Nie. Obiecuję. Nigdy cię nie zostawię. Pan Potter wybuchnął śmiechem i gwałtownie odsunął się od chłopca.

–Francis, drogi Francis – szepnął. – Do diabła, kim jest ten Ronald? Ja tylko się z tobą bawię, chłopcze. To tylko taka moja gra. Chodzisz do college’u, więc musiałeś się tego domyślić. No, to zabawmy się, Francis. Wyjdźmy z tej stodoły i pobawmy się.

Rozdział 64

Monnie Donnelley przysłała dziwnego maila do mojego tymczasowego biura. Napisała, że nie została zawieszona. W każdym razie do tej pory. Miała też dla mnie świeże wiadomości. „Muszę zobaczyć się z tobą dziś wieczorem. Ten sam lokal, ta sama pora. To bardzo ważne”.

Wobec tego zaraz po siódmej przyjechałem do Stanowiska Dowodzenia i rozejrzałem się za Monnie. Jakie tajemnicze wiadomości miała na myśli? Przy barze było tłoczno, ale dostrzegłem ją bez problemu, była tam jedyną kobietą. Zauważyłem również, że Monnie i ja jesteśmy jedynymi klientami Stanowiska Dowodzenia niesłużącymi w piechocie morskiej.

–Nie mogłam porozmawiać z tobą przez telefon w Quantico. Gorzej już być nie może. Komu człowiek ma ufać? – powiedziała, kiedy podszedłem do niej.

–Mnie możesz ufać. Ale oczywiście nie spodziewam się, że zaufasz temu, co mówię, Monnie. Masz jakieś wiadomości?

–Jasne. Z przyjemnością zrzucę ten ciężar z barków. Na dodatek to chyba dobra wiadomość.

Usiadłem na wysokim stołku obok niej. Podszedł barman i zamówiliśmy piwo. Monnie zaczęła mówić, kiedy tylko się oddalił.

–Mam dobrego znajomego w ERF – powiedziała. – Chodzi o Techniczny Zakład Badań w Quantico.

–Wiem, o co chodzi. Wygląda na to, że masz wszędzie znajomych.

–Zgadza się. Poza Hooverem. W każdym razie ten znajomy zwrócił mi uwagę na informację, która przysłała do Biura kilka tygodni temu, ale została uznana za głupi telefon i odrzucona. Ktoś doniósł o forum internetowym Wilcze Gniazdo. Podobno można tam sobie zamówić kochankę lub kochanka albo zlecić porwanie dowolnej osoby. Tyle że nie można się tam włamać. W tym sęk.

–Więc jak ten człowiek się włamał? Nasz haker?

–Nie on, ale ona. Uważa się za geniusza. Dlatego ją zignorowano. Chcesz ją poznać? Ma czternaście lat.

Rozdział 65

Monnie miała adres tej młodocianej hakerki. Dale City w Wirginii, zaledwie dwanaście mil od Quantico. Agent, który odebrał wiadomość, zanadto się nią nie przejął, więc doszliśmy do wniosku, że nie weźmie nam za złe naszej inicjatywy. Postanowiliśmy odwalić robotę za niego. On sam nie był nam potrzebny do szczęścia.

Tak naprawdę wcale nie planowałem zabierać ze sobą Monnie, ale uparła się, że musi mi towarzyszyć. Odstawiła swojego SUV – a do domu i pojechała ze mną do Dale City. Zadzwoiłem wcześniej, uprzedzając matkę dziewczyny. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, ale wyraziła zadowolenie, że w końcu zjawi się FBI i porozmawia z nią. Dodała, że: „Lili zawsze postawi na swoim. Zobaczysz pan, o co mi chodzi”.

Drzwi otworzyła nam młoda dziewczyna w czarnym dresie. Sądziłem, że to Lili, ale się pomyliłem. Annie była jej dwunastoletnią siostrą. Wyglądała na czternastolatkę. Zaprosiła nas do środka i weszliśmy.

–Lili jest u siebie, w laboratorium – oświadczyła. – Gdzież by indziej?

Z kuchni wyłoniła się pani Olsen i przedstawiliśmy się. Miała na sobie gładką białą bluzkę i zielony sztruksowy fartuszek. W ręce trzymała zatłuszczoną łopatkę do przewracania mięsa na patelni. Trudno o większy kontrast tej typowo domowej scenerii z tym, na co podobno trafiła Lili. Czy to możliwe, że czternastolatka znalazła ślad, który mógł nas zaprowadzić do porywaczy? Słyszałem o sprawach, których rozwiązanie było jeszcze dziwniejsze. Niemniej jednak...

–Nazywamy ją doktorem Hawkingiem. Lubicie Stephena Hawkinga? Ma taaki iloraz inteligencji – powiedziała matka cudownego dziecka, unosząc wysoko rękę z przyrzędem kuchennym. – Niby strasznie mądra, ale odżywia się tylko sprite'em i cukrowymi laseczkami. Nie mogę przemówić jej do rozumu, żeby zaczęła jeść normalnie.

–Czy moglibyśmy teraz z nią porozmawiać? – spytałem.

Pani Olsen skinęła głową.

–Chyba bierzecie ją na serio. To dobrze o was świadczy. Wierzcie mi, niczego nie zmyśliła.

–Hm... chcemy tylko z nią porozmawiać. Na wszelki wypadek. Tak naprawdę nie wiemy, co o tym myśleć. – Było to bliskie prawdy.

–To już coś – pochwaliła nas pani Olsen. – Lili nigdy się nie pomyliła. Przynajmniej do tej pory. – Wskazała łopatką schody. – Pierwsze piętro, a potem na prawo. Wyjątkowo zostawiła otwarte drzwi, bo się was spodziewa. Zakazała nam mieszać się do tego.

Poszedłem z Monnie na górę.

–Nie mają pojęcia, co to może być, prawda? – szepnęła. – Prawie się modlę, żeby nic z tego nie wynikło. Żeby to był fałszywy trop.

Zastukałem w drewniane drzwi. Rozległ się głuchy odgłos, jakby były w środku puste.

–Otwarte – odpowiedział cienki dziewczęcy głos. – Właźcie.

Kiedy pchnąłem drzwi, zobaczyłem sypialnię z meblami z sosnowego drewna. Pojedyncze łóżko, zmięta pościel we wzorek w krówki, na ścianach postery z MIT, Yale, Stanforda.

Za niebieską halogenową lampą siedziała przy laptopie nastolatka: ciemne włosy, okulary, aparat korekcyjny na zębach.

–Nie mogłam się was doczekać – powiedziała. – Jestem Lili. Siedziałam nad deszyfracją. Wszystko sprowadza się do znalezienia luk w algorytmach.

Monnie i ja uścisnęliśmy dłoń Lili, bardzo drobną i kruchą jak skorupka jajka.

–Lili, w mailu napisałaś nam, że masz informację – zaczęła Monnie – która może pomóc nam odnaleźć osoby zaginione w Atlancie i Pensylwanii.

–Zgadza się. Ale już znaleźliście panią Meek.

–Włamałaś się na doskonale zabezpieczoną stronę. Czy tak? – spytała Monnie.

–Użyłam programu do tajnego skanowania protokołu data – gramów użytkownika. Potem podrobiłam adres sieciowy. Ich serwer administrujący łyknął podrabiane pakiety. Podsunęłam kod źródłowy szperaczowi. W końcu włamałam się, podsuwając fałszywe dane serwerowi nazw. Wszystko to było trochę bardziej skomplikowane, ale w gruncie rzeczy o to chodzi.

–Kojarzę – powiedziała Monnie. Nagle poczułem się bardzo zadowolony, że Monnie jest ze mną.

–Oni pewnie wiedzą, że się włamałam. Nawet jestem tego pewna – dodała Lili.

–Dlaczego? – spytałem.

–Powiedzieli to.

–Nie podałaś zbyt wielu szczegółów agentowi Tiezzi. Podobno „wydawało ci się”, że na tym forum można kogoś kupić?

–No. Dałam ciała, nie? Ten Tiezzi mi nie uwierzył. Przyznałam się, że mam czternaście lat i jestem dziewczyną. Głupia byłam, nie?

–Według mnie to nie minusy – powiedziała Monnie i uśmiechnęła się ciepło.

Lili też w końcu zdobyła się na uśmiech.

–Mocno się naraziłam, co? No, wiem. Oni chyba już wiedzą, kim jestem.

Pokręciłem przecząco głową.

–Nie, Lili – zapewniłem ją. – Nie wiedzą, kim jesteś ani gdzie mieszkasz. Na pewno.

Gdyby wiedzieli, już byś nie żyła, dodałem w myślach.

Rozdział 66

Czułem się dziwnie nierealnie, przebywając w pokoju tej genialnej dziewczynki, świadom, że jej życiu i życiu jej rodziny grozi wielkie niebezpieczeństwo. Lili pewnie nie brzmiała zbyt przekonująco, gdy kontaktowała się z Biurem, więc puszczo jej rewelacje koło uszu. Poza tym naprawdę miała czternaście lat. Ale kiedy się spotkaliśmy i porozmawialiśmy osobiście, nabrałem pewności, że trafiła na autentyczny ślad, który może nam pomóc.

Słyszała ich, kiedy się kontaktowali.

Ktoś został kupiony, gdy słuchała.

I teraz bała się o siebie i swoją rodzinę.

–Chcesz się z nimi połączyć on – line – spytała podekscytowana Lili. – Da się zrobić! Sprawdzę, czy są razem. Siedziałam nad jednym anonimizatorem. Jest w porzo. Chyba zaskoczy. Chociaż nie na pewno. Ale myślę, że zaskoczy.

Uśmiechnęła się szeroko, pokazując swój zabawny aparat korekcyjny.

Bardzo chciała nam udowodnić, że sama też jest w porzo.

–Czy to dobry pomysł? – spytała Monnie, pochylając się do mnie.

Odciągnąłem ją na bok i ściszyłem głos:

–Musimy ukryć ją i jej rodzinę. Teraz nie mogą zostać w domu, Monnie. – Spojrzałem na Lili. – No dobrze. Czemu nie spróbować się z nimi połączyć? Zobaczmy, do czego się szykują. Będziemy przy tobie.

Lili tymczasem pokonywała różne zabezpieczenia i wpisywała hasła dostępu, cały czas opowiadając, co robi. Dla mnie była to czarna magia, ale Monnie orientowała się z grubsza, co robi czternastolatka. Była życzliwa i chętna do pomocy. Lili najwyraźniej zrobiła na niej wrażenie.

Dziewczynka nagle się zaniepokoiła i uniosła ku nam wzrok.

–Coś jest nie tak – zamruczała i wróciła do komputera. – O cholera! Niech ich diabli porwą! – zaklęła. – Świry pieprzone. Nie do wiary.

–Co się stało? – spytała Monnie.

–Zmienili klucze?

–Gorzej – odparła Lili, nie przestając szybko wprowadzać polecenia. – O wiele gorzej. Aaa, żeby to obesrało. Nie wierzę. – W końcu odwróciła się od ekranu laptopa. – Po pierwsze, w ogóle nawet nie mogłam znaleźć tego ich forum. Stworzyli niesamowicie dynamiczną sieć i wszystko skakało od Detroit przez Boston do Miami. A kiedy w końcu ich namierzyłam, nie mogłam wejść. Nikt nie może wejść na to forum poza nimi.

–Dlaczego? – spytała Monnie. – Co się tam wydarzyło od twojej ostatniej wizyty?

–Zainstalowali skaner tęczówki! To bramka nie do przejścia. Całym tym interesem rządzi facet, który nazywa siebie Wilkiem. Straszny gość. Rosjanin. Jest jak wilk syberyjski. I zdaje się, że jest nawet cwańszy ode mnie. A to znaczy, że jest kurewsko cwany.

Rozdział 67

Następnego dnia pracowałem w salach SIOC. Monnie Donnelley również, traktowana trochę jak zadżumiona, skazana na kwarantannę. Nie rozgłaszaliśmy tego, czego dowiedzieliśmy się od Lili Olsen, ponieważ chcieliśmy sprawdzić kilka rzeczy. Siedzieliśmy w głównej sali. Otaczał nas ruch i gwar. Sprawa porwań znalazła się w centrum zainteresowania mediów. W ciągu ostatnich kilku lat poddano FBI niewiarygodnej presji i teraz zwycięstwo było potrzebne do przeżycia Biuru jak powietrze tonącemu. Nie, pomyślałem, nie Biuru. Nam.

Wiele szych zjawilo się na wieczornym spotkaniu, w tym szefowie Zespołów Analizy Zachowań (BAU) Wschód i Zachód, szef Ośrodka Danych Wielokrotnych Morderców i Porwań Niepełnoletnich (CASMIRC), i kierownik Niewinnych Wizerunków z Baltimore, wydziału szukającego i eliminującego seksualnych drapieżników, buszujących w Internecie. Stacy Pollack znów prowadziła dyskusję. Najwyraźniej została wyznaczona do kierowania śledztwem.

Zaginął student płci męskiej z college'u Świętego Krzyża w Massachusetts, a na terenie kampusu znaleziono ciało jego zamordowanego przyjaciela. Fizyczne podobieństwo Francisa Deegana do Benjaminu Coffeya, studenta porwanego w Newport, przekonało wielu z nas, że wybrano go zamiast tamtego, prawdopodobnie już nieżyjącego.

–Proszę o zgodę na wyznaczenie nagrody, może pół miliona – powiedział Jack Arnold, szef BAU – Wschód. Nikt nie skomentował tej propozycji. Część agentów robiła notatki, część pracowała przy laptopach. Panował nastrój przygnębienia.

–Myślę, że coś mamy – powiedziałem. Siedziałem w głębi sali.

Stacy Pollack spojrzała w moim kierunku. Podniosło się kilka głów, ale zareagowano raczej na to, że w ogóle przerwałem ciszę, niż na moje słowa.

Wstałem z krzesła.

Pieprzony nowy miał okazję przemówić do grupy. Przedstawiłem Monnie jak na dobrego kolegę przystało. Potem opowiedziałem im o Wilczym Gnieździe i o naszym spotkaniu z czternastoletnią Lili Olsen. Wspomniałem również o Wilku, który zgodnie z wynikami poszukiwań Monnie mógł być rosyjskim gangsterem, Paszą Sorokinem. Jego wcześniejsza historia była trudna do wyśledzenia, zwłaszcza pobyt w ZSR.

–Jeśli uda się nam jakoś dostać do Gniazda, to sądzę, że dowiemy się czegoś o tych zaginionych kobietach. Na razie powinniśmy wziąć pod lupę niektóre miejsca w Internecie już zidentyfikowane przez Niewinne Wizerunki. To logiczne, że zboczeńcy wykorzystujący Wilcze Gniazdo odwiedzają inne witryny porno. Potrzebujemy pomocy. A jeśli się okaże, że Wilk to Pasza Sorokin, będziemy potrzebować znacznej pomocy.

Stacy Pollack podjęła wyzwanie i poprowadziła dyskusję, podczas której zadano Monnie i mnie wiele pytań. Niektórzy agenci obecni na sali wyraźnie poczuli się zagrożeni. Ale Pollack już podjęła decyzję.

–Dostaniecie środki działania – oświadczyła. – Będziemy obserwować witryny porno dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Rzecz w tym, że na razie nie mamy nic lepszego. Chcę, żeby nasza nowojorska grupa od spraw

rosyjskiej mafii też się tym zajęła. Nie wierzę, by Pasza Sorokin był w to osobiście zaangażowany, ale jeśli tak, to uczyniliśmy wielki postęp w śledztwie. Interesujemy się Sorokinem od sześciu lat! I jesteśmy bardzo zainteresowani Wilkiem.

Rozdział 68

W ciągu następnej doby ponad trzydziestu agentów przystąpiło do nadzorowania czternastu pornograficznych witryn i czatów. To była jedna z najintensywniejszych „obserwacji” w historii Biura. Nie wiedzieliśmy dokładnie, kogo szukamy – wypatrywaliśmy jedynie wzmianek o Wilczym Gnieździe lub o samym Wilku. Równocześnie Monnie i ja zbieraliśmy informacje o czerwonej mafii, a zwłaszcza o Paszy Sorokinie.

Po południu musiałem wyjść. Trudno sobie wyobrazić gorszy zbieg okoliczności. Ale to, co mnie czekało, zawsze byłoby niemiłe. Zaproszono mnie na wstępne spotkanie z prawnikami Christine Johnson w Blake Building przy Dupont Circle. Christine chciała mi zabrać małego Alexa.

Zjawiłem się tam kilka minut przed piątą i musiałem pokonać strumień pracowników, wylewający się z niezwykle jedenastopiętrowej budowli, mieszczącej się na rogu Connecticut Avenue 1. Przejrzałem spis najemców i dowiedziałem się, że w budynku są biura Mazdy, Barona, National Safety Council i kilku kancelarii prawniczych, w tym Mark, Haranzo i Denyeau, reprezentującej Christine.

Powlokłem się do wind i wcisnąłem guzik. Christine żądała opieki nad Alexem juniorem. Jej adwokatka zaaranżowała to spotkanie, licząc na porozumienie stron bez rozprawy sądowej lub uciekania się do innych rozwiązań prawnych. Przed południem rozmawiałem z moim adwokatem i zrezygnowałem z jego obecności na spotkaniu, jako że miało mieć charakter nieformalny. Jadąc windą na szóste piętro, powtarzałem sobie w kółko: „Liczy się tylko dobro małego Alexa”.

Bez względu na to, co mogło mnie spotkać i ile miało mnie kosztować.

Kiedy wysiadłem z windy, przywitała mnie Gilda Haranzo, szczupła atrakcyjna kobieta w ciemnym kostiumie i białej bluzce, wiązanej pod szyją. Mój adwokat stawał przeciwko pani Haranzo i poinformował mnie, że jest dobrą prawniczką i traktuje swój zawód jak misję. Rozwiodła się z mężem lekarzem i dostała opiekę nad ich dwójką dzieci. Była droga, ale chodziła z Christine do Villanova i pozostały przyjaciółkami.

–Christine jest już w sali konferencyjnej, Alex – powiedziała, przedstawivszy się.
– Przykro mi, że do tego doszło. To trudna sprawa. Nie ma w niej złych ludzi. Zechcesz pójść za mną?

–Mnie też jest przykro, że do tego doszło – odparłem.

Ale nie byłem tak bardzo pewien, czy w tej sprawie nie ma złych ludzi. Niebawem mieliśmy się o tym przekonać.

Pani Haranzo zaprowadziła mnie do średniej wielkości pomieszczenia, pomalowanego na fabryczny błękit, z szarą wykładziną na podłodze. Pośrodku stał szklany stół i sześć modnych czarnych skórzanych foteli. Na stole umieszczono tylko dzban z zimną wodą, szklanki i laptop.

Rząd wysokich okien wychodził na Dupont Circle. Christine stała przy jednym z nich i nie odezwała się, kiedy wszedłem, ale po chwili podeszła do stołu i usiadła.

–Cześć, Alex – powiedziała wreszcie.

Rozdział 69

Gilda Haranzo wśliznęła się na fotel przy laptopie, a ja wybrałem miejsce naprzeciwko Christine. Nagle utrata małego Alexa stała się czymś bardzo realnym. Na myśl o tym zabrakło mi oddechu. Bez względu na to, czy była to dobra decyzja, czy zła, uczciwa czy nie, Christine odeszła od nas, wyjechała tysiące mil dalej i ani razu nie odwiedziła małego. Zrezygnowała świadomie ze swoich praw rodzicielskich. Teraz zmieniła zdanie. A co, jeśli zmieni je kolejny raz?

–Dziękuję ci za przybycie, Alex – powiedziała Christine. – Przykro mi ze względu na okoliczności naszego spotkania. Musisz uwierzyć, że jest mi przykro.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Rzecz nie w tym, że byłem na nią wściekły, ale... może byłem zły. Miałem małego Alexa przez całe jego życie i nie mogłem znieść myśli, że teraz go utracę. Żołądek poleciał mi w dół jak winda zerwana z lin. Czułem się tak, jakbym widział moje dziecko wybiegające na ulicę prosto pod koła ciężarówki, a ja nie mogłem zapobiec, nieszczęściu, nie mogłem nic zrobić. Siedziałem jak skamieniały, dusząc w gardle pierwotny wrzask, który roztrzaskałby całe szkło w tej sali.

Potem zaczęło się spotkanie. Nieformalna narada. Bez żadnych złych ludzi na sali.

–Doktorze Cross, dziękuję panu za to, że poświęcił pan swój czas na przybycie – oświadczyła Gilda Haranzo i uśmiechnęła się do mnie serdecznie.

–Czemu miałbym nie przyjść? – spytałem.

Kiwnęła głową i znów się uśmiechnęła.

–Wszyscy chcemy rozwiązać po przyjacielsku ten problem. Okazał się pan doskonałym opiekunem i nikt temu nie zaprzecza.

–Jestem ojcem Alexa, pani Haranzo – poprawiłem ją.

–Oczywiście. Ale teraz Christine może zająć się opieką nad chłopcem. Jest jego matką. Jest również dyrektorką szkoły podstawowej w Seattle.

Poczułem, jak rumieniec obejmuje moją twarz i szyję.

–Zostawiła Alexa rok temu.

–To nieuczciwe, Alex – wtrąciła się Christine. – Powiedziałam, że na razie możesz go wziąć. Nasze ustalenie zawsze miało charakter tymczasowy.

–Doktorze Cross, czy to prawda, że dzieckiem przeważnie zajmuje się pańska osiemdziesięciodwuletnia babka? – spytała Haranzo.

–Wszyscy się nim zajmujemy – odparłem. – A poza tym nie była za stara zeszłego roku, kiedy Christine wyjechała do Seattle, prawda? Nana jest całkowicie sprawna i nie sądzę, by kiedykolwiek miała pani ochotę zobaczyć ją w sądzie na miejscu dla świadka.

–Pańskie zajęcia zmuszają pana do częstego przebywania poza domem? – kontynuowała prawniczka.

Skinąłem głową.

–Wyjeżdżam od czasu do czasu. Ale Alex zawsze ma dobrą opiekę. To szczęśliwe, zdrowe, inteligentne dziecko. Cały czas jest uśmiechnięty. I jest kochany. Jest ośrodkiem życia naszego domu.

Haranzo odczekała, aż skończę, i znów zaatakowała. Poczułem się jak na

rozprawie.

–Pańska praca, doktorze Cross, jest dość ryzykowna. Poprzednio pańska rodzina była narażona na wielkie niebezpieczeństwo. Poza tym od kiedy pani Johnson odeszła, utrzymywał pan intymne związki z innymi kobietami. Czy tak?

Westchnąłem i powoli podniosłem się z fotela.

–Przykro mi, ale to spotkanie jest już skończone. Proszę. wybaczyć. Muszę wyjść. – Przy drzwiach odwróciłem się do Christine. – Nie masz racji.

Rozdział 70

Musiałem stamtąd wyjść i przez jakiś czas zająć głowę czymś innym. Wróciłem do Hoovera i odniosłem wrażenie, że moja nieobecność przeszła niezauważona, nikt mnie nie potrzebował. Nie mogłem opędzić się od myśli, że niektórzy agenci gniezdzący się w tych biurowych pokojach nie mają pojęcia, jak rozwiązuje się sprawy kryminalne w realnym świecie. Jakby wierzyli, że wystarczy wrzucić dane do komputera, a on poda ci sprawcę na tacy. Miałem ochotę krzyknąć: „Musicie stąd wyjść! Wyjdźcie z tego»pokoju kryzysowego«bez okien, pełnego śmierdzącego powietrza. Idźcie między ludzi!”.

Nie odezwałem się jednak. Usiadłem przy komputerze i przeczytałem najświeższe doniesienia na temat rosyjskiej mafii. Nie natrafiłem na żadne obiecujące powiązania. Poza tym po spotkaniu z adwokatką Christine nie mogłem się skupić. Tuż po siódmej spakowałem się i wyszedłem z budynku.

Chyba nikt nie zauważył mojego odejścia. Ale pomyślałem sobie: czy to naprawdę takie złe?

Kiedy przyjechałem pod dom, Nana czekała przy drzwiach wejściowych. Ruszyłem po stopniach. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

–Pilnuj małego Alexa, Damon! Za chwilę wrócimy – zawołała przez siatkę.

Kulejąc zeszła po schodach. Poszedłem za nią.

–Dokąd się wybieramy? – spytałem.

–Jedziemy na przejażdżkę – oznajmiła. – Mamy do pomówienia, ty i ja.

O cholera, pomyślałem.

Wsiadłem z powrotem do starego porsche i zapaliłem silnik. Nana opadła na fotel pasażera.

–Jedź.

–Tak jest, panno Daisy.

–Tylko mi tu nie schlebiaj ani nie sil się na te twoje żalosne dowcipy.

–Tak jest, szanowna pani.

–To właśnie doskonały przykład twojego schlebiana.

–Wiem, szanowna pani.

Postanowiłem jechać w kierunku zachodnim, ku Shenandoah Mountains. Były to piękne okolice, ulubione okolice Nany. Przez pierwszą część przejażdżki oboje głównie milczeliśmy, co było niezwykle jak na nas.

–Co się wydarzyło w tej kancelarii? – spytała w końcu Nana, kiedy zjechałem na drogę numer sześćdziesiąt sześć.

Przedstawiłem jej bardzo rozbudowaną wersję, prawdopodobnie dlatego, że musiałem sobie ulżyć. Słuchała bardzo spokojnie, a potem zrobiła coś zupełnie niezwykłego jak na nią. Zaklęła.

–Do diabła z Christine Johnson! Nie ma racji!

–Trudno mi ją całkiem winić – zaoponowałem. Choćbym bardzo nie chciał, nie mogłem nie rozumieć jej punktu widzenia.

–A ja ją winię. Zostawiła tę słodką kruszynkę i wyskoczyła sobie do Seattle. Nie musiała jechać tak daleko. Jej decyzja. Niech teraz z nią żyje.

Zerknąłem na Nanę. Zaciskała mocno usta, twarz miała jak maskę.

–Nie wiem, czy w dzisiejszych oświeconych czasach uznano by ten pogląd za poprawny. Zbyła moje słowa machnięciem ręki. – Nie sądzę, żeby dzisiejsze czasy były tak bardzo oświecone. Wiesz, że wierzę w prawa kobiet, prawa matek i to wszystko, ale tak samo wierzę, że trzeba odpowiadać za swoje czyny. Christine zrzekła się tego chłopczyka. Zrzekła się odpowiedzialności.

–Skończyłaś? – zapytałem.

Nana skrzyżowała mocno ręce na piersi.

–Tak. I lepiej mi się zrobiło. Dużo lepiej. Czasem powinienes tego spróbować. Upuść pary, Alex. Strać nad sobą panowanie. Wyrzuć to z siebie.

Nie mogłem się nie roześmiać.

–Całą drogę z pracy słuchałem radia na pełny regulator. Połowę drogi się darłem. Jestem bardziej wyprowadzony z równowagi niż ty, Nana.

Ten jeden jedyny raz pozwoliła mi mieć ostatnie słowo.

Rozdział 71

Jamilla zadzwoniła tego wieczoru około jedenastej – o ósmej jej czasu. Nie rozmawiałem z nią od kilku dni i prawdę mówiąc, nie była to najlepsza chwila na nasze kłaskanie. Przyjazd Christine do stolicy i spotkanie z jej adwokatką wyprowadziły mnie z równowagi, podłamały i pozbawiły pewności siebie. Staralem się nie okazywać, co czuję, ale to też był zły pomysł.

–Ani się nie odezwiesz, ani nie zadzwonisz – powiedziała Jamilla i roześmiała się po swojemu, swobodnie i kusząco. – Tylko mi nie mów, że już tkwisz po uszy w jakiejś sprawie. Ale tkwisz po uszy, no nie?

–No, w wielkiej, ohydnej sprawie. Tak się jakoś składa, że raz jestem w niej, a raz poza nią – odparłem, a potem szybko wyjaśniłem Jam, co się robi, a czego się nie robi w Hooverze, nadmieniając przy tym o moich mieszanych uczuciach na temat przeniesienia mnie do Biura – o tym wszystkim w moim życiu, co teraz tak naprawdę się nie liczyło.

–Jesteś nowy – powiedziała. – Odczekaj trochę.

–Staram się zachować cierpliwość. Tylko rzecz w tym, że nie przywykłem do takiego marnowania energii i środków.

Roześmiała się.

–Do tego nie przywykłeś, ale przywykłeś być w środku uwagi, no nie? Było się gwiazdą, Alex.

Uśmiechnąłem się.

–Racja, racja. O to też chodzi.

–Widziałeś z zewnątrz, jak wygląda Biuro. Wiedziałeś, w co się pakujesz. Nie wiedziałeś?

–Jasne, chyba powinienem wiedzieć. Ale kiedy się zgłaszaliśmy, wysłuchałem masy obietnic.

Jamilla westchnęła.

–Wiem, że wczuwanie się w sytuację innych to nie moja najsilniejsza strona. Wręcz przeciwnie.

–Nie, nie. To moja wina.

–No. – Znów się roześmiała. – Tak jest. Jeszcze nigdy do tej pory nie byłeś taki załamany i apatyczny. Poszukajmy czegoś, co podniosłoby cię na duchu.

Porozmawialiśmy o sprawie, nad którą pracowała, a potem Jamilla spytała o dzieci. Jak zawsze chciała wiedzieć o nich wszystko. Ale ja byłem w kwaśnym nastroju i nie mogłem się z niego otrząsnąć. Zastanawiałem się, czy Jam wyczuwa mój stan ducha i dowiedziałem się.

–No cóż – westchnęła – chciałam tylko usłyszeć, jak się czujesz. Zadzwon, kiedy coś się wydarzy. Zawsze czekam na twój telefon. Tęsknię za tobą, Alex.

–Ja też za tobą tęsknię – rzekłem.

Zakończyła rozmowę delikatnym:

–Pa.

Siedziałem przez chwilę, kręcąc głową. Do diabła. Czasem wylazil ze mnie prawdziwy osioł. Winilem Jamillę za to, co zrobiła mi Christine, zgadza, się? Świat nie

widział większego durnia ode mnie.

Rozdział 72

–Cześć. Tęsknię za tobą – powiedziałem i uśmiechnąłem się.

–I przepraszam.

Pięć minut po tym, jak Jamilla odłożyła słuchawkę, zadzwoniłem do niej, by ocieplić oziębione stosunki, a przynajmniej spróbować je ocieplić.

–Powinieneś przeprosić, ty sopluch. Cieszę się, że twój sławny nos jeszcze działa – oświadczyła.

–Nie tak trudno było mu wyczuć, że narozrabiałem. Główny dowód miałem przed oczami, na wyświetlaczu aparatu. To była nasza najkrótsza rozmowa telefoniczna. Dodatkowo najmniej przyjemna, ale za to najbardziej frustrująca. Mój sławny nos musiał zareagować.

–Więc o co chodzi, mój wspaniały zwiadowco? O pracę czy coś innego? O mnie, Alex? Możesz mi powiedzieć prawdę. Muszę cię tylko ostrzec, że jestem uzbrojona.

Roześmiałem się, po czym zrobiłem powolny wdech i wydech.

–Christine Johnson wróciła. A teraz naprawdę złe wieści. Przyjechała po małego Alexa. Chce go zabrać, dostać opiekę nad nim i pewnie wywieźć go do Seattle.

Usłyszałem, jak Jamilla gwałtownie wciąga powietrze. Potem powiedziała:

–Och, Alex, to potworne. Potworne. Czy rozmawiałeś z nią o tym?

–Pewnie. Po południu byłem u jej adwokatki. Christine trudno być twardą, ale jej prawniczce nie sprawia to kłopotu.

–Alex, czy Christine widziała was razem? Ciebie i Alexa? Jaki ma do ciebie stosunek? To zupełnie tak, jak w tym starym filmie Kramer kontra Kramer. Dustin Hoffman i tamten śliczny chłopczyk.

–Nie, tak naprawdę to nie widziała nas razem, ale ja widziałem ją z Alexem. Podziałał na nią swoim urokiem. Przywitał ją bez żadnych wyrzutów. Mały zdrajca.

–Taki jest mały Alex. Zawsze dżentelmen – stwierdziła Jamilla. Była zła. – Jak jego ojciec.

–Chyba to dobrze... ona jest jego matką. Tych dwoje coś łączy, Jam. To skomplikowane.

–Nie, nie dla mnie. Nie dla mnie, nie dla kogoś, kto ma trochę oleju w głowie. Ona go zostawiła, Alex. Oddaliła się o trzy tysiące mil. Kto ci zagwarantuje, że nie wytnie tego numeru po raz drugi?

Do tego wszystko się sprowadzało, no nie?

–Co o tym myślisz? Co byś zrobiła? Parsknęła śmiechem.

–Och, znasz mnie, walczyłabym jak wszyscy diabli. W końcu się uśmiechnąłem.

–I to właśnie zamierzam zrobić. Pokażę Christine, jak wygląda piekło.

Rozdział 73

Na tym nie skończyły się telefony tej nocy. Kiedy tylko rozłączyłem się z Jamillą, a drugi raz rozmawialiśmy minutę, piekielne urządzenie zaczęło dzwonić.

Zastanawiałem się, czy to Christine. To naprawdę nie był dobry moment, żeby rozmawiać o Aleksie. Co mogłaby mi powiedzieć i co ja mógłbym powiedzieć jej?

Ale telefon nie przestawał hałasować. Spojrzałem na zegarek. Było po północy. Co teraz? Wahałem się chwilę, zanim w końcu podniosłem słuchawkę.

–Alex Cross – powiedziałem.

–Alex, tu Ron Burns. Wybacz, że niepokoję cię tak późno. Właśnie lecę do Waszyngtonu z Nowego Jorku. Kolejna konferencja na temat zwalczania terroryzmu. Cholera, teraz nikt nie wie naprawdę, co znaczy to słowo. Ani nikt nie ma pojęcia, jak wykończyć tych drani. Za to każdy ma swoją teorię na ich temat.

–Dajcie im bobu. Jak oni nam – zaproponowałem. – Oczywiście to zburzy spokój sumienia niektórych ludzi. I z pewnością nie jest poprawne politycznie ani społecznie.

Burns się roześmiał.

–Trafiłeś w sedno – odparł. – I nie grzeszysz skromnością...

–Skoro już o pomysłach mowa... – zacząłem.

–Wiem, że jesteś trochę wkurzony – przerwał mi. – Trudno mieć do ciebie pretensje po tym, co się wydarzyło. Biuro wodzi ludzi za nos, powtarzają się stare grzechy, przed którymi cię ostrzegano. Ale musisz coś zrozumieć, Alex. Próbuję obrócić bardzo ociężały transatlantyk, który płynie Potomakiem. Zaufaj mi jeszcze trochę. A przy okazji, czemu wciąż jesteś w Waszyngtonie? Nie w New Hampshire?

Zamrugalem, nic nie rozumiejąc.

–Co się dzieje w New Hampshire? O cholera, niech mi pan nie mówi.

–Mamy podejrzanego. Nikt ci nie powiedział, co? Twój pomysł, żeby śledzić wzmianki w Internecie o Wilczym Gnieździe, wypalił. Mamy kogoś!

Nie mogłem uwierzyć, że słyszę o tym dopiero teraz.

–Nikt nie pisał mi o tym słówka. A po przyjeździe z pracy cały czas siedziałem w domu.

W słuchawce zapadła cisza. Wreszcie Burns powiedział:

–Zaraz zatelefonuję tu i tam. Rano wsiadaj w samolot. Będą cię oczekiwać w New Hampshire. Na pewno będą. I, Alex, zaufaj mi jeszcze trochę.

–No, zaufam. – Jeszcze trochę.

Rozdział 74

Wydawało się to nieprawdopodobne i zwariowane, ale obiektem obserwacji oddziału FBI z New Hampshire był szanowany wykładowca literatury angielskiej w Dartmouth. Niedawno pojawił się w czacie Tabu i chełpił się, że zna pewne szczególne forum internetowe, na którym można kupić, co się chce, „jeśli się ma dość pieniędzy”.

Agent z SIOC nagrał dziwną rozmowę z Panem Potterem... Twój Chłopak: Ile dokładnie trzeba pieniędzy, żeby móc kupić „co się chce”?

Pan Potter: Więcej niż masz, przyjacielu. Zresztą jest skaner siatkówki, żeby nie dopuścić żuli twojego pokroju.

Paczka: To zaszczyt, że taka persona jak ty odwiedza dziś nasz chlew.

Pan Potter: Wilcze Gniazdo jest dostępne tylko przez dwie godziny tygodniowo. Oczywiście żaden z was nie jest zaproszony.

Okazało się, że „Pan Potter” to pseudonim używany przez doktora Homera Taylora. Winny czy nie, doktor Taylor znalazł się pod mikroskopem. Dwanaście dwuosobowych zespołów agentów, pracujących przez osiem godzin na dobę, obserwowało każdy jego krok w Hanowerze. Od poniedziałku do piątku mieszkał w małym wiktoriańskim domku niedaleko college’u i wykładał na uczelni. Był chudym, łysiejącym, starannie ubranym mężczyzną, noszącym angielskie garnitury, kolorowe muszki i celowo niedobre szelki. Zawsze miał minę człowieka zadowolonego z siebie. Od władz college’u dowiedzieliśmy się, że nauczał dramatu okresu elżbietańskiego i restauracji, prowadził również seminarium szekspirowskie.

Był niezwykle popularny. Miał opinię wykładowcy utrzymującego żywe kontakty ze studentami, również z tymi, którzy nie chodzili na jego zajęcia. Był znany z błyskotliwego, zjadliwego poczucia humoru. Często odgrywał różne postaci dramatyczne, tak męskie jak i żeńskie, ale zawsze improwizował, ściągając, jak mówił, pełną widownię.

Uważano go za geja, nikt jednak nie słyszałby kiedykolwiek związał się z kimś na poważnie. Miał wiejski dom pięćdziesiąt mil od Hanoweru, w Webster w New Hampshire, i przeważnie jeździł tam na weekendy. Od czasu do czasu wpadał do Bostonu lub Nowego Jorku i spędził kilka letnich sezonów w Europie. Nigdy nie był zamieszany w żaden incydent ze studentem, chociaż niektórzy chłopcy nazywali go zgredem, kilku mówiło mu to w oczy.

Obserwacja Taylora była niełatwa, biorąc pod uwagę rozmiary uczelnianego miasteczka. Ale do tej pory nasi agenci prawdopodobnie nie zostali zauważeni. Nie mogliśmy jednak być tego pewni. Nie stwierdzono, by robił cokolwiek poza prowadzeniem zajęć i kursowaniem między domem i college’em.

Drugiego dnia pobytu w Hanowerze tkwiłem w samochodzie obserwacyjnym, granatowym crown vicu, razem z agentką Peggy Katz. Moja towarzyszką pochodziła z Lexington w Massachusetts. Była bardzo poważną osobą i do tego zaciekle fanką koszykówki. Mogła rozprawiać godzinami o NBA lub WNBA i tym właśnie zajmowała się podczas obserwacji.

Poza tym tamtego wieczoru towarzyszyli mi Roger Nielsen, Charles Powiesnik i

Michelle Bugliarello. Agent specjalny Powiesnik dowodził. Nie byłem do końca pewien, jaka jest moja pozycja, ale tamci wiedzieli, że zostałem przysłany przez Waszyngton przez samego Rona Burnsa.

–Zacny doktor Taylor wychodzi. To może być ciekawe – usłyszeliśmy w krótkofalówce. Z naszego miejsca nie widzieliśmy jego domu.

–Idzie w waszym kierunku. Wy bierzecie go pierwsi – powiedział agent specjalny Powiesnik.

Katz włączyła światła i podjechaliśmy do rogu. Czekaliśmy, aż Taylor nas minie. Jego toyota 4Runner pojawiła się po minucie.

–Jedzie w kierunku międzystanowej osiemdziesiątki – dziewiątki – zgłosiła Katz. – Porusza się czterdzieści pięć mil na godzinę, nie przekraczając dozwolonej prędkości, co wedle mojego podręcznika każe go podejrzewać. Może jedzie na tę swoją farmę w Webster. Chyba jednak trochę późno na zbieranie pomidorów.

–Każemy Nielsenowi jechać przed nim osiemdziesiątką – dziewiątką. Wy trzymajcie się z tyłu. Michelle i ja będziemy zaraz przy was – powiedział Powiesnik.

Zabrzmiało mi to znajomo i chyba agentce Katz również, ponieważ kiedy tylko się rozłączyła, zamruczała:

–Zaraz.

Po zjeździe z międzystanowej numer osiemdziesiąt dziewięć Taylor skręcił w wąską boczną drogę, a potem w kolejną. Jechał z prędkością blisko sześćdziesięciu mil na godzinę.

–Teraz chyba trochę mu się spieszy – zauważyła Peggy.

Toyota Taylora zjechała na szutrową drogę. Musieliśmy zostać z tyłu, aby nas nie zauważył. Na polach leżała mgła i jechaliśmy powoli, aż udało się nam zaparkować bezpiecznie na poboczu, inne pojazdy FBI jeszcze się nie pojawiły; przynajmniej nie w naszym polu widzenia. Wysiedliśmy z sedana i cofnęliśmy się między drzewa.

Widzieliśmy toyotę Taylora stojącą przed całkowicie ciemnym wiejskim domem. W końcu zamigotało tam jedno światło, po chwili drugie. Agentka Katz milczała i zadawałem sobie pytanie, czy wcześniej uczestniczyła w tak poważnej sprawie. Podejrzewałem, że nie.

–Widzimy toyotę Taylora przed domem – zgłosiła Powiesnikowi. Odwróciła się do mnie i spytała szeptem: – Co teraz?

–Nie nam decydować – odpowiedziałem.

–A jeśli będziemy musieli?

–Poszedłbym tam pieszo. Sprawdziłbym, czy chłopak ze Świętego Krzyża jest w środku. Nie wiemy, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża.

Powiesnik znów nawiązał z nami kontakt:

–My się rozejrzemy, a ty i agent Cross zostańcie, gdzie jesteście, i miejcie oczy otwarte.

Katz odwróciła się do mnie i parsknęła śmiechem, mówiąc:

–Chyba chciał powiedzieć: „Uczcie się”.

–„I podziwiającie” – dodałem.

–„I klaszczcie” – mruknęła Katz. Może wcześniej nie uczestniczyła w żadnej akcji,

ale chyba miała ochotę się sprawdzić. A ja miałem przeczucie, że życzeniom agentki Katz stanie się zadość.

Rozdział 75

–Idzie do stodoły – powiedziałem, wskazując ręką. – To Taylor. Co on robi?

–Powiesnik jest po drugiej stronie domu. Pewnie nie widzi, że Taylor jest na zewnątrz – zauważyła Katz.

–Sprawdźmy, co zamierza.

Zawahała się.

–Ale nie zaprowadzisz mnie pod kule, no nie?

–Nie – odpowiedziałem szybko. Nagle sytuacja się skomplikowała. Chciałem śledzić Taylora, ale czułem również, że muszę ochraniać Katz.

–Chodźmy – zdecydowała w końcu. – Taylor jest poza domem. Idzie w kierunku południowo – zachodnim – zawiadomiła Powiesnika. – Śledzimy go.

Przebiegliśmy około stu jardów. Mieliśmy jeszcze spory dystans do pokonania i nie chcieliśmy stracić z oczu Taylora. Świecił księżyc w drugiej kwadrze, co ułatwiało nam zadanie, ale równocześnie utrudniało, ponieważ Taylor mógł nas dostrzec, kiedy się zbliżaliśmy. Gdyby był czujny, nietrudno byłoby go spłoszyć.

Wydawał się jednak nieświadomy tego, co działo się wokół – przynajmniej do tej pory. To nasunęło mi podejrzenie, że nocą często opuszczał farmę, nie przejmując się tym, iż ktoś go może zobaczyć. To był jego zamknięty rezerwat, no nic? Wszedł do stodoły.

–Powinniśmy znów się połączyć z naszymi ludźmi – zasugerowała Katz.

To nie był zły pomysł, ale obawiałem się, że nadchodzący agenci narobią hałasu. Ilu z nich miało doświadczenie bojowe? W końcu uległem.

–No to się połącz – powiedziałem.

Dotarcie do naszego stanowiska obserwacyjnego zajęło innym agentom kilka minut. Ze stodoły przez szpary między deskami sączyło się światło. Skuleni za wysokimi drzewami, niewiele widzieliśmy i słyszeliśmy.

Nagle ze stodoły gruchnęła muzyka. Rozpoznałem chóralny śpiew Queen. Piosenkę o jeźdźeniu rowerem. Brzmiało to zupełnie absurdalnie w środku nocy, wśród pustych pól.

–Nie wiemy, czy popełnił jakieś przestępstwo – rzekł Powiesnik, przykucając obok mnie.

–Ani czy kogoś porwał – dodałem. – Ale może przetrzymywać kogoś w tej stodole. Może tego chłopaka ze Świętego Krzyża. Taylor wie o istnieniu Wilczego Gniazda, wie nawet o skanowaniu siatkówki. Raczej nie jest niewiniątkiem.

–Bierzemy go – rozkazał starszy agent. – Może być uzbrojony – powiedział do pozostałych. – Jeśli okaże się, że ma broń, macie postępować zgodnie z instrukcjami.

Wyzaczył Nielsena i Bugliarella do pilnowania drugiej strony stodoły, na wypadek gdyby Taylor próbował się tamtędy wydostać. Powiesnik, Katz i ja mieliśmy wejść drzwiami, którymi wszedł podejrzany.

–Jesteś przekonany, że mamy go teraz zaatakować?

–To już zdecydowane – powiedział ściśniętym głosem.

Ruszyliśmy do drzwi stodoły. Queen śpiewał głośno: want to ride my bicycle!

Bicycle! Bicycle! W całej tej akcji było coś dziwnego. Biuro miało znakomity dopływ informacji, jego personel był fantastycznie przygotowany teoretycznie i dobrze wyszkolony, ale dawniej zawsze wkraczałem na miejsce przestępstwa z ludźmi, których znałem i którym ufałem.

Drewniane wrota nie były zamknięte na skobel ani na kłódkę. Widzieliśmy to, kucając w wysokich krzewach, w odległości kilku stóp od stodoły.

Nagle muzyka ucichła.

Usłyszałem głosy dobiegające ze środka. Głosy, nie głos. Ale nie potrafiłem zrozumieć słów.

–Powinniśmy go obezwładnić. Teraz, zaraz – szepnąłem Powiesnikowi. – Nie ma odwrotu. Musimy zaatakować.

–Nie mów mi...

–Właśnie ci mówię – powiedziałem.

Zamierzałem przejąć dowodzenie. Powiesnik za długo się wahał. Kiedy już znaleźliśmy się tak blisko celu, nie powinniśmy się ociążać.

–Wchodzę pierwszy. Wy za mną – poleciłem.

Powiesnik nie odrzucił mojej decyzji, nie klócił się.

Katz nie odezwała się.

Szybko pobiegłem do stodoły, wyciągając broń z kabury. W kilka sekund dotarłem do wrót. Kiedy je otwierałem, zaskrzypiały ciężko. Ze środka trysnęło ostre światło, oślepiając mnie na chwilę.

–FBI! – krzyknąłem ile sił w płucach.

FBI, Jezu!, pomyślałem.

Taylor spojrzał na mnie zaskoczony i przestraszony. Trzymałem go na muszce. Nie miał pojęcia, że jest śledzony. Działał w swojej własnej bezpiecznej strefie, no nie?

W cieniach stodoły dojrzałem jeszcze kogoś. Młodego mężczyznę przywiązanego skórzanymi rzemieniami do drewnianego słupa, wspierającego belkę strychową. Nie miał na sobie ubrania. Niczego. Jego klatka piersiowa i genitalia były zakrwawione. Ale Francis Deegan żył!

–Jesteś aresztowany... Panie Potter!

Rozdział 76

Pierwsze przesłuchanie Pottera odbyło się w małej bibliotece jego wiejskiego domu. Była przytulna i urządzona ze smakiem. W tym niewinnie wyglądającym pomieszczeniu trudno było sobie wyobrazić, że kilka kroków dalej działy się takie straszliwe potworności. Potter siedział na ciemnej drewnianej ławce, skuty, z rękami przed sobą. Spoglądał na mnie. W jego ciemnych oczach gotowała się wściekłość.

Siedziałem naprzeciwko niego na krześle. Przez długą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, a potem rozejrzałem się po pomieszczeniu. Robione na zamówienie regały i szafki zasłaniały wszystkie ściany. Na dużym dębowym biurku komputer, drukarka, szuflady na pisma przychodzące i wychodzące, stosy niepoprawionych prac. Za biurkiem drewniana zielona deseczka z napisem: „Pobłogosław Naszą Mszę”. Nic nie zdradzało prawdziwego charakteru Taylora czy „Pana Pottera”.

Przeleciałem wzrokiem nazwiska na grzbietach książek. Richard Russo, Jamaica Kincaid, Zadie Smith, Martin Amis, Stanley Kunitz.

Krążyła opinia, że Biuro ma zgromadzony niewiarygodny zasób informacji i często wie dużo o zatrzymanym jeszcze przed przesłuchaniem. Tak było w przypadku Taylora. Wiedziałem o jego chłopięcych latach w Iowa, o studiach na uniwersytecie w rodzinnym stanie i w Nowym Jorku. Nikt nie podejrzewał go o jakieś mroczne tajemnice. Tego roku miał awansować i podpisać stałą umowę o pracę, kończył książkę poświęconą Rajowi utraconemu Milтона i artykuł o Johnie Donnie. Wersje robocze tych literackich przedsięwzięć leżały na biurku.

Wstałem i przerzuciłem kartki.

Jest zorganizowany – pomyślałem. Każda część życia w innej przegródce. Coś pięknego.

–Interesujący materiał – powiedziałem.

–Uważaj, nie zrób mi bałaganu – ostrzegł mnie.

–Och, przepraszam. Będę uważał. – Obiecałem to takim tonem, jakby nic, co napisał na temat Milтона czy Donne’a, nie miało już znaczenia. Przejrzałem kolejne półki. Stały tam: Oxford English Dictionary, The Riverside Shakespeare, kwartalniki poświęcone Szekspirowi i Millionowi, Gravity’s Rainbow i Merck Manual.

–To przesłuchanie jest nielegalne. Sam to wiesz. Chcę zobaczyć się z moim adwokatem – powiedział, kiedy znów usiadłem. – Zaraz.

–Och, to tylko taka luźna rozmówka – odparłem. – Towarzyskie gadu – gadu. Czekamy na przyjazd twojego adwokata. Chodzi tylko o to, żeby się poznać.

–Dzwoniono do mojego adwokata? Do Ralpha Guilda w Bostonie? – spytał Taylor.
– Nie rób sobie ze mnie jaj.

–Z tego co wiem, dzwoniono. Jak to było? Zwinęliśmy cię około ósmej rano. A do niego zatelefonowano o wpół do dziewiątej.

Taylor spojrzął na swój zegarek. Jego ciemne oczy zapłonęły.

–Jest dopiero pół godziny po północy! Wzruszyłem ramionami.

–No to nic dziwnego, że twój adwokat jeszcze nie dotarł. Nawet nie zostałeś zatrzymany. Więc uczysz literatury angielskiej, zgadza się? W szkole lubiłem literaturę, masę czytałem, wciąż czytam, ale wolałem nauki ścisłe.

Taylor nie spuszczał ze mnie rozwścieczonego spojrzenia.

–Zapominasz, że zabrano Francisa do szpitala. Na formularzu jest dokładny czas odjazdu karetki. Pstryknąłem palcami i skrzywiłem się.

–Zgadza się. Oczywiście. Zabrali go trochę po dziewiątej. Sam podpisałem formularz. Mam doktorat jak ty. Z psychologii, u Johnsa Hopkinsa, w tym... tam... Baltimore.

Homer Taylor zakołysał się w przód i w tył.

Pokręcił głową.

–Nie zastraszasz mnie, pierdolony dupku. Taki człowieczek jak ty nie zapędzi mnie w kozi róg. Jeszcze się przekonasz. Już wierzę w ten twój doktorat. Może w jakimś wsiowym stanie. Na uniwerku dla buraków.

Zignorowałem te szyderstwa.

–Zabiłeś Benjamina Coffeya? Myślę, że tak. Zaczniemy szukać ciała trochę później, rano. Czemu nie zaoszczędzisz nam zachodu?

Taylor się uśmiechnął.

–Zaoszczędzić wam zachodu? Dlaczego miałbym to zrobić?

–Tak się składa, że jest na to świetne wytłumaczenie. Bo później będziesz potrzebował mojej pomocy.

–No to później zaoszczędzę wam zachodu, kiedy mi pomożesz. – Na jego twarzy ukazał się złośliwy uśmieszek. – Co ty robisz w FBI? – spytał w końcu. – Służysz za żywy dowód zniesienia niewolnictwa?

Uśmiechnąłem się.

–Nie. Tak naprawdę jestem twoją ostatnią deską ratunku. Lepiej z niej skorzystaj.

Rozdział 77

W bibliotece wiejskiego domu byliśmy tylko Potter i ja. Siedział skuty, całkowicie opanowany i pewny siebie, spoglądając na mnie ze złością i groźbą.

–Chcę się widzieć z moim adwokatem – powtórzył.

–Jasne. Ja też bym chciał na twoim miejscu. Zrobiłbym prawdziwą scenę.

Taylor znowu się uśmiechnął. Zęby miał pożółkłe od tytoniu.

–Co z papierosem? Tego chyba mi nie odmówisz? Poczęstowałem go papierosem. Nawet mu go przypaliłem.

–Gdzie pogrzebałeś Benjamina Coffeya? – spytałem po raz drugi.

–Więc naprawdę ty tu rządysz? – spytał. – To ciekawe. Świat się zmienia, co? Czarno to widzę. Zignorowałem te zaczepki.

–Gdzie Benjamin Coffey? – powtórzyłem. – Zakopałeś go gdzieś tutaj? Na pewno.

–Po co pytasz, jeśli z góry znasz odpowiedź?

–Bo nie chcę tracić czasu, rozkopując pola albo osuszając staw.

–Naprawdę nie mogę ci pomóc. Nie znam żadnego Benjamina Coffeya. A Francis był tu oczywiście z własnej woli. Nie mógł wytrzymać w college'u Świętego Krzyża. Nie cierpiał tych ludzi. Jezuici nas nie lubią. No, przynajmniej niektórzy.

–Kogo nie lubią jezuici? Kto oprócz ciebie jest w to wmieszany?

–Jesteś naprawdę zabawny jak na policyjnego nudziarza. Taki kostyczny humor od czasu do czasu to fajna rzecz.

Kopnąłem go w tors, przewracając wraz z ławką. Walnął głową o podłogę. Był zszokowany, a w każdym razie zaskoczony. Przynajmniej trochę go zabolalo.

–To ma mnie wystraszyć? – spytał, kiedy tylko odzyskał oddech. Był wściekły, czerwony na twarzy, żyły nabiegły mu krwią. – Żądam mojego adwokata...! A – dwa – ka – ta! – zawył. – Adwokata! Adwokata! Adwokata! Czy ktoś mnie słyszy?!

Darł się tak ponad godzinę, jak niesforny dzieciak, który nie dostaje tego, czego chce. Pozwoliłem mu się wywrzeszczyć i wyprzeklinać, aż zachrypnął. Wyszedłem na dwór rozprostować nogi, napić się kawy i pogadać z Charliem Powiesnikiem, który okazał się równym gościem.

Kiedy wróciłem, Potter jakby się zmienił. Miał czas przemyśleć wszystko, co wydarzyło się na farmie. Wiedział, że rozmawialiśmy z Francisem Deeganem i że znajdziemy Benjamina Coffeya. Może kilku innych również.

Westchnął głośno.

–Uważam, że moglibyśmy zawrzeć jakieś porozumienie, które może przypadłoby mi do gustu. Obustronnie korzystne porozumienie.

Skinąłem głową.

–Jestem pewien, że moglibyśmy dojść do porozumienia. Ale w zamian potrzebuję czegoś konkretnego. Jak dostałeś tych chłopców? Jak to działa? Muszę się tego dowiedzieć.

Zanim się odezwał, minęło kilka minut.

–Powie ci, gdzie jest Benjamin – rzekł w końcu.

–Pewnie, że mi powiesz.

Odczekałem jeszcze chwilę i znów wyszedłem na dwór pogawędzić z Charliem.

Wróciłem do biblioteki.

–Kupiłem chłopców przez Wilka – wydusił z siebie w końcu Potter. – Ale pożałujesz, żeś się o to spytał. I ja pewnie też. Już on się o to postara. W mojej skromnej opinii, a pamiętaj, rozmawiasz tylko z wykładowcą college’u, Wilk to najbardziej niebezpieczny człowiek, jaki chodzi po ziemi. To Rosjanin. Czerwona mafia.

–Gdzie go znajdziemy? – spytałem. – Jak się z nim skontaktować?

–Nie wiem, gdzie on jest. Nikt tego nie wie. To taki człowiek. Taki ma styl, to jego znak rozpoznawczy. Myślę, że skrytość go podnieca.

Potrzeba było jeszcze kilku godzin rozmów, targów i negocjacji, ale w końcu Potter powiedział mi to, czego chciałem się dowiedzieć o Wilku, tajemniczym Rosjaninie, który zrobił na nim tak wielkie wrażenie. Później zanotowałem: „To na razie nie ma sensu. Tak naprawdę to nic nie ma sensu. Plan Wilka wydaje się szalony. No nie?”.

I napisałem w tymczasowym podsumowaniu:

„Może na tym polega doskonałość tego planu, że wydaje się bez sensu”.

Nam.

Mnie.

CZĘŚĆ CZWARTA

W GNIEZDZIE

Rozdział 78

Stacy Pollack stała poważna i władcza na przedzie sali pełnej agentów na czwartym piętrze Hoovera. To była „jej” sala, przeznaczona tylko na krótkie odprawy. Ja znajdowałem się z tyłu, ale po naszym sukcesie w New Hampshire i aresztowaniu Pottera prawie wszyscy wiedzieli, kim jestem. Uratowaliśmy kolejną uwięzioną osobę. Francis Deegan dochodził już do siebie. Znaleźliśmy również ciało Benjamina Coffeya i dwa inne trupy ofiar płci męskiej, na razie niezidentyfikowane.

–Chociaż nie jestem przyzwyczajona, by sprawy układały się po naszej myśli – zaczęła Pollack, wzbudzając głośnie rozbawienie – przyjmuję do wiadomości ostatni uśmiech losu i składam korne podziękowania siłom wyższym. To wspaniały przełom. Jak wielu z was wie, Wilk był na górze naszej listy członków czerwonej mafii, na samej górze. Podobno macza palce we wszystkim: sprzedaży broni, haraczach, ustawianiu meczów, stręczycielstwie, handlu białymi niewolnicami. Podobno nazywa się Pasza Sorokin i ostrogi w swoim fachu zdobywał na obrzeżach Moskwy. Mówię „podobno”, bo w przypadku tego faceta nic nie jest pewne. Jakoś udało mu się wkręcić do KGB. Przetrwał tam trzy lata. Potem objął stanowisko azzata, szefa rosyjskiego podziemia, ale zdecydował się wyemigrować do Ameryki. Tu znikł jak kamień w wodę.

–Prawdę mówiąc, uważaliśmy, że zginął. Wygląda na to, że jest inaczej, przynajmniej jeśli wierzyć Panu Potterowi. Czy możemy mu wierzyć? – Pollack wskazała na mnie. – Przy okazji... to agent Alex Cross. Zasłużył się podczas ujęcia Pottera w New Hampshire.

–Myślę, że możemy wierzyć Potterowi – powiedziałem. – Wie, że go potrzebujemy. Doskonale zdaje sobie sprawę, że może nam zaproponować coś bardzo istotnego: pomoc przy namierzeniu Sorokina. Poza tym ostrzegał mnie, że Wilk nas zaatakuje. Ten człowiek uważa, że jego misją jest zostać największym gangsterem świata. Według Pottera on już nim jest.

–Więc czemu zajął się rynkiem białych niewolnic? – spytał jeden z agentów. – To nie jest źródło naprawdę wielkich pieniędzy. Za to duże ryzyko. Czemu w tym robi? To jakaś bzdura. Może zostaliśmy wpuśczeni w maliny.

–Nie wiemy, co kieruje jego wyborami. To kłopotliwe, zgadzam się. Może to sprawa jego przeszłości, jakiegoś wzorca – powiedział jeden z nowojorskich agentów zajmujących się rosyjskimi gangsterami. – Zawsze maczał palce we wszystkim, w czym się dało. Jeszcze kiedy operował na ulicach Moskwy. Poza tym sam lubi kobiety. Lubi perwersję.

–Nie wydaje mi się, żeby je lubił – zauważyła agentka z Waszyngtonu. – Zmiłuj się, Jeff.

–Podobno kilka tygodni temu wszedł do klubu w Nowym Jorku i wykończył swoją byłą żonę – kontynuował agent. – Taki ma styl. Kiedyś sprzedał w niewolę swoje dwie kuzynki, które przyjechały z Rosji. Musimy pamiętać, że Pasza Sorokin to człowiek nieznający strachu. Spodziewał się, że umrze młodo w Rosji. Jest

zdziwiony, że wciąż żyje. I lubi żyć na krawędzi ryzyka.

Znów zabrała głos Stacy Pollack:

–Pozwólcie, że powiem wam jeszcze kilka rzeczy, żebyście wiedzieli, z kim mamy do czynienia. Wygląda na to, że Pasza posłużył się CIA, by wydostać się z Rosji. CIA miało go tu przetransportować w zamian za różne informacje. Ale kiedy trafił do USA, nie wywiązał się ze swojej części umowy. Zaczął karierę od sprzedawania niemowląt w swoim brooklyńskim mieszkaniu. Kupcami były zamożne małżeństwa. Mówi się, że jednego dnia sprzedał sześcioro dzieci, biorąc po dziesięć tysięcy od sztuki. Ostatnio naciął bank w Miami na dwieście milionów. Lubi to, co robi, i wyraźnie jest w tym dobry. Wiemy o pewnym forum internetowym, które odwiedza. Może nawet uda się nam dostać na to forum. Pracujemy nad tym. Jesteśmy tak blisko Wilka jak nigdy. Przynajmniej tak nam się wydaje.

Rozdział 79

Tego wieczoru Wilk był w Filadelfii, miejscu narodzin narodu, chociaż nie jego narodu. Nie okazywał tego wcale, ale był niespokojny. Ten dodatkowy ładunek emocji sprawiał mu przyjemność.

Dreszcz niepewności dodawał mu kopa. Przyjemność sprawiało mu również to, że był niewidzialny, że nikt nie wiedział, kim jest, i że mógł iść, gdzie chciał – i robić, co chciał. Dziś wieczorem oglądał mecz Flyersów grających w hali First Union Center przeciwko Montrealowi. Ten właśnie mecz ustawił, ale jak do tej pory nic się nie wydarzyło i to dlatego był niespokojny, a poza tym bardzo zły.

Druga tercja dobiegała końca, a wynik był dwa do jednego. Dla Flyersów! Wilk siedział w środku, cztery rzędy za ławką kar, blisko tafli. Dla odprężenia obserwował widownię: mieszankę vuppies w garniturach i rozluźnionych krawatach i robotniczą brać noszącą wielkie kurtki Flyersów. Prawie wszyscy trzymali kartonowe różki z nacho i wielkie kubki z piwem.

Powrócił wzrokiem do gry. Zawodnicy poruszali się z oszałamiającą prędkością, tnąc ze świstem lód.

Do roboty, do roboty. Zróbcie coś!, popędzał ich w myślach.

Nagle zobaczył, że Ilija Teptew nie zajmuje swojej pozycji. Kij uderzył w krążek. Rozległ się huk jak wystrzał z dubeltówki. Gol dla Canadiens! Z widowni posypały się wyzwiska:

–Ilija, ty gnoju! Poddajesz mecz? Rozległ się głos spikera:

–Gol dla Canadiens, strzelcem jest numer osiemnasty, Stevie Bowen.

Dziewiętnasta minuta, trzydziesta druga sekunda.

Tercja zakończyła się wynikiem dwa do dwóch. Na lód wyjechały maszyny do wygładzania powierzchni. Jedzono kolejne nacho, pito kolejne piwa. Tafla znów była jak szkło.

Przez następne siedemnaście minut wynik pozostał niezmienny. Wilk chętnie udusiłby Teptewa i Dobuszkina. Nagle środkowy ataku Canadiens, Bowen, przebił się przez ospałą obronę i wjechał na połowę Flyers. Strzelił wzdłuż prawej bandy. Przestrzelił! Aleksiej Dobuszkin odzyskał krążek i objechał z nim własną bramkę.

Ruszył w prawo i podał na drugą stronę. Gdy krążek sunął przez światło bramki, wyłapał go Bowen i posłał w róg.

Gol dla Canadiens!

Po raz pierwszy tego wieczoru Wilk się uśmiechnął. Potem odwrócił się do swojego towarzysza. Był nim jego siedmioletni syn Dimitri. Nikt znający Wilka nie uwierzyłby, że ma syna i chodzi z nim na mecze.

–Chodź, Dimka, już jest po wszystkim. Canadiens wygrają. Tak jak ci zapowiadałem. Nie mówiłem ci?

Dimitri nie był przekonany co do wyniku, ale był za mądry, żeby sprzeciwić się ojcu.

–Masz rację, tato – powiedział. – Zawsze masz rację.

Rozdział 80

Tej nocy miałem po raz pierwszy wejść do Wilczego Gniazda. O wpół do dwunastej. Ale żeby zrealizować ten cel, potrzebowaliśmy pomocy Pana Pottera. Dostarczono Homera Taylora do Waszyngtonu. Potrzebowaliśmy jego oczu.

Usiedliśmy jeden obok drugiego w centrum dowodzenia na czwartym piętrze Hoovera, Taylor w kajdankach. Wykładowca był zdenerwowany i wyczuwałem, że zaczyna się wahać, czy dobrze zrobił, prowadząc nas do Wilka.

–Nie wyobrażaj sobie, że cię nie dopadnie. Nie podda się. To szaleniec – ostrzegł mnie po raz kolejny.

–Już dawałem sobie radę z szaleńcami – odparłem. – Umowa nadal stoi?

–Stoi. Jaki mam wybór? Ale pożałujesz tego. Obawiam się, że ja też. – Będziemy cię chronić.

Zmrużył oczy.

–Tak się tylko mówi.

Nie próżnowaliśmy do tej pory. Najlepsi specje od informatyki próbowali różnych programów omijających hasła dostępu, żeby dostać się do Wilczego Gniazda. Nie udało się. Tak jak nie udało się „natarcie siłowe”, mający prowadzić do deszyfracji zalew kombinacjami liter i cyfr. Nic nie skutkowało. Żeby się przebić, potrzebowaliśmy Pana Pottera. Potrzebowaliśmy jego oczu. Układ naczyń krwionośnych siatkówki i plamek tęczówki zapewniał doskonałą metodę identyfikacji. Do odczytu używano słabego źródła światła i transoptora.

Potter przyłożył oko do urządzenia i skupił wzrok na czerwonym punkcie. Zeskanowany wizerunek pomknął w wirtualny świat. Po kilku sekundach uzyskaliśmy dostęp.

Wyprowadzono Taylora z centrum dowodzenia. Noc miał spędzić w więzieniu federalnym w Lorton, a potem wrócić do Nowej Anglii. Przestałem o nim myśleć, ale nie udało mi się przestać myśleć o jego ostrzeżeniach przed Wilkiem. Wziąłem się do pisania.

Pan Potter: Tu Potter.

Mistrz Trekr: Właśnie o tobie mówiliśmy. Pan Potter: To dlatego miałem czkawkę. Zadałem sobie pytanie, czy po raz pierwszy porozumiewam się z Wilkiem. Jeśli tak, to gdzie on był? W jakim mieście?

Znalazłem się w środku uwagi wszystkich w centrum dowodzenia SIOC. Wokół mnie zebrało się kilkunastu agentów i pracowników technicznych. Większość z nich również miała włączone komputery. Centrum wyglądało jak świetnie wyposażona szkolna pracownia informatyczna.

Mistrz Trekr: Naprawdę to nie rozmawialiśmy o tobie, Potter. Ty paranoiku, nigdy się nie zmienisz. Przejrzałem listę innych użytkowników:

Sfinks 3000

ToscaBella

Ludwik XV

Szterling 66

Żadnego Wilka. Czy to znaczyło, że nie był połączony on – line z Gniazdem? A

może być Mistrzem Trekrem? Czy mnie obserwował? Czy zdałem egzamin? Pisałem dalej:

Pan Potter: Potrzebuję zmiennika za Worceстера.

Taylor powiedział mi wcześniej, że pseudonim Francisca Deegana to „Worcester”.

Sfinks 3000: Weź numerek do kolejki. Teraz rozmawiamy o mojej paczce. Mojej dostawie. Teraz moja kolej. Dobrze o tym wiesz, ty świrze.

Nie odpowiedziałem natychmiast. To był mój pierwszy egzamin. Czy Pan Potter przeprosiłby Sfinksa 3000? Chyba nie. Już raczej poczęstowałby go jakąś kostyczną uwagą. A może jednak by przeprosił? Zdecydowałem się chwilowo nie odpowiadać.

Sfinks 3000: Odpiardol się. Wiem, o czym roisz, ty zboczeńcu.

Sfinks 3000: Jak już wcześniej mówiłem, zanim mi przerwano, chcę piękności z południa, im bardziej samolubnej, im większej egoistki, tym lepiej. Chcę lodowatej piękności, którą roztrzaskam. Absolutnie niedostępnej. Nosi Chanel, Miu Miu i biżuterię od Bulgarięgo. Nawet na zakupach w supermarkecie. I oczywiście szpilki. Nieważne, wysoka czy niska. Piękna twarz. Sterczące cycki.

ToscaBella: Co za oryginalność.

Sfinks 3000: Pierdolę oryginalność i proszę wybaczyć, że się powtarzam, ale ty też się odpiardol. Chcę dobrej staromodnej zabawy. Chcę, czego chcę, i zarobiłem na to.

Szterling 66: Coś jeszcze? Chodzi ci o piękność z południa? Dwudziestka? Trzydziestka?

Sfinks 3000: Może być. Taka, jaką opisałem. Albo przynajmniej podobna.

Ludwik XV: Nastolatka?

Szterling 66: Jak długo zamierzasz ją trzymać?

Sfinks 3000: Przez jedną boską noc ekstazy i szalonego zapomnienia... tylko jedną noc.

Szterling 66: A potem?

Sfinks 3000: Zamierzam się jej pozbyć. No więc jak, dostanę swoją boginię?

Obraz na ekranie zastygł.

Nikt nie odpowiadał.

Co się dzieje?, zadałem sobie w duchu pytanie.

Wilk: Oczywiście, że ją dostaniesz. Tylko uważaj, Sfinks. Bardzo uważaj. Zostaliśmy zauważeni.

Rozdział 81

Nie bardzo wiedziałem, jak zareagować na pojawienie się Wilka i jego słowa. Czy powinienem zabrać głos? Czy wiedział, że go tropimy? Skąd mógł wiedzieć?

Szterling 66: A teraz powiedz, co cię dręczy, Panie Potter?

To była moja szansa. Chciałem nawiązać kontakt z Wilkiem. Ale czy mogłem liczyć na powodzenie? Czułem na sobie oczy wszystkich zebranych w centrum dowodzenia.

Pan Potter: Nic mnie nie dręczy. Po prostu jestem gotów odebrać następnego chłopca. Wiecie, że jestem grzecznym odbiorcą. Jak zawsze, no nie?

Szterling 66: Jesteś gotów odebrać następnego chłopca? Właśnie dostałeś Worcestera. Ile to? Tydzień temu?

Pan Potter: Tak, ale on nas opuścił.

Sfinks 3000: To bardzo zabawne. Jesteś uroczy, Potter. Uroczy psychopatyczny morderca.

Sfinks chyba nie lubił Pottera. Musiałem przyjąć, że z wzajemnością.

Pan Potter: Też cię kocham. Powinniśmy się spotkać, nawiązać bliższą znajomość.

Szterling 66: Zakładam, że mówiąc „Odszedł od nas”, chcesz powiedzieć, że nie żyje?

Pan Potter: Tak, drogi chłopiec opuścił ziemski padół. Ale już otrząsnąłem się z rozpacz. Jestem gotów otworzyć nowy rozdział w moim życiu.

Sfinks 3000: Istna komedia. Te przekomarzania zaczęły działać mi na nerwy. Kim, do diabła, byli ci dranie? Gdzie się znajdowali? Poza tym, że w wirtualnym świecie.

Pan Potter: Mam kogoś na uwadze. Obserwuję go od jakiegoś czasu.

Sfinks 3000: Założę się, że jest boski. **Pan Potter:** Och, jak najbardziej. To wyjątkowa osoba. Miłość mojego życia.

Szterling 66: To samo mówiłeś o Worcesterze. W jakim mieście?

Pan Potter: W Bostonie, konkretnie w Cambridge. Student Harvardu. Przygotowuje doktorat. Chyba Argentyńczyk. W lecie ćwiczy kuce do gry w polo.

Szterling 66: Gdzie na niego wpadłeś, Potter?

Pan Potter: Naprawdę na niego wpadłem. Ma ciało z żelaza.

Tę informację dostałem od samego Homera Taylora.

Pan Potter: Byłem na Harvardzie na sympozjum.

Szterling 66: Poświęconym...

Pan Potter: Oczywiście Miltonowi.

Szterling 66: Był wśród słuchaczy?

Pan Potter: Nie... wpadłem na niego w toalecie. Obserwowałem go przez resztę dnia. Dowiedziałem się, gdzie mieszka. Nie spuszczałem z niego oka przez trzy miesiące.

Szterling 66: Więc czemu kupiłeś Worcestera?

Spodziewałem się tego pytania.

Pan Potter: To był impuls. Ale ten chłopiec z Cambridge to prawdziwa miłość. Nic przelotnego.

Szterling 66: Więc masz jego dane? Adres?

Pan Potter: Mam. I przygotowaną książeczkę czekową.

Szterling 66: Nie znajdą Worceстера? Jesteś pewien?

Pisząc, słyszałem głos Pottera w mojej głowie.

Pan Potter: Dobry Boże, nie. Chyba że ktoś popływa w mojej komorze fermentacyjnej.

Sfinks 3000: Ohydne, Potter. Cudowne.

Szterling 66: No cóż, jeśli masz pod ręką książeczkę czekową...

Wilk: Nie. Zaczekamy z tym. To za wcześnie, Potter. Połączymy się z tobą. Jak zawsze miło mi się z wami rozmawiało, ale muszę zająć się innymi sprawami.

Wilk nie odezwał się więcej. Przepadł. Cholera. Pojawiał się i znikał ni stąd, ni zowąd. Jak zawsze tajemniczy. Kim był ten drań?

Rozmawiałem z pozostałymi jeszcze przez kilka minut, żeby wiedzieli, iż byłem zawiedziony odmową i gotów do zakupu. Potem wyszedłem z forum.

Rozejrzałem się po zgromadzonych w sali kolegach. Kilku zaczęło klaskać, częściowo tak sobie, ale w gruncie rzeczy wyrażając mi autentyczne uznanie. Gliniarze glinie. Prawie jak za dawnych czasów. Poczulem się zaakceptowany przez pozostałych. Tak naprawdę to pierwszy raz.

Rozdział 82

Czekaliśmy na znak z Wilczego Gniazda. Każdy z nas chciał za wszelką cenę dopaść Wilka. Był nieuchwytnym zbrojencem i kryminalistą, to raz, ale poza tym FBI potrzebowało sukcesu, wielu tych urobionych po łokcie ludzi potrzebowało sukcesu. Schwytanie Wilka w pułapkę byłoby znakomitym bodźcem do dalszej roboty. Gdybyśmy tylko go znaleźli. A gdybyśmy jeszcze przy okazji dopadli innych kopniętych drani... Takich jak Sfinks. ToscaBella. Ludwik XV. Szterling.

Ale coś nie dawało mi spokoju. Jeśli Wilk rzeczywiście był taki potężny, jeśli odnosił takie sukcesy, czemu się w to wszystko angażował? Czemu maczał palce w różnego rodzaju zbrodniach? Czy dlatego, że był zbrojencem seksualnym? O to chodziło? Był zbokiem? Dokąd prowadziła ta linia rozumowania?

Był zbokiem, więc...

Następne półtora dnia spędziłem w Hooverze. Wpadłem do domu tylko na kilka godzin, zobaczyć się z dziećmi. Podobnie zrobiło wielu innych agentów przypisanych do sprawy, nawet Monnie Donnelley, która była tak samo emocjonalnie zaangażowana jak wszyscy. Nadal zbieraliśmy informacje, zwłaszcza o rosyjskich gangsterach w Stanach, ale przede wszystkim czekaliśmy na wiadomość z Wilczego Gniazda do Pana Pottera. Jedziemy z tym koksem czy nie jedziemy? Na co czekał ten drań?

Kilka razy rozmawiałem z Jamillą, długo i fajnie, a także z Sampsonem, dziećmi i Naną. Nawet z Christine. Musiałem się zorientować, co zamierza w związku z małym Alexem. Po kolejnej rozmowie odniosłem wrażenie, że sama tego nie wie. To dopiero było niepokojące. Kiedy mówiła o wychowywaniu Alexa, wyczuwałem w jej głosie wahanie, chociaż niby gotowa była wystąpić do sądu o przyznanie opieki nad małym. Biorąc pod uwagę wszystko, co przeszła, trudno było mi się na nią gniewać.

Ale raczej byłem gotów dać odciąć sobie prawą rękę, niż oddać synka. Na samą myśl o tym dostawałem pulsującego bólu głowy, który nie ustępował i zatruwał oczekiwanie na rozwój wydarzeń.

Około dziesiątej rano drugiego dnia zadzwonił telefon na moim biurku. Szybko poderwałem słuchawkę.

–Czekasz na telefon ode mnie? Jak leci? – To była Jamilla i chociaż jej głos rozlegał się tuż przy moim uchu, była po drugiej stronie kraju, w Kalifornii.

–Fatalnie – odpowiedziałem. – Tkwię w małym pokoju bez okien z ośmioma spoconymi hakerami z FBI.

–Warunki godne pozazdroszczenia. Rozumiem więc, że ten Wilk w ludzkim ciele nie przysłał odpowiedzi.

–Nie. I nie tylko to. – Opowiedziałem Jamilli o rozmowie z Christine. Nie była tak wyrozumiała jak ja.

–Za kogo ona się ma, do diabła? Porzuciła swojego synka.

–To bardziej skomplikowane, niż myślisz – zaprotestowałem.

–Nie, wcale nieskomplikowane, Alex. Ty zawsze wierzysz ludziom na słowo.

Sądysz, że w gruncie rzeczy wszyscy są dobrzy.

–Chyba masz rację. Dlatego robię to, co robię. Bo większość ludzi jest w gruncie

rzeczy dobra i nie zasługuje na to gównu, które na nich spada.

Jamilla roześmiała się.

–Ale i ty na nie nie zasługujesz. Pomyśl o tym. Ani mały Alex, Damon, Jannie i Nana. No, ale nie pytałeś mnie o zdanie. Zamykam się. Więc jak rozwija się sprawa? Zmieniam temat na miłszy.

–Czekamy na tego rosyjskiego bandziora i jego porąbanych przyjaciół. Wciąż nie mogę pojąć, czemu działa w tej szajce porywaczy.

–Jesteś w kwaterze głównej FBI, tej dziupli Hoovera? Stamtąd dzwonisz?

–Tak, ale dokładnie biorąc, to wcale nie dziupla. To całe sześć pięter przy Pennsylvania Avenue, bo takie są przepisy budowlane w stolicy. I dziesięć pięter w drugim szeregu od ulicy.

–Dzięki za wyczerpujące informacje. Zaczynasz mówić jak funkcjonariusz FBI. Załóżę się, że człowiek dziwnie się tam czuje.

–Nie, ja siedzę za ledwie na czwartym piętrze. Tylko nie wiem, po której stronie.

–Ale śmieszne. Ja czułabym się tam jak po niewidocznej stronie księżycy. Kiedy tylko pomyślę, że mogłabym się znaleźć w gmachu zbudowanym dla J. Edgara Hoovera i że mogłabym być w FBI, dostaję dreszczy!

–Czeka się tak samo, Jamie. Czekanie zawsze jest identyczne.

–Przynajmniej masz przyjaciół, z którymi możesz zabić czas. Przynajmniej masz z kim pogadać przez telefon.

–Żebyś wiedziała. I masz rację, przyjemnie się czeka z tobą.

–Cieszę się, że tak czujesz. Musimy się spotkać, Alex. Musimy się uściskać. Są rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać.

–Wiem o tym. Kiedy tylko ta sprawa się skończy. Obiecuję. Wsiadam w pierwszy samolot. Jamilla znów się roześmiała.

–No to do dzieła, chłopcze. Złap tego psychola, wielkiego złego Wilka. Inaczej wsiadam do samolotu i lecę na wschód.

–Obiecujesz?

–Obiecuję.

Rozdział 83

Siedziałem wśród kilkunastu agentów, wcinających grube kanapki z zimną wołowiną i Kartoffelsalat i popijających ice tea, kiedy Wilcze Gniazdo znów nawiązało kontakt. Określenie „zimna wołowina” miało specjalne znaczenie w FBI, ale to inna historia. Odezwał się Wilk.

Połącz się. Potter, podjęliśmy decyzję w sprawie twojego żądania – brzmiał tekst e – maila.

Wszyscy jedli spokojnie dalej. Ustaliliśmy, że nie ma potrzeby natychmiast kontaktować się z Wilkiem. Gdyby Potter cały czas czekał na wiadomość, mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Wyznaczony agent grał już w Hanowerze rolę doktora Homera Taylora. Rozpuściliśmy informację, że wykładowca ma grypę i przez jakiś czas nie będzie prowadził zajęć. Profesor Taylor od czasu do czasu się pokazywał; wyglądał z okna, przysiadł na werandzie. Z tego co wiedzieliśmy, nikt nie pytał o Taylora w Dartmouth ani w Webster. I tu, i tam prowadziliśmy ścisłą obserwację.

Miałem nadzieję, że agenci operacyjni wiedzą, co robią, i że nie palną jakiegoś głupstwa. Na tym etapie śledztwa nie mieliśmy zielonego pojęcia, jak ostrożny jest Wilk ani czy nie wzbudziliśmy jego podejrzeń. Za mało wiedzieliśmy o tym Rosjaninie. Nie wiedzieliśmy nawet, czy nie ma kogoś w Biurze, kto przekazywałby mu informacje.

Ustalono, że odczekam półtorej godziny, ponieważ Wilk nawiązując kontakt wiedział, że Potter nie jest połączony z Gniazdem. Cały dzień usiłowaliśmy znaleźć forum Wilka lub choćby namierzyć któregoś z jego użytkowników. Bez powodzenia. To oznaczało, że forum zabezpieczył wysokiej klasy specjalista. Eksperci Biura byli przekonani, że się tam włamią, ale na razie tylko na przekonaniu się kończyło.

Znów przywieziono Homera Taylora i zeskanowano mu siatkówkę. Potem usiadłem do komputera i zacząłem pisać. Podszywałem się pod Pottera, tak jak ustaliliśmy z Taylorem.

Wystukałem:

Tu Potter. Dostanę mojego kochanka?

Rozdział 84

Czekałem, aż Wilk odpowie na zwariowane pytanie Pottera. Wszyscy czekaliśmy. Żadnej odpowiedzi. Cholera. Jaki błąd popełniłem? Zagalopowałem się czy jak? Był sprytny. Czyżby znał nasze zamiary? Ale skąd?

–Chwilę poczekam – powiedziałem, rozglądając się po sali. – On wie, że bardzo chcę tego, co może mi zaoferować. Że jestem napalony.

Po kilku minutach wypisałem kolejny raz: Tu Potter.

Na ekranie zaczęły pojawiać się słowa.

Wilk: To zbędne, Potter. Wiem, kim jesteś.

Wypisałem kolejną kwestię „głosem” Taylora.

Pan Potter: To chamskie z twojej strony kazać mi tak czekać. Wiesz, co czuję, na co mnie skazujesz.

Wilk: Skąd mam wiedzieć? To ty jesteś świrem, Potter, nie ja.

Pan Potter: Nieprawda. Właśnie ty jesteś świrem. Najokrutniejszym ze wszystkich.

Wilk: Czemu tak mówisz? Myślisz, że porywam ludzi jak ty?

Serce zaczęło mi bić bardzo szybko. Co chciał przez to powiedzieć? Czy kogoś więził? Więcej niż jedną osobę? Czy to możliwe, że Elizabeth Connolly nadal żyła, mimo że upłynęło już tyle czasu? I inni porwani też? Może tacy, o których nawet nie wiedzieliśmy?

Wilk: Więc powiedz mi coś, pedale. Udowodnij, że ci zależy.

Udowodnić? Jak? Czekałem na bardziej konkretne instrukcje. Ale nie przyszły.

Pan Potter: Co chcesz wiedzieć? Jestem napalony. Nie, nie w tym rzecz. Jestem zakochany.

Wilk: Co spotkało Worceстера? W nim też byłeś zakochany.

Ta rozmowa zmierzała w niebezpiecznym kierunku. Miałem nadzieję, że uda mi się podtrzymać iluzję rozmowy z prawdziwym Homerem Taylorem. Ale niepokoilo mnie jeszcze jedno: czy naprawdę rozmawiałem z Wilkiem?

Pan Potter: Francis nie potrafił kochać. Bardzo mnie rozgniewał. Już go nie ma i więcej nie wróci.

Wilk: I nie będzie żadnych reperkusji?

Pan Potter: Jestem ostrożny. Jak ty. Kocham swoje życie. Nie chcę, żeby mnie złapano. I nikt mnie nie złapie!!!

Wilk: Czy to znaczy, że Worcester jest w kawałkach?

Nie byłem pewien, jak odpowiedzieć. Też podobnym okrutnym żartem?

Pan Potter: Coś w tym rodzaju. Zabawny jesteś.

Wilk: Bądź bardziej konkretny. Podaj mi szczegóły, cholera, Potter. Podaj!

Pan Potter: Czy to test? Nie przepadam za takimi gównami.

Wilk: Wiesz, że to test.

Pan Potter: Komora fermentacyjna. Powiedziałem ci.

Wilk nie odpowiadał. Nerwy miałem napięte jak postronki.

Pan Potter: Więc kiedy dostanę mojego nowego chłopca?

Kilka sekund milczenia.

Wilk: Masz pieniądze?

Pan Potter: Oczywiście.

Wilk: Ile?

Wydawało mi się, że znam odpowiedź na to pytanie, ale nie byłem pewien. Dwa tygodnie wcześniej Taylor wyjął ze swojego rachunku inwestycyjnego u Lehmana w Nowym Jorku sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Pan Potter: Sto dwadzieścia pięć tysięcy. Pieniądze to nie problem. Tylko ciążą mi w kieszeni.

Wilk nie odpowiedział.

Pan Potter: Kazalesz mi nie gadać bez potrzeby.

Wilk: No to gra, może dostarczymy ci twojego chłopca. Ale bądź ostrożny! Może nie być następnego!

Pan Potter: Wtedy nie będzie następnych stu dwudziestu pięciu tysięcy!

Wilk: To mnie nie martwi. Jest dużo takich świrów jak ty. Jeszcze byś się zdziwił.

Pan Potter: Powiedzmy. Jak tam twoi porwani?

Wilk: Muszę wracać do pracy... Jeszcze jedno pytanie, Potter. Na wszelki wypadek. Skąd wzięłeś swój pseudonim?

Rozejrzałem się po sali. O, Chryste – jęknąłem w myślach. Nie przyszło mi do głowy zapytać o to Taylora.

Usłyszałem szept tuż przy moim uchu. To była Monnie.

–Może z książki dla dzieci? Harry’ego Pottera nazywają w Hogwarcie Panem Potterem. Może? Nie wiem.

Co odpowiedzieć? Musiałem coś napisać i nie mogłem się pomylić. Czy pseudonim był zaczerpnięty z książek o Harrym Potterze? Dlatego, że Taylor lubił chłopców? W nagłym przebłysku przypomniałem sobie grzbiet książki widzianej w bibliotece wiejskiego domu Taylora.

Moje palce same zawisły nad klawiaturą. Odczekałem sekundę, a potem wystukałem odpowiedź:

Pan Potter: To absurdalne. Pseudonim jest z powieści Jamaiki Kincaid Pan Potter. Pierdolę cię!

Czekałem na odpowiedź. Wszyscy w sali czekali. Wreszcie nadeszła.

Wilk: Dostarczę ci tego chłopca, Panie Potter.

Rozdział 85

Znów przystąpiliśmy do działania i wróciłem do zadań operacyjnych, tak jak chciałem, jak dawniej.

Wcześniej byłem kilka razy w Bostonie i na tyle polubiłem to miasto, że czułem się w nim swojsko i nawet zastanawiałem się, czy się tam nie przeprowadzić. Przez następne dwa dni obserwowaliśmy studenta, Paula Xaviera, gdy podczas swoich codziennych zajęć kursował między mieszkaniem na Beacon Hill, Harvardem, na którym miał zajęcia, Ritzem – Carltonem, gdzie pracował jako kelner, i takimi popularnymi klubami jak No Borders i Rebuke.

Xavier był naszą „przynętą” zarzuconą na Wilka i jego ekipę porywaczy.

Tak naprawdę rolę Xaviera odgrywał trzydziestoletni agent z naszego oddziału w Springfield w Massachusetts. Nazywał się Paul Gautier. Chłopięcy, przystojny, wysoki i szczupły, o wijących się kasztanowych włosach, wyglądał najwyżej na dwadzieścia kilka lat. Był uzbrojony, ale był również pod ścisłą obserwacją minimum sześciu agentów, pilnujących go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mieliśmy pojęcia, jak zespół Wilka dokona porwania ani kiedy to zrobi, wiedzieliśmy tylko, że to zrobi.

Pół doby odpoczywałem, kolejne pół byłem w składzie obserwatorów – ochroniarzy Gautiera. Przestrzegałem przed niebezpieczeństwami używania „przynęty” do łapania kidnaperów, ale wszyscy byli mądrzejsi ode mnie.

Drugiej nocy obserwacji Paul Gautier udał się zgodnie z planem na spacer wzdłuż Muddy River, w pobliżu Park Drive i Boylston Street. Namierzone przez nas miejsce nazywało się Back Bay Fens, w skrócie Fens, i zostało zaprojektowane przez Fredericka Lawa Olmsteda, który stworzył również Boston Common i Central Park w Nowym Jorku. Prawdziwy Paul Xavier często włóczył się tam nocą, po zamknięciu klubów, szukając partnerów erotycznych, dlatego też posłaliśmy w to miejsce naszego agenta.

Było to niebezpieczne zajęcie dla nas wszystkich, zwłaszcza dla Gautiera. Teren był nieoświetlony. Wysokie trzciny rzeczne zasłaniały przygodnych kochanków i porywaczy.

Agentka Peggy Katz i ja staliśmy na brzegu obszaru zarośniętego trzcinami. Przypominały włościcę czerwoną. Podczas ostatniej półgodziny Peggy przyznała się, że tak naprawdę wcale nie pasjonuje się sportami, ale przegląda wiadomości o koszykówce i futbolu, żeby móc o czymś rozmawiać z kolegami w pracy.

–Mężczyźni rozmawiają także o innych sprawach – powiedziałem, obserwując Fens przez noktowizor.

–Wiem. Mogę też rozmawiać o pieniądzach i samochodach. Ale nie będę rozmawiać z wami o seksie, wy napalone dranie.

Parsknąłem śmiechem. Katz była dowcipna. Potrafiła być uszczypliwa, ale na wesoło, i umiała rozbawić rozmówcę, nawet gdy to on był celem jej żartów. Ale wiedziałem też, że jest twarda i nieustępliwa.

–A ty czemu wstąpiłeś do Biura? – spytała, gdy nadal czekaliśmy na Gautiera. – Dobrze ci szło w policji waszyngtońskiej, no nie?

**–Całkiem nieźle. – Zniżyłem głos i wskazałem pustą przestrzeń przed nami. –
Idzie.**

**Agent Gautier właśnie wyszedł z Boylston Street. Kroczył z wolna w kierunku
Muddy River. Znałem doskonale ten obszar, bo wcześniej dokonałem rozpoznania.
Tę część parku nazywano „ogródkami”. Okoliczni mieszkańcy hodowali tu kwiaty i
warzywa. Wszędzie stały tabliczki, proszące nocnych gości o nie deptanie roślin.**

W słuchawkach usłyszałem szept dowódcy zespołu, Rogera Nielsena:

–Mężczyzna w wełnianej czapce, Alex. Mocno zbudowany. Widzisz go?

–Widzę – odparłem.

**Wełniana Czapka mówił do mikrofonu przypiętego do kołnierzyka sportowej
koszuli. To nie był żaden z naszych, więc musiał być jednym z nich, ze stada Wilka.**

**Zacząłem przeczesywać wzrokiem teren, szukając jego partnera lub partnerów.
Ekipa porywaczy? Zapewne. Kim innym mogli być, do diabła?**

–Chyba ma mikrofon – powiedział Nielsen. – Widzisz?

**–Wyraźnie, Widzę też innego podejrzanego. Bliżej ogródków, na lewo od nas –
zgłosiłem. – Również mówi do mikrofonu przy kołnierzyku. Zbliżają się do Gautiera.**

Rozdział 86

Było ich trzech, potężnie zbudowanych mężczyzn, i zaczęli zacieśniać krąg wokół Paula Gautiera. Równocześnie my zaczęliśmy zacieśniać krąg wokół nich. Wyjąłem z kabury mojego glocka, ale nie byłem przekonany, czy jestem w pełni przygotowany na to, co może się wydarzyć w tym małym mrocznym parku.

Kidnaperzy trzymali się blisko Park Drive i przewidywałem, że zaparkowali tam vana lub półciężarówkę. Wyglądali na pewnych siebie i nie obawiających się niczego. Robili to już wcześniej: porywali zakupionych ludzi, kobiety i mężczyzn. Byli zawodowymi porywaczami.

–Zgarnijcie ich teraz – doradziłem starszemu agentowi Nielsenowi. – Gautier jest w niebezpieczeństwie.

–Poczekajcie, aż go dopadną – padła odpowiedź. – Mamy zrobić to jak należy. Czekać.

Nie zgadzałem się z Nielsenem i nie podobał mi się rozwój wydarzeń. Po co to czekanie? Byliśmy daleko od Gautiera, a w parku panowała ciemność.

–Gautier jest w niebezpieczeństwie – powtórzyłem. Jeden z mężczyzn, blondyn w wiatrówce Boston Bruins, pomachał mu ręką.

Gautier przyjrzał się nadchodzącemu, skinął mu głową i uśmiechnął się do niego. Blondyn miał małą latarkę. Oświetlił twarz Gautiera.

Słyszałem ich rozmowę.

–Ładna noc na spacer – zagadnął blondyna Gautier i roześmiał się. Był zdenerwowany.

–Spacerujemy, szukając miłości – powiedział blondyn. Mówił z rosyjskim akcentem.

Dzieliło ich tylko kilka stóp. Pozostali porywacze trzymali się dalej, ale niewiele dalej.

Nagle blondyn błyskawicznym, płynnym ruchem wyjął z kieszeni pistolet i przyłożył go Gautierowi do policzka.

–Idziesz ze mną. Nikt nie robi ci krzywdy. Tylko chodź. Tak dla ciebie lepiej.

Dwóch pozostałych dołączyło do Gautiera i blondyna.

–Robisz błąd – powiedział Gautier.

–Och, a czemuż to? – spytał blondyn. – To ja mam broń, nie ty.

–Brać ich. Już! – rozkazał Nielsen. – FBI! Ręce do góry. Cofnąć się od niego! – krzyknął, kiedy bieглиśmy do nich.

–FBI! – rozległ się drugi okrzyk. – Wszyscy ręce do góry!

To był początek pandemonium. Pozostali dwaj porywacze wyjęli broń. Blondyn wciąż trzymał pistolet przy głowie agenta Gautiera.

–Cofnąć się!!! – wrzasnął. – Zastrzelę go na miejscu! Rzućcie broń! Zastrzelę go, obiecuję! Nie blefuję.

Nasi agenci nadal powoli zbliżali się do tamtych.

I nagle wydarzenia przybrały najgorszy obrót – blondyn strzelił agentowi Paulowi Gautierowi w twarz.

Rozdział 87

Jeszcze nie umilkł huk wystrzału, a trzech mężczyzn rzuciło się do ucieczki. Dwaj popędzili w kierunku Park Drive, a atletyczny blondyn, który strzelił do Gautiera, pognął sprintem w Boylston Street.

Był wielkim facetem, ale poruszał się z niezwykłą prędkością. Przypomniałem sobie słowa Monnie Donnelley. Mówiła, że rosyjska mafia czasem rekrutowała znanych rosyjskich lekkoatletów, nawet byłych olimpijczyków. Czy blondyn to był sportowiec?, zadawałem sobie pytanie. Poruszał się, jakby nim był. Wymiana zdań, strzał i pozostałe okoliczności zdarzenia uświadomiły mi, że wiemy bardzo niewiele o rosyjskich gangsterach. Jakie są ich metody działania? Jak myślą?

Pobiegłem za nim, nadmiar adrenaliny rozszedł mi się po ciele jak wybuchające paliwo raketowe. Nadal nie mogłem uwierzyć w to, co się wydarzyło. Można było uniknąć nieszczęścia. A teraz Gautier prawdopodobnie nie żył, prawie na pewno nie żył.

–Brać ich żywcem! – krzyknąłem, biegnąc. Powinno to być oczywiste, ale inni agenci z pewnością mieli przed oczami padającego kolegę. Nie wiedziałem, ile akcji, ile starć widzieli do tej pory. A nam bardzo zależało na przesłuchaniu kidnaperów.

Dostałem zadyszki. Może przydałoby mi się więcej zaprawy fizycznej w Quantico, może ostatnio spędzałem za dużo czasu przy biurku.

Goniłem jasnowłosego mordercę przez zadrzewioną dzielnicę willową. Po chwili drzewa zaczęły się przeredzać i w oddali zamigotały wieżowce Prudential Center i Hancock. Obejrzałem się. Za mną była trójka agentów, w tym Peggy Katz, która wyciągnęła broń.

Uciekinier zbliżał się do Hynes Convention Center. Miał na karku czterech agentów FBI. Zmniejszyłem dystans, ale w niewystarczającym stopniu. Zadawałem sobie pytanie, czy wreszcie uśmiechnęło się do nas szczęście.

Czy ten mężczyzna przede mną to Wilk?, zastanawiałem się. Został przyłapany na gorącym uczynku, zgadza się? W takim razie będziemy mogli oskarżyć go o morderstwo.

Ale jeszcze go nie złapaliśmy i wciąż miał zapas energii. Jak średniodystansowiec.

–Zatrzymać się! Będziemy strzelać! – krzyknął jeden z agentów za mną. Ale jasnowłosy Rosjanin się nie zatrzymał. Ślizgając się, skręcił ostro w boczną ulicę. Była węższa i ciemniejsza niż Boylston. Jednokierunkowa. Zastanawiałem się, czy wcześniej przeanalizował drogę ucieczki. Prawdopodobnie nie.

To było niesłychane: nawet się nie zawahał, strzelając do Gautiera. „Nie blefuję”, powiedział. Kogo stać na takie nonszalanckie morderstwo? Na oczach tyłu agentów FBI?

Może to Wilk?, pomyślałem. Podobno jest nieustraszony i bezwzględny, pewnie nawet szalony. A może to jeden z jego przybocznych? Ci rosyjscy gangsterzy okazali się nieprzewidywalni.

Słyszałem głośny stukot butów, uderzających o nawierzchnię kilkadziesiąt jardów przede mną. Zbliżyłem się trochę do Rosjanina, łapałem drugi oddech.

Nagle odwrócił się błyskawicznie i... strzelił do mnie!

Rzuciłem się na ziemię, ale zaraz się zerwałem, kontynuując pościg. Zobaczyłem wyraźnie jego twarz – szeroką, płaską, ciemne oczy. Mógł mieć jakieś trzydzieści pięć do czterdziestu pięciu lat.

Znów się odwrócił, stanął na szeroko rozstawionych nogach i strzelił.

Kucnąłem za parkującym samochodem. Usłyszałem krzyk. Odwróciłem się i zobaczyłem, że jeden z agentów pada. Mężczyzna. Doyle Rogers. Blondyn odwrócił się i znów pobiegł. Ale już wiedziałem, że go dopadnę. Co potem? Był gotów umrzeć.

Za moimi plecami huknął strzał. Blondyn upadł jak długi na twarz. Widziałem to wyraźnie, ale trudno mi było uwierzyć własnym oczom.

Już się nie poruszył. Zastrzelił go któryś z agentów biegnących za mną. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Peggy Katz nadal klęczy w pozycji strzeleckiej.

Sprawdziłem, co z Rogersem i okazało się, że agent jest tylko ranny w bark. Poza tym czuł się dobrze. Wróciłem do Fens. Znalazłszy się tam, dowiedziałem się, że Paul Gautier żyje. Ale dwaj pozostali kidnaperzy uciekli. Dopadli auta na Park Drive i nasi agenci ich zgubili. Złe wieści, najgorsze.

Cała nasza operacja zawaliła się i zostaliśmy z pustymi rękami.

Rozdział 88

Chyba nigdy przez wszystkie lata pracy w policji waszyngtońskiej, a może w ogóle w policji, nie byłem równie przygnębiony po zakończeniu akcji. Jeśli wcześniej miałem jeszcze jakieś złudzenia, to teraz prysły. Popełniłem błąd, przechodząc do FBI. Metody działania federalnych były zupełnie inne niż te, do których przywykłem. Kurczowo trzymali się podręczników, instrukcji, po czym nagle robili wszystko na opak! Mieli cały arsenał środków i gigantyczny zasób informacji, ale podczas działań operacyjnych często wyłaziła z nich amatorszczyzna. Byli wśród nich świetni pracownicy i istne ofiary losu.

Po strzelaninie w Bostonie pojechałem do oddziału. Wszyscy zebrani funkcjonariusze byli w stanie głębokiego szoku. Nie mogłem ich winić. Zrobiło się jedno wielkie bagno. Jedno z najgorszych, w jakie wdepnąłem. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że o naszej klęsce zdecydowały w dużym stopniu decyzje starszego agenta Nielsena, nie miało to jednak teraz znaczenia. Klęska operacji była klęską nas wszystkich. Dwaj agenci, którzy postawili na szalę swoje życie, zostali ranni; jeden był o krok od śmierci. Może niesłusznie, ale czułem się częściowo odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. Mówiłem Nielsenowi, że musimy jak najszybciej iść z pomocą Paulowi Gautierowi, ale mnie nie posłuchał.

Na nieszczęście mężczyzna, którego ścigałem, zmarł. Pocisk Katz trafił go w kark i wylatując, wyszarpnął gardło. Kidnaper zapewne umarł na miejscu. W jego portfelu było sześćset dolarów i nic poza tym. Miał tatuaże na plecach i ramionach. Węża, smoka i czarnego niedźwiedzia, napisy cyrylicą, których dotychczas nikt nie odszyfrował. Więzienne pamiątki. Zakładaliśmy, że był Rosjaninem. Ale nie mieliśmy nazwiska, dokumentu tożsamości, żadnych dalszych śladów.

Trupowi zrobiono zdjęcie, pobrano odciski palców i wysłano jedno i drugie do Waszyngtonu. Tam miano porównać je z danymi, więc my w Bostonie mieliśmy niewiele do roboty, póki czegoś się nie dowiemy. Po kilku godzinach odnaleziono forda explorera, którym posłużyli się dwaj zbiegli porywacze. Stał na parkingu za sklepem w Arlington, w Massachusetts. Z tego samego parkingu znikł inny samochód. Ale pewnie został już zamieniony na kolejny.

Klęska na całej linii, kołatało mi się w głowie. Gorzej być nie mogło.

Siedziałem sam w sali konferencyjnej, kryjąc twarz w dłoniach, kiedy wszedł jeden z miejscowych agentów. Wycelował we mnie oskarżycielsko palec.

–Gabinet dyrektora Burnsa na linii.

Dostałem rozkaz powrotu do Waszyngtonu. Po prostu i zwyczajnie. Burns nie chciał żadnych wyjaśnień, nie przedstawił żadnych zarzutów na temat tego, co się wydarzyło w Bostonie. Widocznie chodziło o to, żebym nie znał opinii Biura ani samego dyrektora. Nie powiem, żeby taki sposób traktowania ludzi budził moje uznanie.

O szóstej rano zjawiłem się w apartamentach SIOC. Nie spałem w nocy. Wszyscy wokół mieli pełne ręce roboty i byłem zadowolony, że nikt nie ma czasu rozmawiać o postrzeleniu dwóch agentów w Bostonie.

Kilka minut po moim przyjsciu pokazała się Stacy Pollack. Wyglądała na podobnie

wypompowaną jak ja, ale położyła mi rękę na ramieniu i oświadczyła:

–Wszyscy wiemy, że ostrzegałeś przed niebezpieczeństwem grożącym Gautierowi i chciałeś przyspieszyć początek akcji. Rozmawiałam z Nielsenem. Potwierdził, że to była jego decyzja.

Skinałem głową, nie mogłem się jednak powstrzymać, by nie powiedzieć:

–Może powinnaś najpierw porozmawiać ze mną. Zmrużyła oczy, ale nie kontynuowała tematu. Po chwili stwierdziła:

–Jest coś jeszcze. Mieliśmy trochę szczęścia. Większość z nas pracowała tu przez całą noc. Skupiliśmy się na transferze pieniędzy dla Wilczego Gniazda. Wykorzystaliśmy nasze źródło informacji w świecie finansów. To Morgan Chase, nadzorujący międzynarodowe operacje banku. Udało mu się wykryć, że pieniądze wyszły z Kajmanów. Monitorowaliśmy każdy przelew z zagranicy do USA. Nasz konsultant, Robert Hatfield, powiedział, że wtedy zaczął się prawdziwy taniec. Polecenie przelewu szło od Nowego Jorku przez Boston, Detroit, Toronto, Chicago i kilka innych miast. Ale wiemy, gdzie wylądowały w końcu te pieniądze.

–Gdzie? – spytałem.

–W Dallas. Trafiły do Dallas. I znamy nazwisko odbiorcy przelewu. Mamy nadzieję, że to Wilk. W każdym razie wiemy, gdzie mieszka. Lecisz do Dallas.

Rozdział 89

Najwcześniejsze porwania, które udało się nam wyśledzić, nastąpiły w Teksasie. Teraz zastęp agentów i analityków jeszcze raz wziął je pod lupę. Każdy szczegół kolejnej sprawy był prześwietlany do dziesiątej strony, badany i analizowany w nieskończoność. Dane dotyczące miejsca zamieszkania i zatrudnienia podejrzanego tworzyły najbardziej imponujący zbiór, z jakim zetknąłem się dotychczas jako policjant. Chyba żaden miejski wydział policji, może z wyjątkiem służb Nowego Jorku i Los Angeles, nie byłby w stanie dokonać tak gigantycznego dzieła.

Biuro zgromadziło wszelkie dostępne informacje na temat człowieka, który otrzymał od nas pieniądze za pośrednictwem banku na Kajmanach. Lawrence Lipton mieszkał w High Oakland Park, zamożnej enklawie na północ od centrum Dallas. W High Oakland Park ulice biegły wzdłuż strumieni, pod koronami magnolii, dębów i hikory. Większość posesji była wymyślnie – i za niemałe pieniądze – zaprojektowana, a za dnia widziało się tam jedynie dostawców, niańki, sprzątaczkę i ogrodników.

Ale zebrane przez nas informacje nie obciążały Liptona. Uczęszczał do prestiżowej szkoły Świętego Marka, a potem studiował na Uniwersytecie Teksaskim w Austin. Jego rodzina i rodzina jego żony pochodziły z Dallas i od dawna siedziały w nafcie, Lawrence jednak zwinął swoje dotychczasowe interesy i teraz był właścicielem winnicy w Teksasie, funduszu inwestycyjnego i dobrze prosperującej firmy informatycznej. Ta ostatnia działka zwróciła uwagę Monnie Donnelley, a także moją.

Lipton sprawiał wrażenie człowieka bez skazy i zmazy. Zasiadał w zarządach muzeum sztuki w Dallas, biblioteki publicznej, szpitala Baylor i był dziekanem Pierwszego Zjednoczonego Kościoła Metodystów.

Czy on może być Wilkiem?, zadawałem sobie pytanie. Nie, to wydawało się niemożliwe.

Drugiego dnia pobytu w Dallas wziąłem udział w porannej odprawie w biurze oddziału. Starszy agent Nielsen nadal kierował sprawą, ale wszyscy jasno zdawali sobie sprawę, że Ron Burns trzyma rękę na pulsie, siedząc w Waszyngtonie. Nikt z nas nie byłby zaskoczony, gdyby szef we własnej osobie pokazał się na odprawie.

O ósmej rano Roger Nielsen pojawił się w wypełnionej agentami sali. W dłoni miał podkładkę do notowania, a na niej materiały.

–Wczoraj w nocy nasi w Waszyngtonie nie zasypiali gruszek w popiele – zagał.

Najwyraźniej ostre tempo pracy nie wprawiło go w podziw ani nie zaskoczyło. Takie zapewne były standardowe procedury operacyjne w sprawach, które znalazły się w centrum zainteresowania mediów.

–Chcę zapoznać was z ostatnimi informacjami na temat Lawrence’a Liptona. Najważniejsza brzmi: Lipton prawdopodobnie nie ma żadnych kontaktów z KGB ani z rosyjskimi organizacjami przestępczymi. Może jeszcze coś wypłynie, ale może potrafi świetnie zacierać ślady. W latach pięćdziesiątych jego ojciec przeniósł się z Kentucky do Teksasu szukać fortuny „na prerii”. Wygląda na to, że znalazł ją pod prerią, na polach naftowych zachodniego Teksasu.

Przerwał i rozejrzał się powoli po twarzach zebranych agentów.

–Wyszła jedna ciekawa sprawa – podjął po chwili. – Wśród należących do niego firm jest agencja Bezpieczna Okolica. To prywatna firma ochroniarska. Ostatnio Lawrence Lipton otoczył się uzbrojonymi ochroniarzami. Zastanawiam się dlaczego. Kto nie daje mu spokoju? My czy ktoś inny? A może boi się wielkiego złego Wilka?

Rozdział 90

Gdyby to nie było tak niewiarygodnie przerażające, byłoby niewiarygodnie zdumiewające. Lizzie Connolly wciąż była wśród żywych. Nie załamała się dzięki temu, że była gdzie indziej – wszędzie, tylko nie w tej koszmarnej garderobie z tym kompletnym szaleńcem, wpadającym tu dwa, trzy, czasem pięć razy dziennie.

Przeważnie uciekała w marzenia. Kiedyś, dawno temu, bardzo dawno temu, jak się jej wydawało, nazywała swoje córki Wesolą Jagódką, Cukrową Laleczką, tak właśnie. Ciągłe śpiewały wesołe piosenki, zwłaszcza te z przygód Mary Poppins.

Miały pomysły dające pozytywną energię. Lizzie nazywała je „szczęśliwymi myślami”, i zawsze opowiadały je jedna drugiej. I oczywiście Brendanowi.

Co takiego jeszcze pamiętała? Co? Nic?

Przez ich dom przewinęło się tyle zwierząt, że w końcu zaczęły nadawać im numery.

Chester, czarny labrador, z ogonem puszystym jak u czau – czau, miał numer 16. Bez przerwy szczekał, dzień i noc, aż Lizzie pokazała mu, ale tylko pokazała, słowo honoru, butelkę tabasco. To był czarodziejski środek na Chestera. Zawsze się wtedy uspokajał.

Księżę, numer 15, był krótkowłosym kotem tricolore. Lizzie wierzyła, że w poprzednim wcieleniu był starą Żydówką, która zawsze kwękała: „O, nie, nie, nie”.

Maximus Kiltimus nosił numer 11, Szczotka numer 31, a kotka Mała była numerem 35.

Lizzie Connolly miała tylko wspomnienia, ponieważ nie miała żadnej terażniejszości. Żadnej.

Nie mogła być w tym domu grozy.

Musiała być gdzie indziej, byle gdzie, ale nie tu.

Nie tu!

Nie tu!

Nie tu!

Bo teraz on był w niej w środku.

Wilk był w niej w prawdziwym świecie, stękając i pracując jak zwierzę, niewolił ją i gwałcił przez długie minuty, ciągnące się jak godziny.

Ale to Lizzie śmiała się ostatnia.

Nie było jej tu.

Była gdzie indziej. We wspomnieniach.

Rozdział 91

A potem w końcu poszedł sobie, ten groźny, okrutny Wilk. Potwór! Bestia! Pozwolił jej się umyć, skorzystać z toalety, dał jeść i teraz sobie poszedł. Boże, to szczyt arogancji tak ją niewolić!

Kiedy mnie zabije?, zastanawiała się. Ja zwariuję! Zwariuję! Zwariuję!

Wytężała zalane łzami oczy, próbując coś dojrzeć w kompletnej ciemności. Znow ją związał i zakneblował. Ale to natchnęło ją jakąś dziwną otuchą. To oznaczało, że wciąż jej pragnie, prawda?

Dobry Boże, żyję, bo ta potworna bestia wciąż mnie pożąda, powtarzała w myślach. Błagam, pomóż mi, dobry Boże. Błagam, błagam, pomóż mi.

Myślała o swoich ukochanych córkach, a potem oddała się rozmyślaniam o ucieczce. Wiedziała, że to czysta fantazja, bo mogła uciec tylko w marzeniach.

Poznała garderobę jak własną kieszeń, ciemność w niczym jej nie przeszkadzała. Jakby widziała wszystko, jakby potrafiła widzieć w ciemności. Najbardziej była świadoma swojego ciała i swojej uwięzionej duszy.

Maczała rękami najdalej, jak się dało. W garderobie były ubrania, męskie, jego ubrania. Najbliżej wisiało coś w rodzaju sportowej marynarki z okrągłymi gładkimi guzikami. Może klubówka? Bez podszewki, co utwierdziło ją w przekonaniu, że jest to miasto w ciepłej strefie klimatycznej.

Następna była koszulka polo. W kieszeni piłeczka, twarda, może golfowa. Do czego nadawała się piłka golfowa? Czy mogła posłużyć jej jako broń?

Kieszeń koszulki miała zamek błyskawiczny. Co mogła zrobić zamkiem błyskawicznym? Chciałaby przyciąć nim jego tatuowanego kutasa!

Potem wiatrówka. Ze śliskiego materiału. Biła od niej mocna woń tytoniu, od której Lizzie zbierało się na wymioty. A potem coś, co najbardziej lubiła dotykać, miękkie, może kaszmirowy płaszcz.

W kieszeniach płaszczka były prawdziwe skarby.

Luźny guzik. Kawałki papieru. Z notatnika?

Cienkopis. Drobne – cztery dwudziestopięciocentówki, dwie dziesiątki, pięciocentówka. A może monety były zagraniczne? Zastanawiała się nad tym bez końca.

Była tam również książeczka papierowych zapalek z wytłaczanym napisem.

Co jest napisane na tej książeczce? Może nazwa miasta, w którym była więziona? Zapalniczka.

Pudełeczko cukierków, na pewno o cynamonowym smaku, bo czuła ten zapach na swoich dłoniach.

A na dnie kieszeni klaczki materiału, zwykle rzecz nieważna, ale mogąca odegrać istotną rolę w jej zamiarach.

Za płaszczem dwa plastikowe worki z ubraniami z pralni. W kieszeni pierwszego karteczka przypięta zszywką.

Wyobrażała sobie nazwę pralni i numer identyfikacyjny, wypisany na czerwono przez pracownika czy pracowniczkę pralni.

Wszystko to miało dla niej znaczenie, bo co innego jej pozostało?

**Poza potężną wolą przeżycia.
I pragnieniem zemsty na Wilku.**

Rozdział 92

Byłem członkiem dużego zespołu obserwacyjnego, który pilnował domu w Highland Park. Spodziewałem się, że niebawem zgarniemy Lawrence'a Liptona, że to tylko kwestia godzin. Powiedziano nam, że Waszyngton współpracuje z policją w Dallas.

Wpatrywałem się bezmyślnie w dom o szesnastu pokojach, sporą dwupiętrową budowlę w stylu Tudorów, położoną na dwuipółakrowej, bardzo kosztownie urządzonej posesji. Prezentował się bez zarzutu. Ścieżka z czerwonej kostki biegła od ulicy do hakowatego wejścia. W Dallas wiadomością dnia był pożar w Kessler Park, który pochłonął ogromną rezydencję o powierzchni sześćdziesięciu czterech tysięcy stóp kwadratowych. Dom Lip tonów był znacznie mniejszy, ale mimo to robił wrażenie i przytłaczał.

Było koło dziewiątej wieczorem. W słuchawkach usłyszałem głos agenta nadzorującego z oddziału w Dallas, Josepha Denyeau:

–Właśnie przyszła wiadomość z biura dyrektora. Mamy się natychmiast wycofać. Nie rozumiem tego, ale rozkaz jest wyraźny. Wycofać się! Wszyscy do oddziału. Musimy przeprowadzić rozpoznanie i omówić wyniki.

Popatrzyłem na siedzącego w samochodzie agenta Boba Shawa, mojego partnera tego wieczoru. Niech to diabli. On też najwyraźniej nie miał pojęcia, co się wyprawia.

–O co im chodzi? – spytałem.

Shaw pokręcił głową i przewrócił oczami.

–Skąd mam wiedzieć? Wrócimy do oddziału, napijemy się wstrętnej kawy i może ktoś z góry coś nam wyjaśni, ale nie na pewno.

Przejazd o tak późnej porze trwał tylko kwadrans. Wmaszerowaliśmy do sali konferencyjnej i naszym oczom ukazało się wielu zmęczonych, zbitych z tropu i wkurzonych agentów. Nikt nie miał ochoty się odzywać. Wyglądało na to, że jesteśmy blisko przełomu w śledztwie, a tu padł rozkaz odwrotu. Nikt nie wiedział dlaczego.

Agent nadzorujący, Joseph Denyeau, w końcu wyszedł ze swojego gabinetu i dołączył do reszty. Z wyrazem obrzydzenia na twarzy położył nogi w zakurzonych kowbojskich butach na stole.

–Nie mam pojęcia, co jest grane – oświadczył. – Żadnego, chłopcy. Możecie uważać odprawę za skończoną.

Tak więc około czterdziestu agentów czekało na wyjaśnienie tego, co wydarzyło się w nocy, ale nie dowiedziało się niczego, nie było też mowy o żadnym „wprowadzeniu w sprawę”. Agent dowodzący, Roger Nielsen, zadzwonił do Waszyngtonu i usłyszał, że oddzwonią. Na razie mamy odetchnąć. Może nawet mieliśmy zostać odesłani na noc do domów.

Około jedenastej Denyeau dostał kolejne wiadomości od Nielsena i przekazał je nam.

–Siedzą nad tym – powiedział i uśmiechnął się krzywo.

–Nad czym? – krzyknął ktoś z tyłu.

–Do diabła, nie wiem, Donnie. Może po prostu siedzą na dupie. Może zastanawiają

się, jak by tu wywalić nas wszystkich z Biura. Wtedy nie byłoby już agentów i pewnie media nie mogłyby więcej donosić o kolejnych żenujących wpadkach. Jadę się przepaść. Wam radzę zrobić to samo.

Zrobiliśmy tak, jak nam radził.

Rozdział 93

Wróciliśmy do oddziału o ósmej rano następnego dnia. Kilku agentów wyglądało na trochę wymiętych po wolnej nocy. Na wstępie okazało się, że dyrektor Burns jest na linii i ma nam coś przekazać. Wiedziałem dobrze, że dyrektor bardzo rzadko, jeśli w ogóle, kontaktuje się w ten sposób z podwładnymi. Czemu więc teraz? O co chodziło?

Zebrani spoglądali po sobie. Marszczyli czoła, unosili brwi. Nikt nie miał pojęcia, co kryje się za decyzją Burnsa. Poza mną. Wyczuwałem w nim nieustępliwość, niezadowolenie z obowiązujących dawniej metod działania, których nie mógł od razu zmienić. Zaczynał w Filadelfii jako krawężnik i wspiął się do fotela komisarza. Może potrafiłby usprawnić styl pracy Biura.

–Chcę wyjaśnić, co zdarzyło się wczoraj – powiedział przez głośnik konferencyjny. Wszyscy agenci słuchali go uważnie, ja również. – I chcę was także przeprosić. Wybuchł chwilowy spór kompetencyjny. Policja z Dallas, burmistrz, nawet gubernator Teksasu, wszyscy wzięli się za łby. Policja z Dallas zażądała wycofania naszych ludzi, ponieważ nie miała do nas pełnego zaufania. Przystąpiłem na to żądanie, bo wolałem przekonać ich do naszych racji, niż wymóc zgodę na pozostanie na ich terenie. Nie chcieli zawałanki i nie byli przekonani, czy mamy właściwych ludzi do przeprowadzenia akcji. Rodzina Liptonów cieszy się dobrą reputacją w mieście. Sam Lipton ma spore koneksje. Niemniej jednak Dallas było zaskoczony, że wzięliśmy pod uwagę jego zastrzeżenia, i... ustąpiło. Nabrało zaufania do grupy, którą zgromadziliśmy. Będziemy kontynuować akcję przeciwko Lawrence'owi Liptonowi i wierzcie mi, zgarniemy drania. Potem zamierzamy zgarnąć Paszę Sorokina, Wilka. Nie zwracajcie sobie głowy starymi zawałankami. Po prostu wykonajcie zadanie w Dallas. Ufam wam bez zastrzeżeń.

Burns się rozłączył, ale na twarzy każdego agenta w sali pojawił się uśmiech. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dyrektor powiedział coś, na co niektórzy czekali od lat; jego słowa o tym, że wierzy w ich umiejętności i że nie przejmuje się starymi błędami, podziałały bardzo kojąco. Wróciliśmy do gry: oczekiwano od nas, że zgarniemy Lawrence'a Liptona.

Chwilę potem zadzwoniła moja komórka. Usłyszałem samego Burnsa:

–Jak wypadłem? – spytał. W jego głosie był uśmiech. Mogłem sobie wyobrazić pewną siebie minę, uniesioną górną wargę. Dobrze wiedział, jak wypadł.

Odszedłem na bok i powiedziałem mu to, co chciał usłyszeć:

–Wypadł pan świetnie. Są naładowani i gotowi do akcji.

Odetchnął głośno.

–Alex, masz przypiec tego gnoja. Ludzie z Dallas usłyszeli ode mnie pieśń pochwalną na twoją cześć. Wiedzą, jaki jesteś dobry. Postaraj się, żeby Lawrence Lipton poczuł, że z nim bardzo krucho. Masz wolną rękę.

Nie mogłem się nie uśmiechnąć.

–Zobaczę, co się da zrobić.

–I, Alex, tobie mogę to powiedzieć... tylko nie zawał sprawy.

Rozdział 94

„Tylko nie zawał sprawy”. Przyjemne zakończenie rozmowy. Jak cholera. Sadystyczny, zimny drań. Ale znów chyba go lubiłem. Choćbym nie chciał. Czy mu jednak ufałem?

Miałem niejasne wrażenie, że drobne zawałanki nie przeszkadzały Burnsowi smacznie spać. Chciał złapać tych porywaczy, zwłaszcza Paszę Sorokina, chociaż nie mieliśmy jeszcze pojęcia, kim naprawdę jest ani gdzie mieszka. Ze słów Burnsa wynikało, że przede wszystkim mam znaleźć sposób, by złamać Lawrence’a Liptona, i to szybko, i że w żaden sposób nie wolno mi skompromitować Biura.

Spotkałem się z Rogerem Nielsenem w celu ustalenia strategii działania, bo wznowiliśmy obserwację Liptona. Zdecydowano, że czas przyprzeć go do muru, niech wie, że jesteśmy w Dallas i że o nim wiemy. Po telefonie Burnsa nie byłem zaskoczony, że wybrano mnie, żebym stawił czoło Liptonowi.

Zdecydowaliśmy, że odwiedzę go w jego biurze w Lakeside Square Building na skrzyżowaniu LBJ Freeway i North Central Expressway. Budynek miał dziewiętnaście pięter i rzędy odblaskowych okien. Oślepiął w teksaskim słońcu. Wszedłem do środka kilka minut po dziesiątej. Kilkupokojowe biuro Liptona znajdowało się na przedostatnim piętrze. Kiedy wychodziłem z windy, nagrany głos przywitał mnie: „Siemasz!”.

Znalazłem się w ogromnej poczekalni z półakrową wykładziną koloru burgunda, beżowymi ścianami i mnóstwem ciemnobrązowych skórzanych kanap i foteli. Na ścianach wisiały zdjęcia tytanów baseballu i futbolu: Rogera Staubacha, Nolana Ryana i Tonią Landry’ego.

Młoda kobieta w skrojonym bez zarzutu granatowym kostiumie kazała mi czekać. Siedziała wyniosła za wąskim biurkiem z drewna orzechowego, rozjaśnionym halogenami ukrytymi w podwieszanym suficie. Wyglądała jak dwudziestokilkuletnia prymuska szkoły dobrych manier. Jej zachowanie i słowa były równie bez zarzutu jak ubiór.

–Zaczekam, ale proszę dać znać panu Liptonowi, że jestem z FBI. Muszę się z nim zobaczyć – powiedziałem.

Recepcjonistka uśmiechnęła się tak słodko, jakby już raz to wszystko słyszała, i przyjmowała kolejne rozmowy telefoniczne przez zestaw słuchawkowo – mikrofonowy. Usiadłem i czekałem cierpliwie. Cały kwadrans. Potem wstałem i podszedłem do jej biurka.

–Powiedziała pani panu Liptonowi, że czekam? – spytałem grzecznie. – Że jestem z FBI?

–Oczywiście, proszę pana – powiedziała słodkim jak syrop głosikiem, który zaczął działać mi na nerwy.

–Muszę się z nim natychmiast zobaczyć – oświadczyłem i zczekałem, aż znów zadzwoni do sekretarki Liptona. Przeprowadziła krótką rozmowę i wróciła wzrokiem do mnie.

–Ma pan jakiś dokument identyfikacyjny? – spytała, spoglądając na mnie surowo.

–Mam. Oznakę.

–Mogę ją zobaczyć? Tę pańską oznakę. – Wyjąłem moją świeżą oznakę agenta FBI. Obejrzała ją z taką samą przychylnością, z jaką kasjerka w fast – foodzie ogląda pięćdziesięciodolarowy banknot.

–Zechce pan spocząć w części przeznaczony dla oczekujących? – spytała znowu. Teraz jednak robiła wrażenie trochę zdenerwowanej i zastanawiałem się, co takiego usłyszała od sekretarki Liptona, jakie ma rozkazy bojowe.

–Albo pani nie rozumie, albo ja nie wyraziłem się jasno – rzekłem w końcu. – Nie przyszedłem tu dowcipkować z panią ani czekać w nieskończoność.

Skinęła głową.

–Pan Lipton jest na spotkaniu. Tylko tyle mi wiadomo, proszę pana.

Też skinąłem głową.

–Niech pani poleci jego sekretarce, żeby zaraz wyciągnęła go z tego spotkania. Niech powie panu Liptonowi, że jeszcze go nie aresztuję.

Wróciłem do części biura dla oczekujących, ale nie chciało mi się siadać. Stojąc, patrzyłem na nierealnie soczystą zieleń trawników, ciągnących się wzdłuż alei Freeway. Roznosiło mnie w środku.

Odegrałem scenę w stylu waszyngtońskiego krawężnika. Nie wiedziałem, czy spodobałaby się Burnsowi, ale miałem gdzieś jego opinię. Dał mi trochę swobody działania, a ja zdecydowałem, że nie zmienię się tylko dlatego, że teraz jestem w FBI. Byłem w Dallas, żeby zwinąć porywacza, żeby sprawdzić, czy pani Connolly i inne osoby żyją i są więzione. Znów wykonywałem swoją robotę. Usłyszałem drzwi otwierające się za moimi plecami. Odwróciłem się. W progu stał mocno zbudowany siwiejący mężczyzna. Był wściekły.

–Jestem Lawrence Lipton – zahuczał. – O co chodzi, do diabła?

Rozdział 95

–O co do diabła chodzi? – powtórzył Lipton, nie ruszając się z miejsca, tonem pyskatego ważniaka, jakbym był nachalnym komiwojażerem. – Chyba ci powiedziano, że mam ważne spotkanie? Czego FBI chce ode mnie? I czemu to nie może poczekać? Nie nauczono was, że wypada umówić się na rozmowę?

Jak na mój gust za bardzo się zgrywał. Odstawiał twarziela, ale chyba nie był taki, jakiego udawał. Po prostu przywykł drzeć pysk. Był ubrany w wymiętą niebieską koszulę, firmowy krawat, spodnie z tenisu, mokasyny z frędzelkami i miał przynajmniej kilkadziesiąt funtów nadwagi. Co taki człowiek mógł mieć wspólnego z Wilkiem?

Zmierzyłem go wzrokiem i wycedziłem:

–Chodzi o porwanie i o morderstwo. Chcesz o tym pomówić tu, w recepcji, Szterling?

Lawrence Lipton zbladł i stracił pewność siebie.

–Proszę do środka – powiedział, cofając się.

Wszedłem za nim do hali podzielonej na wiele stanowisk roboczych. Siedziała w nich chmara pracowników biurowych. Jak do tej pory sytuacja rozwijała się zgodnie z moimi oczekiwaniami. Ale miała stać się jeszcze ciekawsza. Być może Lipton był większy, niż się spodziewałem, ale miał wielkie wpływy w Dallas. Ten budynek biurowy stał w najbardziej prestiżowej części miasta.

–Jestem Pan Potter – oznajmiłem mu, kiedy szliśmy korytarzem pokrytym eleganckimi tapetami. – A przynajmniej odgrywałem Pana Pottera ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy w Wilczym Gnieździe.

Nie odwrócił się, nie zareagował. Weszliśmy do wyłożonego boazerią gabinetu. Lipton zamknął drzwi. Znaleźliśmy się w rozległym pokoju z półtuzinem okien, z których rozciągał się wspaniały widok. Przy wieszaku na kapelusze wisiała kolekcja autografów kapitanów drużyn Dallas Cowboys i Texas Rangers.

–Nadal nie mam pojęcia, o co chodzi, ale daję ci dokładnie pięć minut na wytłumaczenie się – warknął Lipton. – Chyba nie wiesz, do kogo mówisz.

–Wprost przeciwnie. Jesteś najstarszym synem Henry'ego Liptona. Masz żonę, trójkę dzieci i ładny dom w Highland Park. Poza tym jesteś zamieszany w porwanie i morderstwo i od kilku tygodni jesteś pod naszą ścisłą obserwacją. W grę wchodzi przestępstwo ścigane przez siły federalne, nie powiatowe czy stanowe. Jesteś Szterling i chcę, żebyś coś zrozumiał... wszystkie twoje koneksje, wszystkie koneksje twojego ojca w Dallas teraz ci nie pomogą. Mimo to chcę ci pomóc ochronić twoją rodzinę najlepiej, jak to tylko możliwe. Wybieraj. Nie blefuję. Nigdy nie blefuję.

–Dzwonię do mojego adwokata – oświadczył i podszedł do telefonu.

–Masz takie prawo. Ale nie korzystałbym z niego na twoim miejscu. To nie przyniesie niczego dobrego.

Coś w tonie mojego głosu powstrzymało Liptona od sięgnięcia po słuchawkę. Jego miękka dłoń zawisała nad biurkiem.

–Czemu? – spytał.

–Ty mnie nie obchodzisz – wyjaśniłem mu. – Jesteś zamieszany w morderstwo. Ale widziałem twoją żonę i dzieci. Obserwowaliśmy cię, kiedy byłeś w domu. Już rozmawialiśmy z twoimi sąsiadami i znajomymi. Kiedy zostaniesz aresztowany, twoja rodzina znajdzie się w niebezpieczeństwie. Możemy ochronić cię przed Wilkiem.

Rumieniec objął twarz i szyję Liptona.

Wybuchł:

–Do diabła, co z tobą?! Zwariowałeś? Jestem szanowanym biznesmenem! W życiu nikogo nie porwałem ani nie skrzywdziłem. To wariactwo.

–Wydawałeś rozkazy. Na twój rachunek przyszły pieniądze. Pan Potter przesłał ci sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. A raczej FBI.

–Dzwonię do mojego prawnika! – wrzasnął Lipton. – To śmieszne i obelżywe. Nie muszę tego od nikogo wysłuchiwać.

Wzruszyłem ramionami.

–Wobec tego zwiniemy cię w najbardziej upokarzający sposób. To biuro natychmiast zostanie przeszukane. Potem twój dom w Highland Park. A potem dom twoich rodziców w Kessler Park. Biuro twojego ojca. I biuro twojej żony w muzeum sztuki.

Sięgnął po słuchawkę, ale dłoń mu drżała.

Wyszeptał:

–Odpierdol się.

Wyjąłem komórkę i rozkazałem:

–Wchodźcie do biur i domów. – Odwróciłem się do Liptona. – Jesteś aresztowany. Możesz zadzwonić do adwokata. Powiedz mu, że zostałeś zabrany do siedziby oddziału FBI.

Kilka minut potem kilkunastu agentów wpadło do tego stylowo i kosztownie urządzonego gabinetu, z którego rozciągał się taki wspaniały widok.

Aresztowaliśmy Szterlinga.

Rozdział 96

Pasza Sorokin był w pobliżu i obserwował z wielkim zainteresowaniem wszystkich i wszystko. Może przyszedł czas pokazać tym z FBI, jak załatwia się sprawy w Moskwie, pokazać im, że to nie zabawa dla dzieci, której reguły ustala policja.

Był przy biurowcu Szterlinga w Dallas, kiedy zespół FBI wpadł do środka. Wcześniej zajechała tam ponad dwudziestka agentów. Była to dziwna zbieranina: część w eleganckich ciemnych garniturach, część w granatowych wiatrówkach z krzyczącymi napisami „FBI” na plecach. Kogo tak naprawdę spodziewali się zwinąć? Wilka? Innych z Wilczego Gniazda?

Nie mieli pojęcia, w co się ładują. Ich ciemne sedany i vany parkowały na widoku, przy ulicy. Niecały kwadrans po tym, jak weszli do biurowca, wyprowadzili skutego Lawrence’a Liptona, próbującego zasłonić twarz. Prezentował sobą wyjątkowo żaloszny widok. Czyżby robili to na pokaz? Po co?, zadawał sobie pytanie Sorokin. Żeby udowodnić, jacy są twardzi? Jacy sprytni? Ale nie byli sprytni.

Pokażę wam, jakim trzeba być twardym i sprytnym, pomyślał. Pokażę, że brakuje wam tego wszystkiego.

Kazał szoferowi ruszyć. Ten nie obejrzał się na szefa i nie odezwał się. Wiedział, że jego rozkazów się nie kwestionuje. Metody Wilka były dziwne i nietypowe, ale się sprawdzały.

–Przejeźdź koło nich – rozkazał Sorokin. – Chcę się przywitać.

Agenci FBI prowadzący Lawrence’a Liptona do vana rozglądali się nerwowo. Obok aresztowanego siedział Murzyn. Wysoki i bardzo pewny siebie. Pasza Sorokin wiedział od swojego informatora z Biura, że to Alex Cross i że jest bardzo poważany.

Jak to możliwe, że Murzyn rozkazuje podczas akcji?, dziwił się.

W Rosji pogardzano amerykańskimi Murzynami. Sorokin nigdy nie pozbył się tych uprzedzeń i nie było powodu pozbywać się ich w USA.

–Podjedź bliżej! – polecił szoferowi. Opuścił szybę. Kiedy Cross i Lipton mijali jego samochód, wyciągnął samopowtarzalny pistolet i wycelował w potylicę Szterlinga. Ale wtedy wydarzyło się coś zadziwiającego, coś, czego nie przewidział.

Alex Cross obalił Liptona na jezdnię i obaj przetoczyli się za parkujący wóz.

Skąd Cross wiedział?, zachodził w głowę Sorokin. Co takiego zobaczył, co go zaalarmowało?

I tak strzelił, ale nie miał czystego pola rażenia. Niemniej jednak strzał huknął głośno i ostrzeżenie zostało przekazane: Szterling nie jest bezpieczny. Szterling jest trupem.

Rozdział 97

Przewieźliśmy Lawrence'a Liptona do biura oddziału w Dallas i zostawiliśmy go tam. Zagroziłem, że przeniosę go do Waszyngtonu, jeśli miejscowa policja albo prasa będą usiłowały się wtrącać. Zawarłem z nimi umowę. Obiecałem wywiadowcom z Dallas, że dostaną Liptona, kiedy tylko z nim skończymy.

O jedenastej wieczorem powlokłem się do pozbawionego okien pokoju przesłuchań. Był sterylny, przytłaczający i czułem się w nim tak, jakbym odwiedził go już kilkaset razy wcześniej. Skinąłem głową Lawrence'owi Liptonowi. Nie zareagował; wyglądał okropnie. Ja pewnie też.

–Możemy pomóc tobie i twojej rodzinie. Możemy zapewnić im bezpieczeństwo. Nikt inny teraz ci nie pomoże – oświadczyłem. – Taka jest prawda.

–Nie chcę więcej z tobą rozmawiać – odezwał się w końcu Lipton. – Już ci powiedziałem, nie jestem wplątany w żadne gówno, o które mnie oskarżasz. Nie będę więcej rozmawiał. Sprowadź mojego adwokata. – Gestem kazał mi wyjść.

Przez ostatnie siedem godzin przesłuchiwali go inni agenci FBI. To była moja trzecia sesja i wcale nie szło mi lepiej. Jego prawnicy byli nieopodal, ale powstrzymali się od działania. Zostali poinformowani, że ich klient może zostać urzędowo oskarżony o porwanie i znowę w celu popełnienia morderstwa i natychmiast będzie przetransportowany do Waszyngtonu. Jego ojciec również przebywał w budynku, ale odmówiono mu spotkania z synem. Odbyłem z nim rozmowę. Płakał i upierał się, że aresztowanie jego syna to pomyłka. Usiadłem naprzeciwko Lawrence'a.

–Twój ojciec jest tutaj. Chcesz się z nim spotkać? – zapytałem.

Roześmiał się.

–Pewnie. Muszę tylko się przyznać, że jestem porywaczem i mordercą. Potem mogę zobaczyć się z ojcem i błagać go o wybaczenie moich grzechów.

Zignorowałem ten sarkazm. To nie była mocna strona Liptona.

–Wiesz, że możemy skonfiskować księgi firmy twojego ojca i zamknąć mu cały interes? Poza tym sam jest prawdopodobnie celem Wilka. Nie jesteśmy tu po to, żeby skrzywdzić członków twojej rodziny – dodałem. – Pod warunkiem, że twój ojciec nie jest w to zamieszany.

Pokręcił głową, nie unosząc wzroku.

–Mój ojciec nigdy nie miał żadnych kłopotów.

–Słyszę to ze wszystkich stron – powiedziałem. – W ostatnich dniach dużo czytałem o tobie i twojej rodzinie. Cofnąłem się aż do twoich studiów. Parę razy wpakowałeś się w tarapaty w Austin. Dwa gwałty na znajomych dziewczętach. Za każdym razem uniknąłeś rozprawy. Ratował cię ojciec. Tym razem nie możesz na to liczyć.

Lawrence Lipton nie odpowiedział. Miał pusty wzrok i wyglądał, jakby nie spał od kilku dni. Jego garniturowa koszula była wymięta jak zużyta chusteczka higieniczna i zapocona pod pachami. Pot ściekał mu z karku i policzków. Miał worki pod oczami, a w ostrym świetle pokoju przesłuchań jego skóra nabrała purpurowego zabarwienia.

–Nie chcę skrzywdzić mojej rodziny – wymamrotał w końcu. – Nie mieszajcie w to

mojego ojca. Dajcie mu ochronę.

Skinąłem głową.

–W porządku, Lawrence. Od czego zaczniemy? Jestem gotów zapewnić twojej rodzinie ochronę, dopóki nie złapiemy Wilka.

–A potem? – spytał. – To go nie powstrzyma.

–Będziemy chronić twoją rodzinę.

Lipton westchnął głośno i powiedział:

–W porządku, jestem księgowym. Jestem Szterling. Mogę wskazać wam Wilka. Ale muszę mieć gwarancje na piśmie. Dużo gwarancji.

Rozdział 98

Znów zmierzałem ku otchłani ciemności, wabiony przez nią, jak większość ludzi wabi słońce. Nie przestawałem myśleć o Elizabeth Connolly. Wciąż figurowała na liście zaginionych. Obawiano się, że może już nie żyje.

Ojciec Liptona odwiedził go kilkakrotnie i dwaj mężczyźni się popłakali. Pozwolono pani Lipton odwiedzić męża. Członkowie rodziny wylali wiele łez. Większość okazywanych emocji robiła wrażenie autentycznych.

Siedziałem ze Szterlingiem w pokoju przesłuchań do trzeciej rano z minutami. Byłem gotów na dłuższą rozmowę, gdybym musiał uzupełnić informacje. W nocy zawarto umowy z jego adwokatami.

Około drugiej, kiedy większość jego prawników wyszła, Lipton i ja siedliśmy znów do rozmowy. Towarzyszyli nam dwaj starsi agenci z oddziału w Dallas. Ich zadaniem było jedynie gromadzenie notatek i obsługa magnetofonu.

Obowiązek przeprowadzenia przesłuchania spoczywał wyłącznie na mnie. –Jak związałeś się z Wilkiem? – spytałem Lawrence’a Liptona po kilku minutach rozmowy, podczas których podkreśliłem, że zależy mi na bezpieczeństwie jego rodziny. Robił wrażenie świadomego swojego położenia i bardziej skupionego niż kilka godzin wcześniej. Wyczuwałem, że ciężar spadł mu z barków – przekonanie o winie, zdrada rodziny, zwłaszcza ojca. Dokumentacja z czasów szkolnych świadczyła, że był inteligentnym, choć niespokojnym uczniem. Jego problemy zawsze wynikały z obsesji seksualnych, ale nigdy nie przeszedł terapii. Lawrence Lipton był naprawdę świrem.

–Jak się z nim związałem? – powtórzył, jakby sam zadawał sobie to pytanie. – Widzisz, pociągają mnie młode dziewczyny. Nastolatki, młodsze. W dzisiejszych czasach ten towar jest łatwo dostępny. Internet uruchomił świeże zasoby.

–Dla kogo? Bądź bardziej konkretny, Lawrence.
Wzruszył ramionami.

–Dla takich świrów jak ja. W dzisiejszych czasach możemy mieć wszystko, czego chcemy i kiedy chcemy. Wiedziałem, jak znaleźć najbrzydsze strony. Najpierw zadawałem się zdjęciami i filmami. Zwłaszcza dokumentami.

–Znaleźliśmy kilka. W twoim domowym gabinecie.

–Pewnego dnia odwiedził mnie nieznajomy człowiek. Przeszedł do mojego biura jak ty.

–Żeby cię szantażować? – spytałem.

Lipton pokręcił głową.

–Nie, nie żeby szantażować. Powiedział, że chce się dowiedzieć, czego naprawdę chcę. Pod względem seksualnym. I że pomoże mi to dostać. Wyrzuciłem go. Wrócił następnego dnia. Miał na dyskietce wszystko, co kupiłem w sieci. „Więc czego naprawdę chcesz?”, spytał. Chciałem ładnych młodych dziewcząt, wobec których nie miałbym żadnych zobowiązań, przy których nie musiałbym krępować się żadnymi zasadami. Dostarczał mi kilka każdego miesiąca. Dostawałem dokładnie to, o czym marzyłem. Kolor włosów, kształt piersi, rozmiar stóp, piegi, wszystko było, jak chciałem.

–Co działo się z tymi dziewczynami? Mordowałeś je? Musisz mi to powiedzieć.

–Nie jestem mordercą. Lubię na nie patrzeć, kiedy robię im dobrze. Niektórym robiłem naprawdę dobrze. Zabawialiśmy się, a potem mogły sobie iść. Zawsze. Nie wiedziały, kim jestem ani skąd.

–Więc ten układ ci odpowiadał?

Lipton skinął głową i oczy mu się zaświeciły.

–Bardzo. Marzyłem o czymś takim przez całe życie. Rzeczywistość była wspaniała jak marzenia. Oczywiście przyszło mi za to zapłacić.

–Dostałeś rachunek?

–O, tak. Musiałem spotkać się z Wilkiem, przynajmniej myślę, że to był on.

Najpierw przysłał emisariusza, ale potem sam zjawił się na spotkanie. Kiedy się go pozna, człowiek wie, że ma się czego bać, i to bardzo. Powiedział, że jest z czerwonej mafii. Wspomniał o KGB, ale nie znam jego powiązań z nimi.

–Czego od ciebie chciał?

–Żeby wszedł z nim w interes, został jego współnikiem. Potrzebował doświadczenia mojej firmy w informatyce i Internecie. Seksklub to była dla niego sprawa drugorzędna, dodatek. Siedział w wymuszeniach, praniu i fałszowaniu pieniędzy. Klub to była moja działka. Kiedy tylko zawarliśmy umowę, zacząłem się rozglądać za bogatymi świrami, którzy chcieli spełnić swoje marzenia. Świrami, gotowymi wydać sześciocyfrowe sumy na niewolników, mężczyzn lub kobiety, nieważne. Czasem chodziło o konkretny obiekt, czasem tylko o pewien typ fizyczny.

–Żeby mordować?

–Co tylko chcieli. Powiem ci, o co mu chodziło z tym klubem. Chciał wciągnąć w swoją orbitę bardzo bogatych ludzi dysponujących władzą. Już pozyskaliśmy jednego, senatora z zachodniej Wirginii. Miał wielkie plany.

–Czy Wilk mieszka w Dallas? – spytałem w końcu. – Musisz mi pomóc, jeśli chcesz, żebym ja pomógł tobie.

Lipton pokręcił głową.

–Nie jest stąd. Nie mieszka w Dallas. Nie w Teksasie. To tajemniczy człowiek.

–Ale wiesz, gdzie jest?

Zawahał się, ale w końcu odpowiedział:

–On nie wie, że ja wiem. Zna się na wielu rzeczach, ale nie na komputerach. Raz go wyśledziłem. Był pewien, że przesyła mi zabezpieczone wiadomości, ale złamałem te zabezpieczenia. Musiałem mieć coś na niego.

Powiedział mi, gdzie znaleźć Wilka. A także to, kim jest. Jeśli wierzyć temu, co mówił, znał imię i nazwisko, którymi Pasza Sorokin posługiwał się w Stanach Zjednoczonych.

Ari Manning.

Rozdział 99

Siedziałem wysoko w kabinie luksusowej motorówki oceanicznej, płynącej Intercoastal Waterway wzdłuż Millionaires Row w Fort Lauderdale na Florydzie. Czy w końcu dotarliśmy do Wilka? Musiałem w to wierzyć. Szterling przysięgał, że tak, i na pewno nie miał powodu nas okłamywać. Wszystko nakazywało mu mówić prawdę.

Ten akwen odwiedzali turyści w motorówkach, więc założyłem, że nie zostaniemy od razu zauważeni. Poza tym zapadał już zmrok. Mijaliśmy rezydencje, głównie w stylu śródziemnomorskim lub portugalskim, ale od czasu do czasu trafiały się też domy w stylu kolonialnym, jakie kiedyś budowało się w Georgii. Zapewne zbudowano je za „pieniądze z północy”. Okolica roiła się od bogaczy, więc ostrzeżono nas, żebyśmy działali w rękawiczkach i nie następowali nikomu na odciski. Szczerze mówiąc, nie dało się tego zrobić. Za kilka minut mieliśmy nastąpić boleśnie na odciski kilku osobom.

Na pokładzie motorówki był ze mną Ned Mahoney i jego dwa siedmioosobowe zespoły szturmowe. Mahoney zwykle nie uczestniczył w misjach, ale od czasu Baltimore dyrektor zmienił tę zasadę. FBI miało być mocniejsze podczas działań w terenie.

Lustrowałem przez lornetkę wielki nadbrzeżny dom, kiedy nasza łódź przybijała do pomostu. W pobliżu kołysały się drogie jachty i ślizgacze. Postaraliśmy się o plan domu i wiedzieliśmy, że zakupiono go dwa lata temu za dwadzieścia cztery miliony. I mieliśmy nie następować nikomu na odciski.

Na terenie posiadłości Ariego Manninga odbywała się wielka impreza. Według Szterlinga Ari Manning był Paszą Sorokinem, Wilkiem.

–Wygląda na to, że wszyscy bawią się jak za starych dobrych czasów – stwierdził Mahoney. – Człowieku, uwielbiam imprezować. Żarcie, muzyka, tańce, bąbelki.

–No, fajna sprawa. Ale niespodziewani goście jeszcze nawet się nie pokazali.

Ari Manning był znany w Fort Lauderdale i Miami z wystawnych przyjęć, trwających czasem kilka tygodni. Urządzane przez niego imprezy cieszyły się sławą z powodu niespodzianek – wystawień urywków modnych musicali i komedii z Las Vegas, odwiedzin takich gości jak trenerzy Miami Dolphins czy Miami Heat, politycy, dyplomaci, ambasadorowie, czasem nawet członkowie gabinetu prezydenta.

–Wygląda na to, że dziś wieczorem to my będziemy niespodziewanymi gośćmi – powiedział Mahoney, szczerząc do mnie zęby.

–Którzy przylecieli aż z Dallas – dodałem. – Z czternastoosobowym orszakiem.

Operacja była niełatwym zadaniem. Mieliśmy działać wśród tłumu ludzi, nie do uniknięcia na takim przyjęciu. Pewnie dlatego żartowaliśmy dla rozluźnienia.

Poprzednio zastanawialiśmy się, czy nie poczekać, ale HRT chciał uderzyć zaraz, skoro Wilk został namierzony. Dyrektor wyraził zgodę i osobiście zdecydował o ataku.

Facet w komicznym marynarskim stroju energicznie odpędzał nas od pomostu. My jednak nadal się zbliżaliśmy.

–Czego chce ten dupek na pomoście? – spytał Mahoney.

–Mamy komplet! Spóźniliście się! – krzyknął do nas tamten. Jego głos niósł się

razem z głośną muzyką dobiegającą z za rezydencji.

–Przyjęcie nie zacznie się bez nas! – odkrzyknął Mahoney i włączył róg mgłowy.

–Nie, nie! Nie cumujcie! – krzyknął Marynarski Strój. – Odplywajcie!

Mahoney znów włączył róg.

Motorówka uderzyła w ślizgacz i facet na pomoście zrobił taką minę, jakby miał dostać wylewu.

–Jezu, uważajcie! To prywatne przyjęcie. Nie możecie tu wpaść tak sobie.

Jesteście przyjaciółmi pana Manninga?

Mahoney po raz kolejny włączył róg.

–Jak najbardziej. Oto moje zaproszenie. – Wyjął oznakę i broń.

Ja tymczasem zeskoczyłem już z pokładu i biegłem do domu.

Rozdział 100

Przepychałem się przez tłum nieprzyzwoicie nadzianych imprezowiczów, podążających do oświetlonych świecami stołów. Serwowano kolację. Steki i homary, szampan bez ograniczeń i drogie wina. Miałem wrażenie, że wokół widzę same garnitury i kiecki od Dolce Gabbana, Yersace, Yves Saint Laurenta. Ja miałem na sobie dżinsy i niebieską kurtkę FBI.

Ufryzowane głowy odwracały się i padały na mnie piorunujące spojrzenia, jakbym był nieproszonym gościem, który chce zepsuć zabawę. Bo byłem nieproszonym gościem. Gościem z piekła. Ci ludzie nie mieli pojęcia, co się wydarzy.

–FBI! – krzyknął za moimi plecami Mahoney, wprowadzając swoje ciężko uzbrojone drużyny do środka.

Wiedziałem od Szterlinga, jak wygląda Pasza Sorokin, i zmierzałem ku niemu. Widziałem go! Wilk miał na sobie drogi szary garnitur i niebieski kaszmirowy T – shirt. Stał w pobliżu wzdymanego wiatrem namiotu w niebiesko – żółte pasy, w którym pieczono mięsiwa, i rozmawiał z dwoma mężczyznami. Uśmiechnięci, spoceni kucharze, sami Murzyni i Latynosi, smażyli ogromne płyty mięsa i ryb.

Wyjąłem glocka. Pasza Sorokin spojrzał na mnie, ale nie drgnęła mu nawet powieka. Tylko się przyglądał. Nie poruszył się, nie próbował uciekać. Po chwili uśmiechnął się, jakby mnie oczekiwał i cieszył się, że wreszcie dotarłem na miejsce. O co chodziło temu facetowi?

Wezwał gestem siwowłosego mężczyznę, który obejmował kształtną blondynkę, mogącą być jego córką.

–Atticus! – krzyknął i siwy Casanova zjawił się przy nim szybciej niż dobrze wytresowany pikolak.

–Jestem Atticus Stonestrom, adwokat pana Manninga – oświadczył. – Nie macie żadnego powodu, by tu wchodzić, wdzierać się do domu pana Manninga. Przekraczacie swoje uprawnienia i proszę, byście stąd wyszli.

–Nie wyjdziemy. Ale może przeniesiemy się do środka? Tylko my trzej – zaproponowałem Stonestromowi i Sorokinowi. – Chyba że chcesz zostać aresztowany w obecności tych wszystkich ludzi.

Wilk spojrzał na swojego adwokata, a potem wzruszył ramionami, jakby była to dla niego rzecz bez znaczenia. Zaczął iść w kierunku domu. Nagle się odwrócił, jakby sobie coś przypomniał.

–Twój mały też ma na imię Alex, prawda? – powiedział.

Rozdział 101

Nie umarła! Czy to nie cudowne? Czy niezrozumiałe?

Elizabeth Connolly znów zagubiła się w swoim świecie. To było najlepsze, co mogła zrobić. Spacerowała po cudownej plaży na północnym wybrzeżu Oahu. Brała do rąk niewiarygodnie piękne muszle, jedną po drugiej, i porównywała je.

Potem usłyszała krzyki: „FBI!”. Nie wierzyła własnym uszom.

FBI było tutaj? W tym domu? Serce waliło jej w piersiach i niemal zamarło, a potem zaczęło walić jeszcze mocniej.

Czy w końcu zjawili się, by ją uratować? A po co innego mieliby się zjawiać? O – mój – dobry – Boże!

Zaczęła dygotać. Łzy spływały jej po policzkach. Muszą ją teraz znaleźć i wypuścić. Arogancja Wilka zniszczy go, spali!

Jestem tu. Jestem tu! Jestem tuż obok!, krzyczała w myślach.

Na przyjęciu zapanowała martwa cisza. Wszyscy szeptali i trudno było coś zrozumieć. Ale wyraźnie usłyszała: „FBI” oraz głośne rozważania na temat tego, czemu Biuro wkroczyło na teren posiadłości. Wszyscy podejrzewali, iż chodzi o narkotyki.

Lizzie modliła się, żeby nie chodziło o narkotyki. Co z nią będzie, jeśli wezmą Wilka do więzienia? Zostanie tu na zawsze. Nie mogła opanować dreszczy.

Musiała dać znać FBI, że tu jest! Ale w jaki sposób? Jak zawsze, była skrępowana i zakneblowana. A oni byli tak blisko...

Jestem w garderobie! Błagam, zajrzyjcie do garderoby!

Zaplanowała kilkadziesiąt wariantów ucieczki, ale każdy zakładał, że Wilk najpierw otworzy drzwi i wypuści ją do łazienki czy toalety albo pozwoli przejść się po domu. Wiedziała, że za skarby świata sama nie wydostanie się z tego zamkniętego pomieszczenia. Była tak przemyślnie skrępowana, że nie miała co o tym marzyć. I nie wiedziała, jak dać znak FBI.

Potem usłyszała czyjś głos. Męski głos. Niski. Spokojny i opanowany.

–Jestem agent Mahoney, funkcjonariusz FBI. Wszyscy mają natychmiast opuścić główny budynek. Proszę zebrać się na trawnikach na tyłach. Wszyscy mają natychmiast wyjść z domu! Ale niech nikt nie opuszcza posesji.

Lizzie usłyszała szuranie butów – odgłos szybkich kroków. Ludzie wychodzili. A potem co? Zostanie zupełnie sama. Jeśli zabiorą Wilka... co się z nią stanie? Musi znaleźć sposób, by zawiadomić FBI, że tu jest. Ale wciąż nic nie przychodziło jej do głowy.

Po chwili odezwał się jakiś Atticus Stonestrom.

A potem usłyszała głos Wilka i zdrętwiała. Był wciąż w domu. Kłócił się z kimś. Nie potrafiła zrozumieć, co mówiono, nie znała też głosu rozmówcy Wilka.

Co mogę zrobić?, myślała rozpaczliwie. Co?! Nic!

Czemu wcześniej o tym nie pomyślałam?

I wpadła na pewien pomysł. Prawdę mówiąc, już wcześniej chodził jej po głowie, ale go odrzuciła.

Bo budził w niej śmiertelne przerażenie.

Rozdział 102

–Cieszę się, że tu jesteś i możesz być świadkiem, Atticus – powiedział swojemu adwokatowi Wilk. – To chamskie napastowanie. Moje interesy są bez zarzutu, sami wiecie o tym najlepiej. To w najwyższym stopniu uciążliwe. – Spojrzył na mnie. – Wiesz, ilu moich wspólników obraziłeś na tym przyjęciu?

Nadal się hamowałem, by nie zareagować na jego groźbę pod adresem mojej rodziny, małego Alexa. Nie chciałem go załatwić, chciałem go zgarnąć.

–Proszę mi wierzyć, to nie napastowanie – powiedziałem adwokatowi. – Jesteśmy tu po to, by aresztować pańskiego klienta za porwanie.

Sorokin przewrócił oczami.

–Ludzie, czyście powariowali? Wiecie, kim jestem? – spytał.

Jezu, słyszałem prawie ten sam tekst w Dallas.

–Tak się składa, że wiem – odparłem. – Naprawdę nazywasz się Pasza Sorokin, nie Ari Manning. Niektórzy twierdzą, że jesteś rosyjskim ojcem chrzestnym. Że jesteś Wilkiem.

Sorokin wysłuchał mnie i wybuchnął szaleńczym śmiechem.

–Ale z was durnie! Zwłaszcza ty – wskazał mnie palcem. – Wy po prostu nie wiecie, co jest grane.

Nagle rozległy się krzyki. Dobiegały z dalszych pomieszczeń parteru.

–Pożar!

–Chodź, Alex – powiedział Mahoney. Zostawiliśmy Sorokina z trzema innymi agentami i pobiegliśmy zobaczyć, co się dzieje.

Jak tu mógł wybuchnąć pożar?, zastanawiałem się. Teraz?

Ale to naprawdę był pożar. Rozprzestrzenił się z dużego gabinetu przy głównym salonie, z garderoby lub szafy ściiennej. Spod drzwi biły kłęby dymu. Masa dymu.

Złapałem za gałkę u drzwi. Parzyła. Garderoba była zamknięta na klucz. Nie wahałem się. Ugiąłem kolana i mocno uderzyłem w drzwi ramieniem. Jeszcze raz. Drewno zaskrzypiało. Uderzyłem kolejny raz i drzwi runęły na podłogę. Buchnął gęsty czarny dym.

Podszedłem do otworu i zajrzałem do środka. Ktoś się tam ruszał.

Ktoś tam był. Zobaczyłem znajomą twarz.

To była Elizabeth Connolly i paliła się żywcem!

Wziąłem oddech, a potem dałem nura w chmurę dymu i gorąca. Skóra na mojej twarzy zaczęła płonąć. Zmusiłem się, by wejść do środka garderoby. Pochyliłem się, porwałem w ramiona Elizabeth Connolly i zataczając się, wyniosłem ją na zewnątrz. Oczy mi łzawiły i czułem bąble wyskakujące na twarzy. Kiedy zdjąłem Elizabeth knebel, jej oczy były szeroko otwarte. Ned Mahoney zajął się więzami na jej rękach.

–Dziękuję wam – powiedziała chrapliwie. – Bardzo dziękuję – wykrztusiła.

Łzy płynące z jej oczu żłobiły rowki w sadzy na policzkach. Serce biło mi jak u dzikiego zwierzęcia, kiedy trzymałem ją za rękę i czekałem na przybycie sanitariuszy. Nie mogłem uwierzyć, że Elizabeth Connolly żyje. Jej uratowanie było warte wszystkich naszych trudów.

Było mi dane tylko przez kilka sekund rozkoszować się tym sukcesem, bo nagle

usłyszałem strzały. Wypadłem z gabinetu, obiegłem róg i zobaczyłem dwóch agentów na podłodze, rannych, ale żywych.

–Wpadł ochroniarz i zaczął strzelać – wyjąkał jeden z nich. – Pobiegnął na górę z Manningiem.

Popędziłem we wskazanym kierunku. Ned Mahoney następował mi na piętę. Czemu Wilk uciekł na piętro? To było niepojęte. Dołączyli do nas kolejni agenci. Przeszukaliśmy wszystkie pokoje. Nikogo! Nie mogliśmy znaleźć ani Wilka, ani ochroniarza.

Czemu uciekli na górę?, zadawałem sobie pytanie.

Mahoney i ja kolejny raz przeszukaliśmy wszystkie pokoje na pierwszym i drugim piętrze. Zaczęła przybywać policja z Fort Lauderdale i pomogła FBI zabezpieczyć dom.

–Nie mam pojęcia, jak się stąd wydostał – sapnął Mahoney. Staliśmy na korytarzu pierwszego piętra, zbici z tropu i wściekli.

–Gdzieś tu musi być wyjście. Rozejrzyjmy się jeszcze raz.

Wróciliśmy, jak przyszliliśmy, korytarzem, zaglądając do wszystkich gościnnych sypialni. W głębi były drugie schody, prawdopodobnie dla służby. Już je sprawdziliśmy. Na dole postawiliśmy policjanta. Nagle coś mnie uderzyło; niewielki szczegół, który poprzednio przeoczyłem.

Szybko zszedłem na pierwszy podest. Było tam wykuszowe okno. Pod oknem dwa małe siedziska. Dokładnie to zapamiętałem. Uniosłem siedzisko.

Ned Mahoney jęknął głośno. Zobaczył, co znalazłem. Drogę ucieczki. Wilk wymknął się obławie!

–Wciąż może tu być. Sprawdźmy, dokąd prowadzi przejście – powiedziałem i wszedłem do środka. Było tam z pół tuzina wąskich drewnianych schodków. Mahoney podał mi latarkę.

–Tędy, Ned! – krzyknąłem do niego. Teraz wiedziałem, jak się wymknęli. Miałem przed sobą otwarte okno, a kilka stóp poniżej lustro wody.

–Wskoczyli do Intercoastal! – zawołałem do Mahoneya. – Są na wodzie!

Rozdział 103

Dołączyłem do gorączkowych poszukiwań na wodzie i na lądzie, ale zrobiło się już ciemno. Mahoney i ja przemierzaliśmy wąskie ulice zabudowane rezydencjami. Następnie pojechaliśmy wzdłuż pobliskiego Las Olas Boulevard, mając nadzieję, że ktoś zauważył dwóch mężczyzn w ociekających wodą ubraniach. Ale nikt nie widział Wilka ani jego ochroniarza.

Nie zamierzałem się poddać. Wróciłem do Isla Bahia. Coś mi się nie zgadzało. Jak to możliwe, że nikt nie zauważył dwóch mężczyzn odpowiadających naszemu opisowi? Zastanawiałem się, czy nie mieli w skrytce ekwipunku nurków. Na ile przewidujący był Wilk, planując ucieczkę? Jak dobrze się zabezpieczył? A potem przyszło mi do głowy coś innego: jest arogancki i nieustraszony. Nie wyobrażał sobie, że przyjedziemy go aresztować. Nie miał przygotowanej drogi ucieczki! Więc może nadal ukrywa się w Isla Bahia?

Przekazałem te przemyślenia HRT, ale zaczęto już przeczesywać kolejno posiadłości. Całe zastępy agentów i miejscowych policjantów sprawdzały ekskluzywną dzielnicę Fort Lauderdale. Nie zamierzałem się poddać ani pozwolić innym odejść. To, co zawsze mną kierowało – wytrwałość? upór? – wcześniej przynosiło efekty. Nie znaleźliśmy jednak Wilka ani nikogo, kto by go widział w Isla Bahia.

–I nic? Żadnego śladu? Nikt nic nie widział? – spytałem Mahoneya.

–Nic – odparł. – Znaleźliśmy zagubionego cocker spaniela. To wszystko.

–Wiemy, kto jest właścicielem psa? – spytałem. Mahoney przewrócił oczami. Nie miałem o to do niego pretensji.

–Sprawdzę – odparł. Wrócił po kilku minutach.

–Należy do pana Steve’a Davisa i pani Davis. Davisowie mieszkają przy końcu ulicy. Dostarczymy im psa. Zadowolony?

Pokręciłem głową.

–Nie całkiem. My to zrobimy – zaproponowałem. – Dlaczego pies biega wolno o tak późnej porze? Czy właściciele są w domu?

–Chyba nie. W ich domu się nie świeci. Daj spokój, Alex. Jezu, to bez sensu. Jak szukanie wiatru w polu. Pasza Sorokin przepadł.

–Jedźmy. Bierz psa – mruknąłem. – Jedziemy do Davisów.

Rozdział 104

Kiedy jechaliśmy do domu Davisów z brązowym spanielem w białe łaty, usłyszeliśmy przez krótkofalówkę:

–Dwaj podejrzani osobnicy płci męskiej. Idą w kierunku Las Olas Boulevard. Zauważyli nas! Prowadzimy pogoń.

Byliśmy kilka przecznic od dzielnicy handlowej. Dotarliśmy tam w kilka minut. Cocker spaniel czekał na tylnej kanapie. Radiowozy policji z Fort Lauderdale i sedany FBI już utworzyły ciasny krąg wokół sklepu odzieżowego GaPa. Dojeżdżały kolejne radiowozy, noc rozbrzmiewała wyciem syren. Ulica była zatłoczona ludźmi i miejscowa policja miała problem z zatrzymywaniem pieszych.

Mahoney podjechał do blokady. Opuściliśmy szybę, żeby pies miał czym oddychać. Wyskoczyliśmy z wozu i pobiegliśmy w kierunku GaPy. Mieliśmy na sobie kamizelki kuloodporne, a w rękach broń krótką.

W sklepie paliło się światło. Widziałem ludzi w środku. Ale nie Wilka. Ani jego ochroniarza.

–Uważamy, że to on – powiedział nam jeden z agentów, kiedy zbliżyliśmy się do sklepu.

–Ilu uzbrojonych w środku? – spytałem.

–Widzieliśmy tylko dwóch. Dwóch, o których wiemy. Ale może być ich więcej. Jest spore zamieszanie.

–Święta prawda – przyznał Mahoney. – Też odniosłem takie wrażenie.

Przez następne kilka minut nie wydarzyło się nic sensownego poza tym, że zjawilo się więcej radiowozów i uzbrojony po zęby oddział SWAT w kamizelkach kuloodpornych i hełmach. Pojawił się też negocjator do rozmów z porywaczami. Dwa śmigłowce stacji telewizyjnych zawisły nad magazynem GaPy i otaczającymi go sklepami.

–Cholera, w środku nikt nie podnosi telefonu – zgłosił nam negocjator. – Dzwoni i dzwoni.

Mahoney spojrzał na mnie pytająco.

Wzruszyłem ramionami.

–Nawet nie wiemy, czy to oni tam są. Negocjator podniósł megafon.

–Tu policja Fort Lauderdale. Macie zaraz wyjść. Nie zamierzamy prowadzić negocjacji. Wychodzić z rękami do góry. Ktokolwiek jest w środku, ma wyjść!

Ten ton wydał mi się niewłaściwy. Zbyt konfrontacyjny. Podszedłem do negocjatora.

–Jestem funkcjonariuszem FBI, nazywam się Alex Cross. Czy musimy przyciskać go do muru? To porywczy człowiek. I bardzo niebezpieczny.

Negocjator był potężnie zbudowanym mężczyzną z sumiastym wąsem. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, ale nawet nie raczył jej zapiąć.

–Spierdalaj! – wrzasnął mi w twarz.

–To sprawa federalna! – odpowiedziałem mu natychmiast tym samym tonem. Wyrwałem mu megafon. Negocjator rzucił się na mnie z pięściami, Mahoney jednak obalił go na ziemię. Dziennikarze widzieli zajście, ale do diabła z nimi. Mieliśmy

robotę do wykonania.

–Tu FBI! – powiedziałem przez megafon. – Chcę rozmawiać z Paszą Sorokinem.

Potem wydarzyła się najdziwniejsza rzecz tej nocy, a już wydarzyło się mnóstwo dziwnych rzeczy. Ledwo wierzyłem własnym oczom.

Frontowymi drzwiami sklepu wyszło dwóch mężczyzn. Zasłaniali sobie twarze dłońmi, może przed kamerami, a może przed nami.

–Położyć się na ziemi! – krzyknąłem do nich. Nie posłuchali. Ale rozpoznałem ich – to był Sorokin i jego ochroniarz.

–Jesteśmy nieuzbrojeni! – zawołał Sorokin na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli. – Jesteśmy niewinnymi obywatelami. Nie mamy broni.

Nie wiedziałem, czy mu wierzyć. Nikt z nas nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Telewizyjny śmigłowiec niebezpiecznie zmniejszył wysokość.

–Co on robi? – spytał mnie Mahoney.

–Nie wiem... Na ziemi! – krzyknąłem znowu.

Wilk i ochroniarz nadal szli w naszym kierunku. Wolno i ostrożnie.

Mahoney i ja wysunęliśmy się przed policjantów. Mieliśmy broń w rękach. Czy to był jakiś trik? Co tamci szykowali? Przecież celowało w nich wiele strzelb, karabinów i pistoletów.

Kiedy Wilk mnie zobaczył, uśmiechnął się.

Do diabła, czemu on się śmieje?, pomyślałem.

–No więc złapaliście nas! – zawołał. – Też mi coś! Wiesz, że to bez znaczenia. Mam dla ciebie niespodziankę, panie FBI. Gotów? Nazywam się Pasza Sorokin. Ale nie jestem Wilkiem. – Roześmiał się głośno. – Jestem tylko zwykłym facetem robiącym zakupy w GaPie. Zamoczyłem sobie ubranie. Nie jestem Wilkiem, panie FBI. Śmieszne, nie? Cieszysz się? Bo ja tak. I Wilk też się ucieszy.

Rozdział 105

Pasza Sorokin nie był Wilkiem! Czy to możliwe? Nie mieliśmy jak sprawdzić tej informacji. W ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin otrzymaliśmy potwierdzenie, że zatrzymani na Florydzie to faktycznie Pasza Sorokin i Rusłan Fiederow. Należeli do czerwonej mafii, ale obaj twierdzili, że nigdy nie spotkali prawdziwego Wilka. Mówili, że „grali wyznaczone role”, że zostali podstawieni. Teraz byli gotowi iść na współpracę i zawrzeć z nami układ.

Nie za bardzo wiedzieliśmy, co jest prawdą, a co nie, ale układy ciągnęły się przez dwa dni. Biuro lubiło układy. Ja nie. Nawiązano łączność z wtykami w czerwonej mafii i zrodziły się wątpliwości, czy Pasza Sorokin to Wilk. W końcu znaleziono pracowników CIA, którzy przeszmyglowali Wilka z Rosji, i przyprowadzono ich do celi Paszy. Powiedzieli, że to nie człowiek, któremu pomogli się wydostać ze Związku Sowieckiego.

Potem Sorokin wskazał nam człowieka, na którym nam zależało, a kiedy się dowiedzieliśmy, kto to jest, przeżyłem szok, wszyscy przeżyliśmy szok.

Wskazał nam Sfinksa.

Następnego rana cztery zespoły agentów FBI czekały przed domem Sfinksa. Chcieliśmy go dopaść, kiedy będzie wychodził do pracy. Ustaliliśmy, że nie aresztujemy go w domu. Nie miałem serca tego zrobić. Po prostu nie miałem.

Wszyscy uznaliśmy, że Lizzie Connolly i jej córki wycierpiały już wystarczająco dużo. Nie musiały oglądać aresztowania Brendana Connolly'ego, Sfinksa, w ich rodzinnym domu w Buckhead. Nie musiały dowiadywać się straszliwej prawdy w taki sposób.

Siedziałem w granatowym sedanie dwie przecznice dalej, ale widziałem dobrze duży dom w kolonialnym stylu. Czułem się jak sparaliżowany. Pamiętałem moją pierwszą wizytę w tym miejscu. Przypominałem sobie rozmowę z dziewczętami, a potem z Brendanem Connollym w jego gabinecie. Jego smutek wydał mi się płynący z serca, był tak autentyczny jak rozpacz córek.

Oczywiście nikt nie mógł podejrzewać, że oszukał swoją żonę, że sprzedał ją komuś innemu że Sorokin poznał Elizabeth na przyjęciu w domu Connolly'ego. Pożądał jej, a Brendanowi Connolly'emu nie zależało na żonie. Sędzia od lat miewał romanse. Elizabeth przypominała Sorokinowi modelkę Claudię Schiffer, królującą na billboardach w całej Moskwie, kiedy był tam gangsterem. Tak więc zawarto przerażającą umowę. Mąż sprzedał w niewolę własną żonę; pozbył się jej w najgorszy sposób, jaki tylko można było sobie wyobrazić. Jak mógł tak bardzo nienawidzić Elizabeth? I jak ona mogła go kochać?

Ned Mahoney był ze mną w samochodzie. Czekaliśmy na dalszy rozwój wypadków, na aresztowanie Sfinksa. Skoro na razie nie mogliśmy dorwać Wilka, Sfinks był drugi na naszej liście, był naszą nagrodą pocieszenia.

–Zastanawiam się, czy Elizabeth wiedziała o drugim życiu męża – zamruczał Mahoney.

–Może coś podejrzewała. Rzadko sypiali ze sobą. Kiedy byłem w ich domu, Connolly zaprosił mnie do gabinetu. Stało tam łóżko. Z rozrzuconą pościelą.

–Myślisz, że wyjdzie dziś do pracy? – spytał Mahoney. Gryzł spokojnie jabłko.
Opanowany partner.

–Wie, że aresztowaliśmy Sorokina i Federowa. Wyobrażam sobie, że będzie ostrożny. Pewnie będzie rozgrywał to tak, jakby nic się nie stało. Trudno powiedzieć.

–Może powinniśmy aresztować go w domu. Co o tym myślisz? – Gryzł dalej jabłko. – Alex?

Pokręciłem głową.

–Nie mogę tego zrobić, Ned. Nie mogę tego zrobić jego rodzinie.

–W porządku. Tylko pytam, stary.

Czekaliśmy. Kilka minut po dziewiątej Brendan Connolly w końcu wyszedł z domu frontowymi drzwiami. Podszedł do srebrzystego porsche boxtera, stojącego na podjeździe. Miał na sobie niebieski garnitur, niósł czarną sportową torbę.

Pogwizdywał.

–Ścierwo! – szepnął Mahoney i powiedział przez radio:

–Tu Alfa Jeden... Sfinks wychodzi z domu. Wsiada do porsche. Przygotować się do otoczenia celu. Numery rejestracyjne pojazdu: V sześć T osiem jeden K.

Natychmiast usłyszeliśmy odzew.

–Tu Beta Jeden... mamy Sfinksa jak na dłoni. Jest w naszym zasięgu. Jest nasz. Zgłosił się kolejny zespół:

–Beta Trzy na posterunku, drugie skrzyżowanie. Czekamy na niego.

–Powinien być za jakieś piętnaście sekund. Jedzie ulicą. Skręca w prawo.

Odwróciłem się do Mahoneya.

–Chcę go aresztować, Ned.

Spoglądał prosto przed siebie. Nie odpowiedział.

Obserwowałem porsche, kiedy mijało kolejne skrzyżowanie. Zakręciło. I nagle Brendan Connolly wcisnął gaz do dechy. Uciekał!

–O rany! – jęknął Mahoney i wyrzucił ogryzek.

Rozdział 106

Przyszedł meldunek radiowy.

–Podejrzany jedzie na południowy wschód. Musiał nas zobaczyć.

Pognałem we wskazanym kierunku. Wyciągałem sześćdziesiąt pięć mil na godzinę na wąskiej, krętej ulicy zabudowanej identycznymi Rezydencjami. Nadal nie widziałem srebrnego porsche.

–Jadę na wschód – powiedziałem przez krótkofalówkę. – Myślę, że stara się dojechać do autostrady. – Nic innego nie przyszło mi do głowy. Minąłem parę samochodów jadących w przeciwnym kierunku spokojną ulicą. Kilku kierowców zatrąbiło. Też bym trąbił na ich miejscu. Gnałem siedemdziesiąt pięć mil na godzinę w obszarze zabudowanym.

–Widzę go! – ryknął Mahoney.

Nacisnąłem mocniej gaz. W końcu zacząłem zmniejszać dystans. Zauważyłem niebieskiego sedana, zbliżającego się do porsche ze wschodu. To był Beta Dwa. Wzięliśmy Brendana Connolly'ego w dwa ognie. Ale pozostawało pytanie, podda się czy nie.

Nagle porsche wyskoczyło z drogi i wpadło między wysokie krzaki. Pochyliło się w przód, a potem znikło na stromej pochyłości.

Nie zwolniłem do ostatniej sekundy. Ostro zahamowałem, wpadając w poślizg kontrolowany i obracając w miejscu samochód o sto osiemdziesiąt stopni.

–Jezu Chryste! – krzyknął Mahoney.

–Myślałem, że jesteś z HRT – powiedziałem.

Roześmiał się.

–W porządku, partnerze! Łapmy drania!

Poprowadziłem sedana przez gęste zarośla, w dół stromego zbocza, pełnego wielkich kamieni i drzew. Wydostawszy się spomiędzy krzewów, nadal niewiele widziałem. Te wszystkie drzewa ograniczały widoczność. Nagle dostrzegłem porsche. Wpadło na niewielki dąb i sunęło teraz bezwładnie bokiem. Zjechało tak pięćdziesiąt stóp, aż wreszcie się zatrzymało.

Sfinks został unieruchomiony.

Łapać drania!

Rozdział 107

Chcieliśmy dopaść Sfinksa, Mahoney i ja. Traktowałem to osobiście, Mahoney może też. Zjechałem na luzie jeszcze kilkadziesiąt jardów i zacząłem hamować, aż samochód się zatrzymał. Wyskoczyliśmy z niego. Ślizgaliśmy się na stromym wzgórzu, pokrytym mułem.

–Zawołany sukinsyn! – krzyknął Ned Mahoney, kiedy bieglśmy, potykając się.

–Co mu zostawało? Musiał uciekać.

–To było do ciebie. Ty jesteś wariat! Co za jazda!

Zobaczyliśmy, że Brendan Connolly wysiada z uszkodzonego porsche. Zataczał się. Wycelował do nas z pistoletu i strzelił szybko raz za razem. Nie był snajperem, ale w magazynku miał ostre naboje.

–Sukinsyn! – zaklął Mahoney i strzelił w porsche. Po to tylko, by Connolly wiedział, że jeśli zechcemy, możemy położyć go trupem. – Odłóż broń! – krzyknął. – Odłóż broń!

Brendan Connolly pobiegł w dół wzgórza, ale często się potykał. Skracaliśmy dystans, aż zbliżyliśmy się na trzydzieści jardów.

–Zostaw to mnie – powiedziałem do Mahoneya.

Brendan Connolly obejrzał się przez ramię. Był zmęczony lub przestraszony albo jedno i drugie. Przebierał ciężko nogami i machał rękami. Może i ćwiczył na siłowni, ale nie był przygotowany na taki wysiłek.

–Cofnij się! Będę strzelał! – krzyknął. Był o krok ode mnie.

Wpadłem na niego jak rozpędzony ciągnik siodłowy na toczący się w żółwym tempie kompaktowy samochodzik. Connolly padł i potoczył się bezwładnie. Ja nadal stałem prosto. Nawet nie straciłem równowagi. To była przyjemna część śledztwa, rekompensata za wszystkie nasze nietrafione decyzje i porażki.

Connolly toczył się bezradnie dwadzieścia stóp, a potem popełnił swój największy błąd – wstał.

Nie minęła sekunda, a już znalazłem się przy nim. Miałem Sfinksa na wyciągnięcie ręki, tak jak chciałem. Byłem solo z draniem. Z tym, który sprzedał swoją żonę, matkę swoich dzieci.

Prawą ręką uderzyłem mocno w przegrodę nosową Connelly'ego. Trafiłem idealnie, w każdym razie prawie idealnie. Sądząc po trzasku, który się rozległ, złamałem mu nos. Upadł na jedno kolano, ale znów wstał. Były futbolista. Były twardziel. Teraz dupek.

Nos miał przestawiony. Drobiazg. Przyłożyłem mu hakiem w dołek i tak mi się to spodobało, że zaraz poprawiłem w to samo miejsce, tym razem prawym prostym. Connolly sflaczał. Kolejny cios, krótki sierp w policzek. Każde następne uderzenie wychodziło mi lepiej.

Krótki prosty w złamany nos i Connolly zajęczał. Znów prosty. I szeroki podbródkowy. W punkt. Niebieskie oczy Brendana Connolly'ego uciekły w głąb czaszki. Powieki mu się zamknęły, padł w błoto i tak pozostał, w odpowiednim dla niego miejscu.

Za pleców usłyszałem głos Mahoneya, który stał kilka jardów wyżej:

-Tak się to załatwia w stolicy? Spojrzałem na niego.

-Żebyś wiedział, dzikusie. Mam nadzieję, że robiłeś notatki.

Rozdział 108

Następnych kilka tygodni było spokojnych. Tak niepokojąco spokojnych, że można było oszaleć. Odkomenderowano mnie do kwatery głównej w Waszyngtonie. Zostałem zastępcą szefa wydziału śledczego, podlegającego bezpośrednio dyrektorowi Burnsowi. Wszyscy mówili: „Świetną synekurą”. Ale robota za biurkiem wcale mi się nie uśmiechała. Chciałem dopaść Wilka. Chciałem działać. Chciałem wyjść poza mury. Nie przyszedłem do Biura, żeby zostać gryziopiórkiem w Hooverze.

Dostałem tydzień wolnego i chodziliśmy wszędzie razem, Nana, dzieci i ja. Ale w domu panowało napięcie. Zastanawialiśmy się, jaki numer wytnie nam Christine Johnson.

Za każdym razem, kiedy spoglądałem na Alexa, czułem ucisk w sercu, za każdym razem, kiedy miałem go w ramionach albo kładłem spać pod koniec dnia. Wyobrażałem sobie, jak to będzie, gdy zniknie na zawsze z domu. Nie chciałem na to pozwolić, ale mój adwokat przestrzegł mnie, że to możliwe.

Pewnego dnia, kiedy miałem wolne, dyrektor wezwał mnie do gabinetu, więc wpadłem do Biura, podrzuciwszy najpierw dzieci do szkoły. Asystent Bumsa, Tony Woods, ucieszył się na mój widok.

–Jesteś bohaterem dnia. Ciesz się i używaj życia, ile wlezie – powiedział. Jak zawsze, przybrał ton wykładowcy elitarnego uniwersytetu. – To krótki kontrakt od losu.

–Tony wieczny optymista.

–Mam to zapisane w obowiązkach, młody człowieku.

Zastanawiałem się, z czego Ron Burns zwierza się swojemu asystentowi.

Ciekawiło mnie także, co zaaplikuje mi tego rana. Chciałem zapytać Tony’ego o moją synekurę. Nie zapytałem jednak. Doszedłem do wniosku, że i tak pewnie by mi nie powiedział.

W gabinecie Burnsa czekała kawa i cukrowe patyczki, ale samego dyrektora nie było. Przed chwilą minęła ósma. Uznałem, że widocznie nie przyszedł jeszcze do pracy. Trudno było mi wyobrazić sobie Rona Bumsa poza biurem, chociaż wiedziałem, że ma żonę i czwórkę dzieci i mieszka w Wirginii, godzinę drogi od Waszyngtonu.

W końcu pojawił się w drzwiach. Miał na sobie krawat i niebieską szykowną koszulę z podwiniętymi rękawami. Tak więc odbył już co najmniej jedno spotkanie. Prawdę mówiąc, liczyłem na to, że nasza rozmowa nie będzie dotyczyć nowej sprawy, którą chce mi zwalić na głowę. Chyba że chodziłoby o Wilka.

Burns uśmiechnął się szeroko na mój widok. Natychmiast zrozumiał moje spojrzenie.

–Tak, mam dla ciebie kilka wrednych spraw. Ale nie dlatego chciałem się z tobą spotkać, Alex. Napij się kawy. Rozluźnij się. Jesteś na urlopie, no nie? – Wszedł do środka i usiadł naprzeciwko mnie. – Chciałem wiedzieć, jak ci się u nas układa. Tęsknisz za wydziałem zabójstw? Nadal chcesz zostać w Biurze? Jeśli chcesz, możesz odejść. Policja waszyngtońska marzy o twoim powrocie.

–Miło usłyszeć, że się jest potrzebnym. A co do Biura... Co mam powiedzieć? Środki działania oszałamiające. Wielu dobrych ludzi, wspaniałych ludzi. Mam

nadzieję, że pan o tym wie.

–Wiem. Bardzo lubię i szanuję nasz personel, przynajmniej większość. A minusy? – spytał. – Jakież problemy? Rzeczy do zrobienia? Chcę usłyszeć, co myślisz. Zależy mi na tym. Powiedz mi prawdę.

–Tutejszy styl życia to biurokracja. To niemal kultura pracy FBI. I strach. Głównie natury politycznej. Blokuje wyobraźnię agentów. Wspomniałem już o biurokracji? Jest koszmarna, potworna, obezwładniająca. Proszę tylko posłuchać agentów.

–Właśnie słucham – mruknął Burns. – Jedź dalej.

–Agenci nie mogą rozwinąć skrzydeł, nie mogą pokazać, co potrafią. Nie pozwala im się na to. Ale oczywiście zawsze mogą się na to poskarżyć, no nie?

–W twojej starej robocie w Waszyngtonie też?

–Tam mogłem omijać większość skostniałych przepisów i innych gówien, które utrudniały mi życie.

–Dobra. Dalej omijaj to gówna, Alex – powiedział Burns. – Nawet kiedy ja ci je podrzucę. Uśmiechnąłem się.

–To rozkaz?

Skinął z powagą głową. Czuję, że myśli o czymś innym.

–Właśnie mam za sobą ciężką rozmowę. Gordon Nooney opuszcza Biuro. Pokręciłem głową.

–Chyba nie mam z tym nic wspólnego. Nie znam na tyle dobrze Nooneya, by go oceniać. Serio. Nie znam go.

–Przykro mi, ale właśnie masz. To była moja decyzja. Nie lubię zasypiać gruszek w popiele. I na tyle znam Nooneya, by go ocenić. To on wychłapał szczegóły śledztwa ludziom z „Washington Post”. Ten sukinsyn cynkował im od lat. Alex, myślałem o tym, żeby wstawić cię na miejsce Nooneya.

To był dla mnie wstrząs.

–Nigdy nie szkoliłem ludzi. Sam nie skończyłem szkolenia początkowego.

–Ale mógłbyś szkolić ludzi. Nie byłem tego pewien.

–Może nie dałbym rady. Wolę jednak działalność operacyjną. Mam to we krwi.

–Wiem. Rozumiem cię, Alex. Ale chcę, żebyś pracował tu, w Hooverze.

Zamierzamy zmienić tutejszy stan rzeczy. Chcemy odnosić więcej zwycięstw niż porażek. Będziesz pracował nad dużymi sprawami ze Stacy Pollack tu, w kwaterze głównej. Jest jedną z najlepszych. Twarda, mądra, mogłaby kiedyś prowadzić ten interes.

–Mogę pracować ze Stacy – odparłem, nie drążąc głębiej tematu.

Ron Burns wyciągnął rękę i uściskałem ją.

–To dobrze się zapowiada. Podniecająca sprawa – powiedział. – Co przypomina mi o obietnicy, którą ci złożyłem. Jest tu miejsce dla wywiadowcy Johna Sampsona i każdego pracownika operacyjnego z Waszyngtonu, którego wskażesz. Każdego, kto chce zwyciężać. Bo my będziemy zwyciężać, Alex.

Przypieczętowaliśmy naszą umowę kolejnym uściskiem dłoni. Cóż, rzecz w tym, że ja też chciałem zwyciężać.

Rozdział 109

W poniedziałek rano byłem w moim nowym pokoju na czwartym piętrze kwatery głównej w Waszyngtonie. Wcześniej Tony Woods oprowadził mnie po budynku. Uderzyły mnie dziwne, zabawne drobiazgi, które potem nie mogły mi wyjść z głowy. Na przykład w całym budynku drzwi pokoi biurowych były metalowe, z wyjątkiem piętra dyrekcji, na którym były drewniane. Ale te drewniane drzwi wyglądały zupełnie jak metalowe. Witajcie w FBI.

Poza tym czekała mnie masa zarządzeń i korespondencji. Miałem także nadzieję, że przyzwyczaję się do gołej klitki o wymiarach jedenaście stóp na pięć. Meble wyglądały na wypożyczone z Państwowego Urzędu Rozliczeń* [odpowiednik NIK – u].

Biurko, fotel, szafka na akta z dużym cyfrowym zamkiem i wieszak, na którym wisiała moja czarna keylarowa kamizelka i niebieska nylonowa kurtka noszona podczas akcji. Z okna widok na Pennsylvania Avenue. Tak w FBI wyglądała premia do pensji.

Tuż po czternastej zadzwonił telefon, pierwszy raz w moim nowym pokoju. Dzwonił Tony Woods.

–Wszystko gra? – spytał. – Czegoś potrzebujesz?

–Docieram się, Tony. Wszystko świetnie. Dzięki za troskę.

–Doskonale, Alex. Za godzinę wylatujesz z miasta. W Brooklynie trafiono na ślad Wilka. Stacy Pollack leci z tobą, więc sprawa ma duży wymiar. Startujecie z Quantico piętnasta zero zero. To śledztwo nie jest skończone.

Zadzwoniłem do domu, zabrałem trochę materiałów na temat Wilka, wziąłem torbę z rzeczami na zmianę i kosmetykami, którą kazano mi trzymać w biurze, i poszedłem na parking. Stacy Pollack zeszła tam dwie minuty później.

Pojechaliśmy jej samochodem i po niecałej półgodzinie znaleźliśmy się na małym prywatnym lotnisku w Quantico. Po drodze opowiedziała mi o brooklyńskim śladzie. Podobno w Brighton Beach namierzono prawdziwego Wilka. No cóż, przynajmniej nie złożyliśmy broni.

Czekał na nas jeden z czarnych bellów. Wysiedliśmy z auta i szliśmy ramię w ramię do helikoptera. Niebo było jasnoblękitne. Rzędy chmur rozstępowały się na horyzoncie.

–Ładny dzień na wypadek kolejowy – powiedziała Stacy i uśmiechnęła się.

Odrzuciłem głowę, śmiejąc się. W tym momencie w lesie za naszymi plecami gruchnął strzał. Pocisk trafił Stacy. Padła zalana krwią. Rzuciłem się na ziemię, przykrywając dziewczynę własnym ciałem.

Na lądowisko wybiegli agenci. Jeden z nich strzelił w kierunku lasu, w którym krył się snajper. Dwaj popędzili do nas, inni do lasu. Leżałem na Stacy, starając się ją osłonić. Miałem nadzieję, że żyje, i zastanawiałem się, czy kula nie była przeznaczona dla mnie.

„Nigdy nie dopadniecie Wilka”, powiedział Pasza Sorokin, na Florydzie. „On dopadnie was”. Ostrzeżenie się sprawdziło.

Wieczorem w Hooverze odbyła się odprawa. Jeszcze nigdy nie widziałem tam

takiego poruszenia. Stacy Pollack żyła, ale była w krytycznym stanie. Leżała w szpitalu imienia Waltera Reeda. Cieszyła się ogromnym szacunkiem i nikt nie mógł uwierzyć, że znalazła się na celowniku skrytobójcy. Ja jednak wciąż zadawałem sobie pytanie, czy tamta kula naprawdę była przeznaczona dla niej. Mieliśmy lecieć do Nowego Jorku w sprawie Wilka, więc był głównym podejrzanym o wydanie wyroku na Stacy. Ale czy miał kogoś do pomocy? Kogoś z Biura?

–Jest jeszcze jedna zła wiadomość – oświadczył Ron Burns. – Ślad w Brighton Beach okazał się fałszywy. Wilka nie ma w Nowym Jorku i wygląda na to, że nie pojawił się tam ostatnio. Musimy wyjaśnić sobie następujące sprawy: czy wiedział, że chcemy go dopaść? Jeśli tak, to skąd? Czy doniósł mu ktoś z nas? Obiecuję, że nie powstrzymamy się przed niczym, żeby znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Po odprawie zaproszono mnie do gabinetu dyrektora na spotkanie w węższym gronie. W dalszym ciągu panowała atmosfera powagi i wzburzenia. Znowu zabrał głos Burns. Nigdy nie widziałem go tak wyprowadzonego z równowagi.

–Kiedy mówiłem, że załatwimy tego ruskiego drania, nie rzucałem słów na wiatr. Organizuję zespół BAM, który weźmie się za niego. Sorokin powiedział, że Wilk dobierze się do nas, i tak się stało. Teraz my weźmiemy się za niego, wykorzystując wszystko, co mamy, wszelkie dostępne środki.

Zebrani pokiwali z aprobatą głowami. Słyszałem, że FBI używa zespołów BAM, ale nie wiedziałem, czy to prawda. Znałem znaczenie tego skrótu: Wszelkimi Dostępnymi Środkami. To właśnie chcieliśmy usłyszeć. To właśnie chciałem usłyszeć.

Miałem wrażenie, jakby wszystko działo się za szybko, jakby wydarzenia wymknęły się spod kontroli. I może moje wrażenie pokrywało się z rzeczywistością. Sprawa wymknęła się nam spod kontroli. To Wilk ją kontrolował.

Dwie noce później zadzwonił u mnie telefon. Było kwadrans po trzeciej.

–Oby to było coś dobrego – powiedziałem do słuchawki.

–Niestety. Wszystko szlag trafił, Alex. To wojna. – Dzwonił Tony Woods. Mówił jak nieprzytomny.

–Jaka wojna? – spytałem, masując sobie czoło. – Co się stało?

–Kilka minut temu dostaliśmy wiadomość z Teksasu. Lawrence Lipton nie żyje, został zamordowany. Dopadli go w celi. Natychmiast ocrząsnąłem się ze snu.

–Jak to możliwe? Był przecież pod ochroną.

–Zabito dwóch strzegących go agentów. Przewidział to.

Skinąłem głową i mruknąłem: – Uhm.

–Alex, dopadli też rodzinę Liptona. Wszyscy nie żyją. HRT jedzie do ciebie, do dyrektora i do Mahoneya. Każdy, kto pracował przy tej sprawie, jest narażony na atak.

Ta wiadomość w końcu wypędziła mnie z łóżka. Wyjąłem mojego glocka z zamykanej na klucz nocnej szafki.

–Będę czekał na HRT – powiedziałem Woodsowi i szybko zszedłem na dół z pistoletem w dłoni.

Czy Wilk już tu jest? pytałem się w duchu.

Wojna zawitała w nasze progi kilka minut później i chociaż były to tylko oddziały HRT, ich widok przerażał. Nana wstała z łóżka i powitała gniewnymi spojrzeniami uzbrojonych po zęby agentów, ale poczęstowała ich kawą. Potem poszliśmy obudzić dzieci, najdelikatniej, jak się dało.

–To nie w porządku, Alex. Nie w naszym domu – szepnęła Nana, kiedy szliśmy na górę. – Gdzieś musi być granica, no nie? To jest złe.

–Wiem o tym. Sprawa wymknęła się spod kontroli, wszystko wymknęło się spod kontroli. Taki jest teraz świat.

–Więc co zamierzasz z tym zrobić? Co planujesz?

–W tej chwili? Obudzić dzieci. Uściskać je, ucałować. I na jakiś czas wywieźć z domu.

–Czy ty wiesz, co mówisz? – spytała Nana, kiedy znaleźliśmy się pod drzwiami Damona. Już siedział na łóżku.

–Tato? – powiedział.

Za moimi plecami wyrósł Ned Mahoney.

–Alex, możesz mi poświęcić chwilę? – spytał.

Co on robił w moim domu? Co jeszcze się wydarzyło?

–Wyciągnę je z łóżek i przypilnuję, żeby się ubrały – powiedziała Nana. – Porozmawiaj ze swoim przyjacielem. Oddaliśmy się o kilka kroków.

–Co jest, Ned? – spytałem. – Czy to nie może poczekać kilka minut? Jezu.

–Dranie zaatakowali dom Burnsa. Ale nikomu nic się nie stało. Przyjechaliśmy na czas. Spojrzałem mu w oczy.

–A twoja rodzina?

–Jest poza domem. W bezpiecznym miejscu. Musimy znaleźć drania i zniszczyć. Skinąłem głową.

–Daj mi czas na wyprawienie dzieci.

Dwadzieścia minut potem moja rodzina wyszła pod eskortą do vana. Jak przerażeni uchodźcy w strefie działań wojennych. W tym kierunku zmierzał świat, no nie? Każde miasto, większe i mniejsze, było potencjalnym miejscem bitwy. Nigdzie nie można było czuć się bezpiecznym.

Zanim wsiedliśmy do samochodu, zauważyłem fotografa stojącego po przeciwnej stronie ulicy. Chyba robił nam zdjęcia, kiedy się ewakuowaliśmy. Po co?

Nie wiedziałem, kim on jest, ale coś mnie tknęło.

Nie jest z żadnej gazety, pomyślałem. Przepęłniały mnie gniew i obrzydzenie. Pracuje dla adwokatki Christine.

Rozdział 111

Zapanował chaos.

Następne trzy dni spędziłem w Huntsville w Teksasie. W tamtejszym więzieniu federalnym zamordowano Lawrence'a Liptona. FBI nie uchroniło go przed śmiercią. Nikt nie wiedział, jak doszło do zamordowania aresztowanego i strzegących go agentów.

Wydarzyło się to nocą. W celi. A dokładniej w kilku połączonych celach, w których go ulokowano. Żadna z kamer wideo niczego nie zarejestrowała. Żadne rozmowy ani przesłuchania nie doprowadziły do wskazania sprawców. Liptonowi połamano wszystkie kości. Zamoczył. Znak firmowy czerwonej mafii.

W ten sam sposób potraktowano latem włoskiego mafioso, Augustina Palumbo. Krążyły opowieści, że mordercą Palumbo był rosyjski gangster, prawdopodobnie Wilk. Morderstwa dokonano w bardzo dobrze strzeżonym więzieniu we Florence w Kolorado.

Następnego ranka pojechałem do Kolorado, by odwiedzić Kyle'a Craiga, niegdyś agenta FBI i mojego przyjaciela. Kyle był winny kilkunastu morderstw; okazał się jednym z najgorszych morderców psychopatów w historii. Ja go ująłem. Mojego przyjaciela.

Spotkaliśmy się w pokoju przesłuchań, przy pojedynkach. Kyle wyglądał zaskakująco dobrze. Kiedy rozmawiałem z nim ostatni raz, był wychudzony i bardzo blady, miał wielkie sińce pod oczami. Teraz przybrał na wadze co najmniej trzydzieści funtów, a były to same mięśnie. Zastanawiałem się, dlaczego ćwiczy jak opętany. Co dało mu nadzieję? Nie wiedziałem co, ale ogarnął mnie lęk.

–Wszystkie drogi prowadzą do Florence? – zażartował i uśmiechnął się szeroko, kiedy wszedłem do pokoju przesłuchań. – Paru twoich współpracowników z Biura było tu już wczoraj. A może przedwczoraj? Wiesz, Alex, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, powiedziałaś, że nie obchodzi cię, co myślę. To było bolesne.

Wiedziałem, że poprawiając Kyle'a ziryтую go, ale nie zawahałem się.

–Nie tak powiedziałem. Oskarżyłeś mnie o ustępliwość i dodałeś, że ci się to nie podoba. A ja odparłem: „Kogo obchodzi, co ci się podoba, a co nie?”. Ale obchodzi mnie to, co myślisz. Dlatego przyjechałem.

Kyle znów się roześmiał. Ten śmiech i widok obnażonych zębów budziły dreszcz.

–Zawsze byłeś moim ulubieńcem – mruknął.

–Liczyłeś na to, że przyjadę? – spytałem.

–Hm... Czy ja wiem? Chyba tak. Ale nie sądziłem, że zrobisz to teraz.

–Wyglądasz, jakbyś spodziewał się nie wiadomo czego. Jesteś taki napakowany.

–Czego mógłbym się spodziewać?

–Wszystkiego, co wiąże się z twoimi gigantycznymi ułudami, fantazjami o zabijaniu, gwałceniu i mordowaniu niewinnych ludzi.

–Nie cierpię, kiedy bawisz się w psychologa, Alex. Nie odniosłeś oszałamiających sukcesów w tej dziedzinie.

Wzruszyłem ramionami.

–Wiem, Kyle. Żaden z moich pacjentów na południowym wschodzie nie miał

pieniędzy, żeby mi zapłacić. Musiałbym zacząć praktykę w Georgetown. Może kiedyś to zrobię.

Znów się roześmiał.

–I ty mówisz o uludach! Więc po co przyjechałeś? Nie mów, sam ci powiem.

Okazało się, że nastąpiła straszliwa pomyłka wymiaru sprawiedliwości i będę zwolniony. Jesteś posłańcem dobrych wieści.

–Jedyna pomyłka polega na tym, że nie skazano cię na krzesło elektryczne, Kyle. Oczy mu zabłyśły. Naprawdę byłem jednym z jego ulubieńców.

–W porządku. Czy teraz, kiedy mnie oczarowałeś, powiesz mi, czego chcesz?

–Wiesz czego, Kyle. Dobrze wiesz, po co tu jestem. Klasnął w rękę.

–Zamoczył! Chodzi o tego zwariowanego Rosjanina!

W ciągu następnej półgodziny przekazałem Kyle'owi wszystko, co wiedziałem o Wilku; no, prawie wszystko. Na koniec powiedziałem mu coś, co naprawdę powinno go rozruszać.

–Spotkał się z tobą tej nocy, kiedy przyszedł zabić Małego Gusa Palumbo.

Przygotowałeś mu grunt pod mokrą robotę? Ktoś to zrobił.

Kyle rozsiadł się wygodnie z taką miną, jakby rozważał swoje opcje, ale wiedziałem, że już zdecydował, co uczyni. Zawsze był kilka kroków do przodu.

W końcu pochylił się i skinął na mnie. Nie obawiałem się go, przynajmniej fizycznie, nawet mimo tych mięśni, które mu przybyły. Niemal miałem nadzieję, że mnie zaatakuje.

–Robię to z sympatii i szacunku do ciebie – rzekł Kyle. – Faktycznie w lecie spotkałem się z tym Rosjaninem. Bezlitosny gość, bezwzględny. Spodobał mi się. Graliśmy w szachy. Wiem, kim jest, mój przyjacielu. Mogę ci pomóc.

Rozdział 112

Musiałem poświęcić kolejny dzień na pobyt we Florence, ale w końcu udało mi się wyciągnąć od Kyle'a nazwisko. Teraz pytanie brzmiało: czy mogę mu wierzyć? Cynk sprawdzono raz i drugi w Waszyngtonie i Biuro nabrało pewności, że Kyle dał nam przywódcę czerwonej mafii. Miałem co do tego wątpliwości, przecież informatorem był kryminalista. Ale nie mieliśmy innych śladów.

Może Kyle chciał mnie wykończyć albo skompromitować Biuro. A może chciał pokazać, jaki jest sprytny, jakie ma znajomości, jak bardzo przerasta nas wszystkich. Nazwisko i pozycja wskazanego nie ułatwiały nam zadania. Aresztowanie takiej grubej ryby było zadaniem kontrowersyjnym i ryzykownym. Gdybyśmy przymknęli człowieka o tej pozycji i okazałoby się, że to pomyłka, Biuro byłoby skompromitowane na długi czas.

W tej sytuacji zwlekaliśmy prawie tydzień. Kolejny raz sprawdziliśmy wszystkie informacje i dokonaliśmy rozpoznania operacyjnego. Objęto podejrzanego obserwacją.

Kiedy wszystko było zapięte na ostatni guzik, spotkałem się w gabinecie Burnsa z nim samym i dyrektorem CIA. Mój obecny szef od razu przeszedł do rzeczy.

–Uważamy, że to Wilk, Alex. Craig pewnie mówi prawdę.

Thomas Weir z CIA skinął głową i powiedział:

–Od jakiegoś czasu obserwowaliśmy podejrzanego w Nowym Jorku.

Przypuszczaliśmy, że w Rosji był pracownikiem KGB, ale nie mieliśmy wystarczających dowodów. Nigdy nie podejrzewaliśmy, że jest w czerwonej mafii, że jest Wilkiem. To wydawało się nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę pozycję tego człowieka w rosyjskim aparacie rządowym. – Zmarszczył brwi. – Rozszerzyliśmy podsłuch na jego prywatne mieszkanie. Wynajmuje apartament na Manhattanie. Szykuje się do powtórnego zamachu na dyrektora Burnsa. Burns spojrział na mnie.

–On nie zapomina i nie przebacza, Alex. Ja też nie.

–Więc jedziemy do Nowego Jorku i aresztujemy go? Burns i Weir skinęli z powagą głowami. – To powinien być koniec sprawy – oświadczył Burns. – Jedźcie i zgarnijcie Wilka. Przywieźcie mi jego głowę.

Rozdział 113

„To powinien być koniec sprawy”. Te słowa zabrzmiały, jakby dyrektor Bums miał dostęp do samego Pana Boga.

Century to sławny nowojorski budynek mieszkalny w stylu art deco przy Central Park West, na północ od Columbus Circle. Przez dziesięciolecia był chętnie zamieszkiwany przez znanych aktorów, artystów i biznesmenów, oczywiście tych, którzy byli na tyle skromni, aby żyć przez ścianę z robotniczymi rodzinami, przekazującymi sobie mieszkania z pokolenia na pokolenie.

Byłem tam około czwartej rano. HRT obsadził trzy główne wejścia przy Central Park, między ulicami 62. i 63. To był największy kocioł, w jakim uczestniczyłem, i niewątpliwie najbardziej skomplikowany. W operacji brali udział wszyscy: policja nowojorska, FBI, CIA i Secret Service. Mielśmy zwinąć ważnego Rosjanina. Przewodniczącego delegacji handlowej w Nowym Jorku. Biznesmena, podobno poza wszelkimi podejrzeniami. Pomyłka groziła poważnymi reperkusjami. Ale jak mogliśmy się mylić? Nie tym razem.

Cały poprzedni tydzień ja i mój partner badaliśmy Century. Ned Mahoney okazał się pracowitym, rzetelnym, nieustępliwym facetem. Szef HRT odwiedził mnie w domu i zyskał nawet aprobatę Nany, głównie dlatego, że wychowywał się na ulicach Waszyngtonu.

Poszliśmy schodami na samą górę, Ned, ja i kilkunastu innych funkcjonariuszy. Podejrzany zajmował dwupoziomowe mieszkanie na dwudziestym piętrze. Był człowiekiem bardzo wpływowym i bogatym. Miał dobrą reputację na giełdzie i w bankach. Czy w takim razie mógł być Wilkiem? A jeśli tak, to dlaczego jego nazwisko nie wypłynęło nigdy wcześniej? Bo był aż tak dobry, aż tak staranny?

–Będę się cieszył, kiedy to się skończy – powiedział Mahoney, pokonując schody. Nawet się nie zasapał.

–Po co taka gigantyczna operacja? – spytałem. – Tu jest za dużo ludzi.

–To normalne, FBI zależy, żeby dobrze wypaść w mediach. Lepiej przywyknij do tego. W takim świecie żyjemy. Za wielu gości w garniturach, za mało gości do roboty.

Wreszcie dotarliśmy na dwudzieste piętro. Ned, ja i czterech innych agentów zostaliśmy na tym poziomie. Reszta poszła na dwudzieste pierwsze. Czekaliśmy, aż zajmą stanowiska. To był koniec Wilka. Miałem nadzieję, że to koniec Wilka. Czy na jednym z tych dwóch pięter rzeczywiście był prawdziwy Wilk?

W słuchawce, którą miałem w uchu, usłyszałem napięty głos:

–Podejrzany wyskakuje przez okno! Mężczyzna w białym skacze z nadbudówki! Jezu Chryste! Zeskoczył na łącznik między nadbudówkami. Jest na dachu głównego budynku. Biegnie.

Mahoney i ja pędem cofnęliśmy się na dziewiętnaste piętro. Wyrastały z niego dwie nadbudówki.

Wbiegliśmy na dach i natychmiast dostrzegliśmy bosego mężczyznę w białym. Był otyły, łysiejący, brodaty. Odwrócił się i strzelił do nas z pistoletu. Wilk? Łysiejący? Otyły? Czy to mógł być on?

Trafił Mahoneya!

Trafił mnie!

Padliśmy jak dżdżycy. Obaj dostaliśmy w tors! Bolało jak diabli. Odebrało mi oddech. Na szczęście mieliśmy na sobie kamizelki kuloodporne.

Ale człowiek w bieliźnie nie.

Mahoney odpowiedział strzałem, który załatwił jego rzepekę w kolanie. Mój pierwszy strzał trafił grubasa w brzuch. Upadł, tryskając krwią i wyjąc.

Pobiegliśmy ramię w ramię do Andrieja Prokopiewa. Mahoney odkopnął w bok jego broń.

–Jesteś aresztowany! – krzyknął w twarz rannemu Rosjaninowi. – Wiemy, kim jesteś.

Między nadbudówkami Century pojawił się helikopter. W jednym z okien nad nami stała jakaś kobieta i krzyczała przeraźliwie. Helikopter lądował. Co to miało znaczyć, u diabła?!

Jakiś człowiek wyskoczył z okna nadbudówki, lądując na dachu.

Potem kolejny. Wyglądał na zawodowego strzelca. Ochrona?

Wyciągnęli broń i zaczęli strzelać ledwo poczuli dach pod nogami. HRT odpowiedział ogniem. Wymiana strzałów trwała krótko. Obaj strzelcy dostali i upadli. Żaden już się nie podniósł. Ludzie z HRT znali się na swojej robocie.

Helikopter usiadł na dachu. To nie byli dziennikarze ani policjanci. Ale znalazłem się na tym przeklętym dachu, żeby dopaść Wilka i wziąć go za frak, no nie? Z helikoptera rozległy się strzały. Mahoney i ja wycelowaliśmy w kokpit i zaczęliśmy strzelać. Zaczęła się kolejna wymiana ognia. Po chwili strzały z helikoptera ustały.

Przez kilka sekund rozlegał się tylko przenikliwy łoskot wirników śmigłowca.

–Niebezpieczeństwo zażegnane! – krzyknął w końcu jeden z agentów. – Ci w helikopterze załatwieni!

–Jesteś aresztowany! – krzyknął do Rosjanina w bieliźnie Mahoney. – Jesteś Wilkiem. Zaatakowałeś dom dyrektora, jego rodzinę!

Mnie jednak przyszło do głowy coś innego, inna wiadomość do przekazania. Pochyliłem się i powiedziałem:

–Kyle Craig się o to postarał. – Chciałem, by to wiedział, by może kiedyś odpłacił się Kyle'owi. I może zrobił mu zamoczt.

Rozdział 114

Modliłem się, żeby to był koniec. Wszyscy się o to modliliśmy. Ned Mahoney odleciał rano do Quantico, ja jednak spędziłem resztę dnia w kwaterze głównej FBI na Dolnym Manhattanie. Rząd rosyjski słał protesty, gdzie się tylko dało, ale Andriej Prokopiew pozostał w areszcie i w biurach FBI było pełno ludzi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nawet kilka firm z Wall Street kwestionowało sensowność aresztowania.

Na razie nie mogłem rozmawiać z Rosjaninem. Miał planowaną operację, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Ktoś właśnie przyciskał go do muru, lecz to nie byłem ja.

Około czwartej zadzwonił do mnie Burns. Siedziałem w pokoju, z którego korzystałem, będąc w sprawach służbowych w Nowym Jorku.

–Alex, wracaj do Waszyngtonu – rozkazał. – Transport załatwiony. Czekamy na ciebie.

Odłożył słuchawkę, więc nie miałem szansy o nic go zapytać. Wyraźnie o to mu chodziło. Przybyłem do Hoovera około wpół do ósmej i powiedziano mi, że mam jechać na czwarte piętro, do sali konferencyjnej SIOC. Czekali tam na mnie. Może nie całkiem czekali, ponieważ – nieformalne spotkanie było już w toku. Przewodniczył Ron Burns, co nie wróżyło niczego dobrego. Wszyscy wyglądali na spiętych i wyczerpanych.

–Pozwólcie, że zapoznam Alexa z najświeższymi doniesieniami – powiedział Burns, kiedy wszedłem do sali. – Siadaj i jak chcesz, wywal nogi na stół. Mamy nowe przyjemności.

Pokręciłem głową, czując lekkie mdłości, kiedy siadałem. Zakosztowałem już dość „przyjemności”, nie miałem sił na nowe.

–Rosjanie tym razem są skłonni do współpracy – oświadczył Burns. – Nie zaprzeczają, że Andriej Prokopiew ma powiązania z czerwoną mafią. To prawda. Sami obserwowali go od pewnego czasu. Mieli nadzieję, że w ten sposób uda się im spenetrować czarny rynek, na który trafiają miliardy dolarów.

Odchrząknąłem i powiedziałem:

–Ale...

Burns kiwnął głową.

–Tak. Rosjanie mówią teraz, że Prokopiew nie jest tym człowiekiem, którego szukamy. Są tego pewni.

Poczułem całkowity odpływ energii.

–Bo...? – spytałem.

Burns pokręcił głową.

–Wiedzą, jak wygląda Wilk. Przecież był w KGB. Prawdziwy Wilk celowo podsunął nam Prokopiewa. Był jednym z jego rywali w czerwonej mafii.

–Chce zostać rosyjskim ojcem chrzestnym?

–Ojcem chrzestnym... rosyjskim albo innym. Zacisnąłem wargi, po czym westchnąłem ciężko i spytałem:

–Czy Rosjanie wiedzą, jak naprawdę nazywa się Wilk?

Burns zmrużył oczy.

–Jeśli nawet wiedzą, nie powiedzą nam tego. W każdym razie nie teraz. Może też się go boją.

Rozdział 115

Wieczorem tego samego dnia siedziałem przy pianinie na werandzie. Po głowie chodził mi tekst jednego z wierszy Billy'ego Collinsa. Nosił tytuł The Blues. Tak mnie zainspirował, że usiadłem do pianina i skomponowałem melodię. Przegraliśmy z Wilkiem. Przegrana to częsty przypadek w pracy policyjnej, chociaż rzadko kto się do tego przyznaje. Ale uratowano wielu ludzi. Znalezione Elizabeth Connolly i parę innych osób; Brendan Connolly wylądował w więzieniu. Schwytano Andrieja Prokopiewa. Wyglądało jednak na to, że gruby zwierz się nam wymknął, w każdym razie chwilowo. Wilk nadal przebywał na wolności. Ojciec chrzestny mógł robić, co mu się żywnie podobało, a to nie wróżyło dobrze nikomu.

Następnego dnia pojechałem wcześniej na lotnisko imienia Reagana, odebrać Jamillę Hughes. Jak zwykle przed spotkaniem z Jamillą czułem łaskotanie w brzuchu. Ale nie mogłem się jej doczekać. Nana i dzieci uparły się, by jechać ze mną. W ten sposób okazali poparcie Jamilli. I mnie. Tak naprawdę sobie nawzajem też. Nam wszystkim.

Hala lotniska była zatłoczona, wydawała się jednak stosunkowo cicha i spokojna, zapewne dlatego, że miała sufity na niebotycznej wysokości. Moja rodzina i ja staliśmy przy wyjściu z terminalu A, w pobliżu bramek. Dostrzegłem Jam, dzieci również i zaczęły mnie szturchać. Ubrana od stóp do głów w czerń, wyglądała lepiej niż kiedykolwiek, a zawsze wyglądała świetnie.

– Jest piękna i ma niesamowitą klasę – powiedziała Jannie i pogładziła mnie po ręce. – Wiesz o tym, co nie, tato?

– Masz rację, jest piękna – zgodziłem się z nią i spojrzałem na córkę, zamiast na Jamillę. – Poza tym zna się na wszystkim. Tylko chyba nie na mężczyznach.

– Naprawdę się nam podoba – mówiła dalej Jannie. – Wiesz o tym, no nie?

– Wiem. Mnie też się podoba.

– Ale kochasz ją? – spytała Jannie, jak to ona, zdroworozsądkowo i przechodząc od razu do rzeczy. – Czy tak?

Nic nie odpowiedziałem. Na ten temat rozmawiałem wyłącznie z Jamillą.

– No jak, kochasz ją? – przyłączyła się Nana. Jej też nie odpowiedziałem, a ona pokręciła głową i przewróciła oczami.

– Co myślicie, chłopaki? – spytałem Damona i małego Alexa. Mój wielkolud klaskał i uśmiechał się, więc znałem jego zdanie.

– Jest w porzo, tato – powiedział Damon i uśmiechnął się szeroko. W towarzystwie Jamilli zawsze bywał trochę nieporadny.

Podszedłem do niej; moja rodzina dała nam chwilę sam na sam. Zerknąłem na nich. Uśmiechali się do mnie jak cała gromada kotów z Cheshire. Czułem kluchę w gardle. Bóg wie dlaczego. Byłem trochę ogłupiały i miałem miękkie kolana. Też nie wiem dlaczego.

– Niewierze! Wszyscy przyjechali – powiedziała Jamilla, przytulając się do mnie. – Jestem taka szczęśliwa. Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo szczęśliwa, Alex... Chyba się rozplączę, chociaż jestem twardym jak skała tajniakiem z wydziału zabójstw. U ciebie wszystko gra? Chyba nie bardzo. Widzę to.

–Och, nic mi nie jest. – Przytuliłem ją do siebie tak mocno, że uniosłem ją w górę, po czym postawiłem z powrotem na podłodze.

Przez chwilę milczeliśmy.

–Będziemy walczyć o małego Alexa – oświadczyła.

–Oczywiście – odparłem. A potem powiedziałem coś, czego do tej pory nigdy jej nie mówiłem, chociaż wiele razy miałem to na końcu języka: – Kocham cię.

–Ja też cię kocham – powiedziała. – Bardziej niż to sobie wyobrażasz. Bardziej niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić.

Samotna łza spłynęła po jej policzku. Scałowałem ją.

Wtedy zobaczyłem fotografa, robiącego nam zdjęcie.

Tego samego fotografa, który zjawił się koło naszego domu, kiedy ewakuowaliśmy się ze względów bezpieczeństwa.

Tego, którego wynajęła adwokatka Christine.

Czy uwiecznił na kliszy łzę Jamilli?

Rozdział 116

Przyjechali do mojego domu przy 5. Ulicy, przyjechali tydzień po tym, jak Jamilla wróciła do Kalifornii.

Znów oni.

To był jeden z najsmutniejszych dni w moim życiu.

Nie do opisanania.

Nie do pomyślenia.

Christine, jej adwokatka, prawny opiekun Alexa juniora i pracownica Agencji Opieki nad Dziećmi. Ta ostatnia miała na szyi plastikowy identyfikator i chyba jej obecność doskwierała mi najbardziej. Moje dzieci były wychowane w atmosferze miłości i opieki, nigdy nie spotkała ich krzywda ani zaniedbanie. Nie było potrzeby, żeby ktokolwiek z Agencji Opieki nad Dziećmi zjawiał się u mnie. Wcześniej Gilda Haranzo uzyskała od sądu postanowienie, w myśl którego Christine otrzymała tymczasową opiekę nad małym Alexem. Jako uzasadnienie pozwu podała, że „przyciągam niebezpieczeństwo” i mogę narazić dziecko na krzywdę.

Ironia tej sytuacji była tak bolesna, że wprost nieznośna. Starłem się dobrze wypełniać moje obowiązki policjanta, chciałem, żeby ludzie byli ze mnie zadowoleni, i co w zamian mnie spotkało? Dowiedziałem się, że „przyciągam niebezpieczeństwo”. Czy tylko to można było o mnie powiedzieć?

Mimo wszystko wiedziałem dokładnie, jak powinienem się zachować tego przedpołudnia. Ze względu na dobro małego Alexa. Postanowiłem odsunąć na bok wszystko, co czułem, i skupić się na tym, co dla niego najlepsze. Postanowiłem nie dopuścić do tego, by czuł się wystraszony albo wyprowadzony z równowagi. Wydrukowałem nawet dla Christine długą listę tego, co Alex lubił i czego nie lubił.

Na nieszczęście on sam miał w nosie wszystkie moje starania. Krył się za moimi nogami, byle jak najdalej od Christine i jej adwokatki. Delikatnie pogładziłem go po główce. Ale on trząsał się cały, dygotał z wściekłości.

–Może powinien pan pomóc Christine i zaprowadzić Alexa do samochodu – zaproponowała Gilda Haranzo.

Zechce pan?

Odwróciłem się i czule objąłem mojego wielkoluda. Nana, Damon i Jannie uklękli także i połączyliśmy się w jednym uścisku.

–Kochamy cię, Alex – mówiliśmy. – Będziemy cię odwiedzać, Alex. Ty też będziesz przyjeżdżał do nas. Nie bój się.

Nana wręczyła Alexowi jego ulubioną książeczkę, Gwiżdżąc na Williego, Jannie dała mu jego ulubione pluszowe zwierzątko, wytartą od miętolenia krówkę Muuu. Damon uściskał brata i rozplakał się.

–Będę rozmawiał z tobą co wieczór. Z tobą i z Muuu – powiedziałem i ucałowałem ukochaną buzię mojego synka. Czułem jego szybko bijące serce. – Co wieczór. Zawsze i jeden dzień, mój słodki synku. Zawsze i dzień.

–Zawsze, tato – odparł mały Alex. A potem zabrali mojego syna.

EPILOG WILKI

Pasza Sorokin miał stawić się w poniedziałek o dziewiątej rano w sądzie w Miami. Van, którym transportowano go z więzienia federalnego, miał eskortę sześciu wozów; kierowcy do ostatniej chwili nie znali trasy.

Atak nastąpił na światłach, zanim auta zdążyły skręcić we Florida Turnpike. Użyto broni samopowtarzalnej i granatników, które w niecałą minutę zniszczyły samochody eskorty. Wszędzie leżały trupy i dymiące płyty blachy.

Czarny van, którym przewożono Paszę Sorokina, został natychmiast otoczony przez sześciu niezamaskowanych ludzi w ciemnych ubraniach. Wyważono drzwi i zastrzelono strażników.

Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna podszedł zamaszystym krokiem do otwartych drzwi i zajrzał do wnętrza. Uśmiechnął się z rozbawieniem, jakby w więziennym aucie siedziało małe dziecko.

–Pasza, rozumiem, że zamierzałeś mnie wydać – powiedział Wilk. – Tak mówią moi informatorzy, moi bardzo dobrzy informatorzy, moi niewiarygodnie drogo opłacani informatorzy. Pogadaj o tym ze mną.

–To nieprawda – odparł Pasza, kuląc się w vanie. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon i kajdanki na rękach i nogach. Utracił już opaleniznę z Florydy.

–Może tak, może nie – wycedził Wilk.

A potem strzelił z granatnika, celując w Paszę. Nie spudłował.

–Zamoczył – zawołał i ryknął śmiechem. – W dzisiejszych czasach trzeba dmuchać na zimne.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/